Edward Phillips Oppenheim

MNICH Z CRUTY

SK

Edward Phillips Oppenheim

MNICH Z CRUTY

(A Monk of Cruta)

Spis treści

1 Ostatnie życzenie
2 Sztuka taneczna
3 Tancerka
4 Pamiętnik Adrei
5 Sygnał burzy
6 Niemiłe spotkanie
7 Pytanie
8 Beznadziejna miłość
9 Ponowne spotkanie
10 Prośba
11 Pamiętnik Adrei
12 Pamiętnik Adrei
13 Ścieżka prowadząca do obłędu
14 Oszałamiająca trucizna
15 Namiętność zwycięża
16 Zakonnik
17 Warunek
18 Pytanie lady May
19 Oko za oko, ząb za ząb

20 Artur de Vaux
21 Pamiętnik Adrei
22 Pamiętnik Adrei
23 Opowiadanie
24 Nieprzyjęte oświadczyny
25 Prośba umierającego
26 Ślub
27 Zemsta
28 Pamiętnik Adrei
29 Pamiętnik Adrei
30 Pamiętnik Adrei
31 Przyjazd na Crutę
32 Ostatnie wyjaśnienie
33 Ocalenie
34 Pamiętnik Adrei
35 Ostatni rozdział

Tekst wg wydania Ilustrowanego Kuriera Codziennego z 1933 r. pod tytułem Tajemnica lady May.

Na okładce wykorzystano motyw z wydania

angielskiego.

I
OSTATNIE ŻYCZENIE

— Ojcze Adrianie!

— Słucham, jestem tutaj.

— Zauważyłem, że przed chwilą rozmawiał ojciec potajemnie z lekarzem, jak długo będę jeszcze żył? Powiedział ojcu prawdę? Muszę wiedzieć, co mnie czeka!

Smukły, młody zakonnik zbliżył się do łóżka, potrząsnął wolno głową i spojrzał z litością na pacjenta.

— Już niedługo, godziny twoje policzone. Lecz dlaczego się obawiasz? Wszak jesteś już po spowiedzi. Sam udzieliłem ci ostatniego namaszczenia, a Kościół nie odmówił Świętych Sakramentów.

— Nie obawiam się. To jest tylko treścią mych myśli. Czy dożyję do rana?

— Możliwe. Do południa z pewnością nie.

Umierający podniósł się z trudem i spojrzał ku oknu.

— Proszę je otworzyć!

Służący siedzący dotychczas w cieniu, z twarzą ukrytą w dłoniach, podniósł się i wykonał zlecenie.

— Która godzina?

— Trzecia!

— Gomez, natęż swój wzrok i spójrz na morze. Czy nie postrzegasz żadnego światła na horyzoncie?

— Nie. Burza pogrążyła wszystko w ciemnościach.

— Proszę nasłuchiwać!

Strumienie deszczu uderzały o szybę, a wyjący wicher wstrząsał domem. Zrozpaczony Gomez odwrócił się od okna. Ludzkie oko nie mogło przebić tej mgły. Znowu spoczął na krześle i drżąc rozglądał się dookoła. Pokój o wysokich sklepieniach, w którym się znajdowali, oświetlały słabo nieliczne tylko świece, a większa część komnaty leżała w półmroku. Wydawało się, że z zakątków wychodzą szare, fantastyczne cienie. Nawet okazała postać księdza klęczącego przed rzeźbionym krucyfiksem wywierała koszmarne, nierzeczywiste wrażenie. Ciężkie podwójne zasłony przy łóżku poruszały się niespokojnie pod wpływem przewiewu, docierającego przez na wpół otwarte okna. Świece w lichtarzach drżały gorączkowym płomieniem.

Gomez przyglądał się im z lękiem. Także życie jego pana powoli się spalało. Lecz z tego powodu nie trapiły go specjalno troski. Służył mu już przez dwadzieścia pięć lat. Myślał teraz o małym, uroczym mieszkaniu przy Piccadilly, gdzie nie zaznali tych niewygód i nieprzyjemności co tutaj. Odczuwał jako osobistą krzywdę, że jego pan ma umrzeć w tym zatraconym zakątku. Refleksje nie opuszczały go. Znał koleje życia swego pana i wiedział, dlaczego zbliża się koniec. Wszak wszystko z nim przeżył, we wszystkich przeciwnościach mu pomagał.

Umierający leżał teraz całkiem spokojny, jak gdyby nadciągały ostatnie chwile. Raz podniósł głowę i słaby cień zadrgał na jego szarym, zapadniętym obliczu, w którym pałały ciemne, gorączkowe oczy. Zaraz jednak upadł znowu na poduszki i oddychał spokojnie i regularnie. Oszczędzał ostatnich swych sił.

Raz – dwa – trzy – cztery – pięć! Strasznie, bezlitośnie rozbrzmiały po budynku uderzenia starego zegara. Bezpośrednio potem odezwał się głęboki dzwon. Mężczyzna w łóżku podniósł z wysiłkiem głowę.

— Co z burzą? — zapytał cicho.

Gomez wstał i skierował się znowu ku oknu.

— Przechodzi. Silny wiatr się uspokaja.

— Kiedy nastanie dzień?

— Za godzinę.

— Proszę pozostać przy oknie i czekać tam świtu.

Duchowny zmarszczył czoło.

— Teraz już pora, byś myśli swe odwrócił od ziemskich spraw — powiedział spokojnie. — Dlaczego interesuje cię świt poranny? Wkrótce zaśniesz snem wiecznym. Proszę wziąć krucyfiks do ręki i modlić się razem ze mną.

— Czy nie widzisz, Gomezie, światła na morzu? — zapytał znowu.

Służący wychylił się przez framugę okna i natężył wzrok. Nagle zatrzymał oddech; dostrzegł bowiem słaby, żółtawy cień. Odwrócił się szybko.

— W oddali przed sobą widzę światełko. Nie mogę jeszcze odróżnić, co ono przedstawia, lecz widzę na pewno.

Fala podniecenia zalała twardą, zapadniętą twarz człowieka na posłaniu. Podniósł się znowu, a głos jego

brzmiał tym razem głośniej.

— Proszę łóżko me przysunąć do okna!

Duchowny i Gomez spełnili jego życzenie, ale tylko z trudem udało im się ruszyć z miejsca ciężki, trzeszczący mebel. W tym czasie światło, spostrzeżone na morzu, zbliżyło się i stało się widoczniejsze. Wszyscy trzej wypatrywali go i obserwowali, jak stawało się większe i wyraźniejsze. Gomez i pan jego zdradzali gorączkowe wyczekiwanie, podczas gdy ksiądz nie ukrywał wcale swej niechęci.

— Świta — zawołał nagle Gomez i wskazał na wschód.

— Pomóżcie mi się podnieść. Zróbcie z poduszki oparcie, bym mógł siedzieć.

Gomez wykonał zlecenie.

W świetle ranka twarz konającego stała się całkiem widoczna.

Czarne i siwe włosy długiej brody opadły na pierś. Ciemne harde oczy patrzały na morze.

— A więc jednak przyjeżdża!

Gomez i ksiądz przestraszyli się tego prawie tryumfującego okrzyku, a wzrok ich podążył za

wyciągniętym ramieniem. Poprzez dalekie, żółte światło zauważyli cienką, wąską linię dymu na horyzoncie.

— Tak, to faktycznie parowiec — rzekł duchowny, zdradzający teraz większe zainteresowanie. — Zatrzymuje się na wyspie.

— Kiedy nadchodzi statek pocztowy? — zapytał Gomez.

— Dopiero za dwadzieścia dni — odparł duchowny. — To jest obcy okręt.

— Czy parowiec może zawinąć do zatoki? — zapytał nagle Gomez.

— Przy wjeździe jest dosyć silne falowanie.

Wszyscy trzej spojrzeli teraz na wejście do portu. Właśnie wypuszczano ze szczytów skalistego pagórka trzy rakiety, w krótkiej po sobie kolejności. Konający zacisnął zęby.

— Cóż oznacza ten sygnał, ojcze Adrianie? — zapytał.

Z litością popatrzył duchowny na konającego.

— Jest to przestroga dla okrętu, że wjazd do portu niedostępny. W tym tkwi nagana nieba. Nie powinieneś myśli swych odwracać od zbawienia duszy. Módl się ze

mną.

Lecz słowa mnicha przebrzmiały bez echa, a konający nie zdawał się tracić nadziei. Spojrzenie jego przeszywało dal i wyglądało tak, jak gdyby widział kapitana na pomoście i słyszał ostre rozkazy wydawane załodze.

Nie lękając się niebezpieczeństwa, posuwał się okręt dzielnie naprzód i zbliżał się coraz bardziej. Ze wzrastającym zajęciem przypatrywał się ojciec Adrian i Gomez temu zuchwałemu eksperymentowi. Ze skupieniem i zainteresowaniem śledzili walkę wielkiego parowego jachtu z potężnymi bałwanami szalejącymi przy nadbrzeżnej skale.

Gdy szare światło poranku oświetliło twarz duchownego, usunął się nieco na bok, by jego drgające wargi i nienaturalna bladość uszła uwadze. Było dziwnym przypadkiem, że właśnie ten człowiek w tym oto klasztorze na wyspie miał umrzeć pod jego opieką. Przytłaczająca atmosfera ostatnich godzin i ponure słowa zakonnika tak wstrząsnęły umierającym, że zdradził swą tajemnicę. Duchowny wyrywał mu słowo po słowie. W smutnych i pełnych spokoju godzinach, w

których śmierć stała się pewnikiem, począł się ten silny, trzeźwo myślący człowiek na krótki czas słabym jak dziecko w rękach stanowczego mnicha. Ani modły, ani absolucja nie pocieszyły go, ani nie wzmocniły. Słowa, podszeptywane konającemu przez mnicha, spadały jak lodowate zimne krople wody i zdławiły w zarodku jego żarliwe pragnienie pojednania się z Bogiem. Tak jak żył, tak musiał umrzeć. Modły zakonnika nie przynosiły mu ulgi.

Wydawało się, że jednak los spełni jego ostatnie, a tak gorące życzenie. Człowiek, którego chciał zobaczyć raz jeszcze zanim na zawsze zamknie powieki, niby cudem zbliżał się ku niemu. Intuicją swą odgadnął umierający, że siły jego dopiszą przy tym ostatnim spotkaniu. I usłyszy tę wieść, która albo ułatwi mu śmierć, albo sprawi, że bez spokoju wewnętrznego przekroczy granicę zaświatów. Wzrok jego nie odrywał się od okrętu. Oddech był już krótki, lecz chory czuwał i czekał.

Teraz nadeszła niebezpieczną chwila. Jacht dotarł do spienionego falowania u wejścia do portu. Bałwany podnosiły się do wysokości domów i przeskakiwały

przez pokład. Często znikał zupełnie kadłub okrętu, lecz już w następnej chwili wyłaniał się z fal. Wreszcie minął parowiec zagrożone miejsce i zawinął do stosunkowo spokojnego portu. Między gigantycznymi olbrzymami skał gubił się statek. Na ćwierć mili od zatoki polecił kapitan zarzucić kotwicę i zaraz potem spuszczono jedną łódź.

Nowe życie wstąpiło w człowieka leżącego na posłaniu. Ranne słońce przedostało się poprzez szare pasma obłoków, a kontury chmur na wschodzie zapłonęły czerwienią. Pierwsze smugi światła upadły na kołdrę i blade oblicze umierającego.

— Podaj mi czarną hebanową kasetkę, stojącą na stole, Gomezie — rozkazał.

Służący opuścił swe miejsce przy oknie i przyniósł do łóżka żądany przedmiot. Pacjent wziął go do ręki i ukrył pod kołdrą.

— Jestem gotów —rzekł półgłosem do siebie. — Ojcze Adrianie, jak długo według zdania lekarza mogę jeszcze żyć?

— Niespełna godzinę — odpowiedział duchowny, nie spuszczając oka z łodzi zdążającej szybko ku

lądowi.

— Czy wieczne zbawienie duszy tak mało znaczy dla ciebie? — zapytał twardym, poważnym głosem — że ostatnie swe chwile i myśli poświęcasz sprawom doczesnym? To jest bezbożna grzeszna śmierć. Weź synu krzyż do ręki i nie bacz na ludzi przyjeżdżających, których słowa oddalą cię tylko od nieba. Nie zważaj na świat i jego wydarzenia. Skieruj swe oczy i serce ku niebiosom! Wieczne zbawienie lub wieczne potępienie są ci przeznaczone, zanim słońce wzejdzie na firmamencie!

— Nie obawiam się. Cóż mogą mi pomóc pacierze, zadanie me na tej ziemi jeszcze nie jest spełnione. Proszę, nie mówcie ze mną ojcze o modłach. Nic, co wy, ojcze, lub ja teraz przedsięwezmę, nie pojedna mnie z Panem. Gomezie, masz bystry, daleki wzrok. Czy poznajesz człowieka w łodzi?

— Widzę pana Pawła, siedzi przy sterze.

— Dzięki Bogu!

— Są jeszcze inni ludzie na jachcie?

— Ci są mi obcy. Widzę mężczyznę, którego ubiór i postać zdradzają dżentelmena, ponadto młodą

dziewczynę i dwóch wiosłujących marynarzy.

Umierający zmarszczył czoło i ręce jego skurczyły się pod kołdrą. Stracił nieco ze swego spokoju i równowagi, odkąd wiedział dokładnie, że statek dobije do brzegu.

— Łódź jest już chyba całkiem blisko, Gomezie. Czy nie mógłbyś mi opisać obcego mężczyzny?

— Widzę tylko, że jest wysoki i szczupły. Musi to być starszy człowiek. Poza tym jest okryty płaszczem i derkami, jak gdyby był chory.

— Daj mi dwie łyżki koniaku!

Gomez spełnił życzenie, po czym pan jego zamknął oczy i oparł się na poduszce. W pokoju zapanowało niesamowite milczenie, głębokie milczenie wyczekiwania.

Mały, ubogi klasztor, w którym się znajdowali, zamieszkiwało paru mnichów, należących do mniej znanego zakonu Kościoła Katolickiego. Budynek wyłaniał się z ponurej gęstwiny, a od strony na wpół zapadniętej kaplicy nie docierał żaden odgłos poprzez długie, puste korytarze. Burza ustąpiła.

Wreszcie przerwano ciszę. Najpierw niedokładnie,

potem coraz wyraźniej usłyszano zbliżające się kroki. Obcy ludzie gawędzili półgłosem ze sobą. Rozległo się krótkie pukanie.

Zakonnik, który wyszedł gościom naprzeciw aż do progu, wpuścił ich do pokoju. Weszli dwaj mężczyźni. Jeden z nich z wyciągniętymi ramionami podążył ku łóżku, podczas gdy drugi, zrobiwszy dwa kroki, przystąpił i spojrzał bystro na konającego, zupełnie bez pozdrowienia i bez okazania, że go zna. Pierwszy upadł przed posłaniem na kolana, ujął dłoń umierającego i uścisnął ją.

— Ojcze! — zawołał w zdenerwowaniu. — Wszystko dałbym za to, gdybym cię zastał zdrowym. Powiedz mi, że nie jest prawdą to, czego się u wejścia dowiedziałem. Teraz, gdy przyjechałem, przezwyciężysz chorobę.

Nie otrzymał odpowiedzi. Konający nie spojrzał nawet na pochyloną twarz młodzieńca. Wzrok jego spoczywał na mężczyźnie, stojącym w pewnym oddaleniu od łóżka. Oddychał szybko i dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Potem westchnął.

— Ojcze, jesteś podniecony. Nie ma w tym też nic

dziwnego, skoro go widzisz tutaj przy twym łóżku. Czy otrzymałeś mój list, zwiastujący ci nasz przyjazd? Próbowałem wszystkiego, ale nie mogłem go powstrzymać od towarzyszenia mi tutaj.

Jedynym krokiem wychylił się Gomez z półmroku.

— Nie nadszedł żaden list — rzekł krótko.

Młodzieniec podniósł swe blade oblicze.

— Było też nierozsądnie z mej strony zaufać poczcie w tym pustkowiu. Nie wybaczę sobie nigdy, że wpadłem z nim tutaj bez zapowiedzenia.

Znowu zapanowała w pokoju śmiertelna cisza. Zrozpaczony syn to spoglądał na ojca, to na obcego przybysza o niezbadanych rysach. Nagle na ustach tego człowieka zadrgał brutalny i ironiczny uśmiech. Wreszcie począł mówić, lecz głos jego brzmiał obco i raził w tej komnacie śmierci.

— Stan twój jest więc beznadziejny, Marcinie! To dziwne. Gdyby mi ktoś przed miesiącem przepowiedział, że przyjadę tutaj, by być świadkiem twego zgonu, uważałbym go za obłąkańca. Nie liczyłem nigdy na takie zadośćuczynienie!

Wydawało się, jak gdyby te słowna wzbudziły

nagle energię konającego. Zwrócił się w stronę syna, stojącego u krawędzi łóżka.

— Jak on tu przybył?

— Szukałem go naprzód w Monaco, lecz od dwóch lat słuch tam po nim zaginął, ślad po nim zaginął w Algierze, podążyłem za nim do Kairu, Aten i Syrakuz. Wreszcie spotkałem go w Konstantynopolu, gdzie był czynnym oficerem tureckiej armii.

W gniewnym podnieceniu ciągnął młodzieniec dalej:

— Wręczyłem mu twój list i zlecenie i oczekiwałem odpowiedzi. Po trzech dniach oświadczył mi, że chce mi towarzyszyć w podróży, by się osobiście z tobą rozmówić. Na krótko przed naszym wyjazdem napisałem do ciebie list ekspres. Jak się dowiaduję, nie doręczono ci go. Wybacz więc, że przyprowadzam go bez przygotowania.

Zwrócił się w stronę obcego:

— Dotrzymałem słowa, jakkolwiek dość ciężko mi było zabrać pana ze sobą. Najchętniej byłbym pana rzucił po drodze do morza. Zapewniam pana, pokusa była wielka. Proszę ojcu memu dać odpowiedź i zniknąć. Nie ma pan prawa zatrzymywać się przy łożu

jego śmierci.

— Uprzejmy to pan nie jest — odparł towarzysz podróży. — Lecz, kochany Marcinie, jeśli ma to być pożegnanie na zawsze, chciałbym cię wyraźniej zobaczyć.

Zbliżył się o parę kroków i spojrzał na kapłana, klęczącego z zamkniętymi oczyma i złożonymi przed krucyfiksem dłońmi.

— Ach, nie jesteśmy sami. Mnich wszystko usłyszy.

— To jest obojętne — odpowiedział wolno człowiek w łóżku. — Jego uszy i usta są zamknięte. Jest zakonnikiem.

Podniósł się nieco na posłaniu. Prawa ręka jego spoczywała pod kołdrą na czarnej kasetce. Syn znowu klęczał przed łóżkiem i trzymał drugą, wolną dłoń ojca.

Obcy nie uśmiechał się więcej, rysy jego twarzy były harde i stanowcze.

— Posłuchaj, co ci mówię, Marcinie de Vaux. Ofiarowałeś mi majątek, bym wyrzekł się wpływu i władzy nad tymi, którzy są ci drodzy i ciebie kochają. Znam naturalnie wartość pieniądza i cenię je. Nie

zabiorę ci ani jednego szylinga. Przeklinam ciebie, twe pieniądze, całą rodzinę. Nie wyrzekłem się mej władzy, to moja zemsta.

Konający był dziwnie spokojny.,

— Znam cię — powiedział. — Chcesz, bym umarł z dręczącą świadomością, że ludzi, których kocham, zostawiam w twej mocy, że będziesz się znęcał nad nimi i splugawisz moje imię. Lecz omyliłeś się, Wiktorze. Pójdziesz ze mną w tę ostatnią, niepewną dał.

Głos jego stał się twardy i groźny, a ojciec Adrian, trapiony niewysłowionym lękiem, spojrzał w ich stronę. Chory podniósł się znowu. Oczy jego błyszczały, wyciągnął ramię, a zaraz potem, w jednej sekundzie, padł strzał.

Rozległ się straszny krzyk. Obcy przybysz, dotychczas oparty o krawędź łóżka, runął martwy na podłogę. Śniade dziewczę, które pod wypływem huku wbiegło do pokoju, obejmowało go z rozpaczą i szlochało rzewnie.

Także Marcin de Vaux padł na posłanie. Dłoń jego trzymała jeszcze rewolwer, lecz ramiona trwały w omdleniu. Okupił życiem ostatni wysiłek.

Ojciec Adrian był pierwszym, który zorientował się w sytuacji. Pochylił się naprzód nad jednym, potem nad drugim zmarłym i obu zamknął źrenice.

— Nie żyje? — zapytał Paweł de Vaux zdławionym głosem.

— Tak. Obaj skończyli życie.

Płacz dziewczęcia przerywał ciszę pokoju, podczas gdy słońce igrało na bladych, spokojnych twarzach zmarłych.

II
SZTUKA TANECZNA

Paweł do Vaux stał w małym wykuszu salonu lady Swindon. Był wysoki, smukły, starannie ubrany według przepisu londyńskiej mody.

— Pawle, nie wyglądasz zbyt pogodnie — powiedział ktoś tuż obok niego.

Odwrócił się i spojrzał bystro na tamtego.

— Nie możesz też tego wymagać ode mnie, Arturze. Wiesz przecież, że nie lubię takich zebrań towarzyskich. O ile się nie mylę, przyjęcie dzisiejsze jest jak każde inne. Młodzi ludzie schodzą się tutaj, by sobie wzajemnie imponować. Kobiety plotkują i piją mocną herbatę, ściągnąłeś mnie nie wiadomo po co. Gdzie to wspaniałe widowisko, które mi przyrzekłeś?

— Odrobinę cierpliwości. Będziesz mi na pewno wdzięczny. Przedstawienie zaczyna się za chwilę.

Paweł de Vaux spojrzał na brata z niedowierzaniem.

— Prawdopodobnie wmawiasz to w siebie. Tutaj

nikt nie oczekuje nadzwyczajności.

Artur uśmiechnął się i zabębnił palcami niecierpliwie na oknie. Był nieco niższy od brata i w ogóle mało do niego podobny, lecz prezentował się dobrze i miał sympatyczne rysy.

— To właśnie jest przyjemne. Lady Swindon sprawia gościom swym niespodziankę. Dowiedziałem się o tym tylko przypadkowo w klubie od Denisona. W przeciwnym razie w ogóle nie przyprowadziłbym cię tutaj.

— Ach, nie wierzę w atrakcje — odparł znudzony Paweł. Połowa uroku tkwi przecież w oczekiwaniu. Czy nie byłoby lepiej odejść? Zostawmy innym tę rozrywkę. Chodź ze mną do mego mieszkania, zapalmy spokojnie cygaro i zastanówmy się tam, co począć z dzisiejszym wieczorem.

Artur potrząsnął głową i położył dłoń na ramieniu Pawła.

— Nie wiesz właśnie, co nas czeka. Nie odejdę w żadnym wypadku. Na miłość boską, właśnie nadchodzi biskup Canterbury. Kto wie, co by o nas pomyślał. Tuż obok widzę lady May. Gdy zobaczy nas, zaraz się

zbliży.

— Sądziłem, że państwo Westover wyjechali wczoraj na północ. Wspomniała mi o tym lady May — dodał Paweł z pewnym ożywieniem.

— Mogli przecież zmienić swe plany. Lecz oto rozpoczyna się przedstawienie. Zobaczysz teraz – według mego zdania – najpiękniejszą kobietę świata.

Pogawędka nagle umilkła. Obecni zajęli miejsca i wzrok skierowali na koniec pokoju. Niewidzialna dłoń podniosła ciężką, czarną kurtynę i odsłoniła małe podium, pokryte ciemnoczerwonym, wschodnim dywanem. Wśród zebranych rozległ się szept pełen oczekiwania. Zaraz potem usłyszano rzewną melodię fletu przy akompaniamencie głuchych tonów bębna. W skupieniu przysłuchiwali się obecni sennym, pełnym skarg dźwiękom i w najwyższym napięciu patrzyli na głębię sceny odgraniczonej także purpurowy zasłoną.

Nagle na podium zjawiła się smutna postać dziewczęcia. Parę chwil trwała w odrętwieniu. Z góry dwa reflektory rzucały na nią jasne światło. Ubrana była we wspaniałą szatę wschodnią ozdobioną klejnotami. Wydawało się, że melodia ożywia jej ciało. Kołysząc

się lekko, zaczęła tańczyć. Wolno poruszała górną część tułowia do rytmu muzyki. Zadrgał spiżowy ton cymbałów, pieśń stawała się coraz bardziej namiętna, a równocześnie wzmagały się ruchy jej pięknej postaci. Oblicze jaśniało czarowną słodyczą, lecz wyglądało to tak, jak gdyby tańcząca nie widziała zebranych. Zatopiona była w swych myślach i całkiem oddana swej sztuce.

Paweł widział w tym przeżyciu nieoczekiwaną wizję piękna barw i linii, wdzięku i rytmu. Oczarowała go. Taniec dla niego skończył się zbyt wcześnie. Tancerka znikła niespodzianie, a goście przez parę chwil pozostali bez ruchu. Potem zgasły reflektory, zajaśniały świeczniki, wszczęto ponownie rozmowy.

III
TANCERKA

— A więc, jakie jest teraz twe zdanie? — spytał brat Pawła.

Paweł wyrwany z marzeń ocknął się. Nie mógł oderwać oczu od alkowy, do której wycofała się artystka. Nagłe pytanie brata wprawiło go w zakłopotanie, poczerwieniał lekko. Artur zauważył, że Paweł był podniecony, i ciągnął dalej:

— Dziewczę było boskie i urocze. Gdybym się mógł dowiedzieć, kto ona?

Z tymi słowy przepadł w tłumie. Paweł chciał go zatrzymać, lecz zaniechał tego. Może faktycznie Artur czegoś się dowie.

Nie miał już powodu pozostawać tu dłużej i przy najbliższej sposobności opuścił dom. To przeżycie stało się dla niego rewelacją. Coś nowego, słodkiego, niewymownie pięknego, z czego nie zdawał sobie jeszcze dokładnie sprawy, zakradło się do jego serca.

Wcisnął kapelusz na czoło i szerokimi schodami

podążył na dół.

Ocknął się pod wpływem powietrza i przystanął na chwilę, by zebrać swe myśli. Nie oglądając się, przywołał najbliższe auto. Szofer, zdradzający niezdecydowanie, zatrzymał się w pobliżu. Paweł zauważył nagle, że w niewielkim oddaleniu stała młoda osoba, która równocześnie dała znak szoferowi.

Poznał natychmiast tę twarz o ciemnych oczach.

Dotychczas w każdej sytuacji decydował się szybko, teraz jednakże stał jak odrętwiały na trotuarze. Zahipnotyzowała go snadź jej obecność. Szofer czekał na ich decyzję.

Wreszcie Paweł de Vaux opanował się. Zmarszczki, które jego twarz okrywały, zdradzały, że niejedną już walkę stoczył i że życie z wielu poznał stron. W dżunglach Indii pokonał raz tygrysa i dotychczas tubylcy w odległych osiedlach leśnych wspominali z uszanowaniem owego angielskiego sahiba, który tak mężnie uporał się z bestią. Lecz w tej chwili wydawało mu się, jak gdyby opuściło go całe męstwo, a postąpiwszy krok naprzód, usłyszał bicie swego serca. Chciał się usprawiedliwić przed tą dziewczyną i

pomóc jej przy wsiadaniu. Nie mógł jednak wydobyć z gardła ani słowa. Podał jej tylko dłoń w milczeniu.

Oparła na nim swe ramię, lecz nie weszła od razu do wozu. Spostrzegła jego zmieszanie i aby położyć kres tej dziwnej sytuacji, zagadnęła:

— Nie powinnam na taki deszcz zabierać panu auta.

Głos jej dochodził do niego jak czarowna muzyka, jak tony z dalekiej krainy. A jednak urok, któremu dotychczas ulegał, prysł. Popatrzył na nią. Kosztowne futro okrywało jej wdzięczną postać. Kilka ciemnych, kokieteryjnych loków wysunęło się spod małego kapelusza. Gdy podniosła nogę na stopień auta, otworzył się płaszcz i Paweł spostrzegł, że jest w tanecznym kostiumie.

— To nie szkodzi, mogę pójść pieszo.

— Zmoknie pan do nitki. Czy wolno mi wysunąć taką oto propozycję? We wozie jest miejsce na nas dwoje. Proszę wejść za mną. Mieszkanie me jest blisko, potem pojedzie pan sam dalej.

Zajęła miejsce, uważając za całkiem naturalne, że jej nie odmówi. Usłuchał też, nie okazując

najmniejszego zdziwienia. Wydawało mu się nagle, jak gdyby zawsze jej słuchał i ulegał. Wymieniła szoferowi swój adres i wóz ruszył z miejsca.

Na rogu wielkiego placu stali dwaj panowie, tocząc ożywioną dyskusję. Gdy auto powoli ich mijało, zajrzeli do środka i jeden z nich wzdrygnął się. Paweł patrzący dotychczas przed siebie, zauważył obu i zaniepokoił się nieco, poznawszy brata swego, Artura.

— Kto był ten elegancko ubrany mężczyzna? — zapytało dziewczę.

— Mój brat.

— Ach, tak.

Dotknęło go to niemile, więc odwrócił się. Milczeli, aż wreszcie wóz zatrzymał się przed pięknym, nieco ponurym domem w bocznej ulicy.

— Mieszkam tutaj — oświadczyła spokojnie.

Pomógł jej przy wysiadaniu. Myśl, że ma ją zostawić samą, była dlań bolesną, równocześnie obawiał się, że może go zaprosi.

— Jeżeli pan się nie spieszy, może napiłby się ze mną filiżankę herbaty? — zapytała go, patrząc mu prosto w twarz.

— Czy rzeczywiście mogę pani towarzyszyć? — odparł niepewnie.

— Ależ naturalnie. Inaczej nie zaprosiłabym pana. Nie odpowiada to panu może? — dodała z ironicznym, lecz czarownym spojrzeniem.

— Będzie to dla mnie wielką łaską — odrzekł poważnie. Zapłacił szoferowi i podążył za nią do domu.

Na pierwszym piętrze dziewczyna zatrzymała się, otworzyła drzwi i gestem ręki zaprosiła go do wnętrza. Był zdziwiony i onieśmielony, widząc bogate i wspaniałe urządzenie pokoju. Drzwi do jadalni były otwarte, stół nakryty do kolacji. Odłożyła rękawiczki i przysunęła mu krzesło.

Podziękował jej ukłonem, lecz stał dalej, podczas gdy ona zdejmowała kapelusz i płaszcz. Potem zbliżyła się do niego.

Kolor kostiumu harmonizował cudownie ze śniadą cerą, czarnymi włosami, ciemnymi oczyma. Przystąpiła tak blisko, że mógł wciągać w nozdrza zapach jej ciała. Nieświadomie bawił się wenecką szklanką stojącą na gzymsie pieca. Nagle oczy jego rozwarły się szeroko, pochylił się ku niej. Szklanka pękła w jego dłoni.

— Czy dlatego uciekłaś z klasztoru świętej Lucyli, Adreo Kiros?

IV
PAMIĘTNIK ADREI

Dziś rozpoczęło się moje właściwe życie, dlatego dziś zaczynam mój pamiętnik. Wszystko, co było poprzednio, nie ma znaczenia.

Ponieważ dobrowolnie wyrzekłam się sfer towarzyskich, jestem samotna na świecie, bez przyjaciół.

Mężczyzn potrafiłabym sobie na pewno łatwo zjednać, kobietom natomiast nie zależy na mnie. A mnie to cieszy, bo nienawidzę kobiet, może nawet mężczyzn. W każdym razie nie będę darzyć nikogo zaufaniem, dlatego uciekam się do pamiętnika.

Dzisiejszy dzień był dla mnie pełen wydarzeń. Po raz pierwszy tańczyłam przed publicznością. I Paweł de Vaux był u mnie w tym mieszkaniu. Byliśmy całkiem sami. Dziwne, że w tym wielkim mieście musiałam go od razu spotkać. Zmienił się od czasu, gdym go po raz ostatni widziała w klasztorze. Także i ja stałam się inna. A jednak poznał mnie! Jak blado i poważnie wyglądał,

stojąc przed kominkiem i wymawiając me imię. Jest piękny, piękniejszy niż wtedy, gdy zamordowano mego ojca. O, Pawle de Vaux, to był zły dzień dla ciebie. Czy nigdy nie przyszło ci na myśl, że małe śniade dziewczątko – tak mnie wtedy nazywałeś – kiedyś wyrośnie? Czy sądziłeś, że ono potrafi zapomnieć? Mężczyźni są jednak ograniczeni.

Przypomniał mnie sobie dokładnie. Oblicze jego było poważne, lecz głos brzmiał czule. Nie zapomniał, że jest mym opiekunem, a ja jego pupilką. Z jaką trwogą i przestrachem patrzył na mnie! Czego nie chciał się dowiedzieć! Czy żyję sama, czy mam przyjaciół?

Gdy siedziałam na krześle, zbliżył się i tak pochylił nade mną, że głowa jego niemal dotykała mojej. Skoro podniosłam wzrok ku niemu, sądziłam, że mnie obejmie. Uśmiechnęłam się do niego. Nie powiedział nic więcej. Zaprosiłam go na kolację i przyrzekłam potem tańczyć wyłącznie dla niego. Na chwilę położyłam dłoń moją na jego ramieniu, lecz on wziął kapelusz i wyszedł z pokoju. Nie był zbyt uprzejmy. Nie zmienił się zupełnie. Pawle de Vaux, możesz walczyć do woli. W końcu zdobędę cię na pewno...

V
SYGNAŁ BURZY

— Paweł!...

Bez zameldowania wszedł młody człowiek do małego buduaru swej matki. Po podróży był zmęczony i wyczerpany, a matka podnosząc się, spojrzała na niego zmartwiona.

— Nie obawiaj się o mnie — rzekł, pochylając się w ukłonie i całując ją — mam się dobrze.

— A jak się powodzi Arturowi?

— Wczoraj po południu byłem z nim razem. Londyn działa mi na nerwy. To wszystko. Dlatego przyjechałem tutaj by wypocząć, ewentualnie na parę dni wybrać się na polowanie.

Ucieszyła się, że jakiś czas będzie miała przy sobie najstarszego syna. Sympatyczna starsza pani, o okazałej postaci, miała siwe włosy i piękne rysy. Z bliska jednak widoczne były na jej pociągającej twarzy liczne zmarszczki.

— Na jutro zapowiedziany jest wyścig myśliwski.

Punkt zborny w lesie koło Dichtley. Spodziewam się, że do jutra wypoczniesz. Powieś płaszcz. Zamówię dla ciebie herbatę.

— Dziękuję. Szedłem pieszo ze stacji i zmarzłem. Płomień kominka przejmuje mnie błogim ciepłem.

— Żałuję, że nie byłam przygotowaną na twój przyjazd. Wysłałabym z pewnością konie na dworzec.

— W ostatniej chwili zdecydowałem się pojechać i zaledwie zdążyłem na pociąg. Dick Carruthers chciał mnie na parę dni zabrać ze sobą do Paryża, ale to mi nie odpowiadało. Ma tam być teraz zimno i słota. W starym zamku Vaux Court jest tak przytulnie...

— Tak, należy on do najpiękniejszych angielskich posiadłości — odpowiedziała matka, nalewając mu filiżankę herbaty. — Jakkolwiek leży z dala od głównego traktu, było tu w ostatnim tygodniu ponad tuzin ludzi celem zwiedzenia. A ilekroć ciebie nie ma w domu, pozwalam na zwiedzanie.

Paweł pił herbatę, zatopiony w miękkim fotelu.

— Jacy ludzie przychodzą zwiedzać zamek? Zapewne duchowni lub architekci. Może historycy sztuki?

— Tak, nie brak też turystów amerykańskich. Przedwczoraj był nawet tutaj zakonnik rzymskokatolicki. Jak mi wiadomo, cały dzień spędził w ruinach klasztoru.

Paweł przysunął się nieco bliżej do matki, wtedy zauważyła jego bladość i wyczerpanie.

— Czy jesteś chory? — zapytała z trwogą. — Co ci dolega?

— Nic, jestem tylko zmęczony. Jak wiesz, z Londynu daleka droga, a ponadto wspomniałem już, że przestrzeń ze stacji odbyłem pieszo. Poza tym czuję się doskonale.

— Byłeś w tej chwili, tak podobny do ojca swego — rzekła wolno. — Obawiałam się zawsze, gdy miał ten wyraz twarzy.

Odsunął krzesło bardziej w cień.

— Obawiam się, że nie wysypiasz się dostatecznie. Lord Westover wspomniał ostatnio, że przebywasz wiele z dziennikarzami i malarzami. A dla tych ludzi noc jest dniem.

— Lord Westover nie może wydawać wyroku w tej sprawie. Lubię bywać w tych sferach.

— Może teraz zażyjesz kąpieli i przebierzesz się. Wydajesz się znużony i wyglądasz marnie. Zadzwonię na Reynoldsa.

Wyciągnął dłoń i przeszkodził matce w tym zamiarze.

— Poczekaj jeszcze chwilę, matko. Tak tu wygodnie. Zawsze szczególnie lubiłem ten pokój.

Rozglądnął się po dziwnym sześciokącie, którego ściany do połowy pokrywały boazerie. Sufit skonstruowano w formie kopulastego sklepienia. Meble były stylowymi okazami z okresu Ludwika XV, a ozdoby ścian harmonizowały z ornamentyką sprzętów.

— I ja też chętnie tu przesiaduję — odpowiedziała matka spokojnie. — Dzisiaj wieczorem będzie otwarty niebieski salon. Tam spożyjemy kolację, ale tylko dlatego, że lord i lady Westover są zaproszeni. Obawiam się, że May się nie zjawi. Rzekomo jest przeziębiona, a zdrowie jej niezbyt mocne.

Wiadomość ta mało zajęła Pawia,

— Amerykanie mają wielkie zainteresowanie dla ruin? — zapytał.

— Owszem. Ale Reynolds nie lubi ich. Są zbyt

poufali i stawiają wiele niedyskretnych pytań. Ale ten katolicki duchowny był znacznie ciekawszy. Przechadzał się po ruinach klasztoru, jak gdyby znał je od lat. Reynolds opowiadał mi, że ten człowiek bardzo polubił klasztor i że w kaplicy modlił się przez pełne dwie godziny.

— Czy widziałaś go sama?

— Tak, lecz z daleka. Nie zwróciłam wtedy na niego baczniejszej uwagi. Po opowiadaniu Reynoldsa żałowałam tego. Musiał go ogarnąć smutek w starej, opuszczonej kaplicy. Katolicy czczą i poważają swe kościoły i klasztory znacznie bardziej niż my, ich nabożeństwa mają w sobie coś wzniosłego, ich ustosunkowanie do religii cechuje przywiązanie.

Paweł poruszył się na krześle.

— A więc nie zauważyłaś u niego niczego specjalnego!

— Kogo masz na myśli? I o co ci chodzi?

— O katolickiego zakonnika, o którym przed chwilą rozmawialiśmy.

— Rysów jego twarzy nie spostrzegłam. Nie mogę sobie przypomnieć, czy był bardzo wysoki. Jeśli cię ta

postać zajmuje, mógłby ci Reynolds podać inne jeszcze szczegóły. Właśnie nadchodzi.

Wszedł siwowłosy służący i pani de Vaux zwróciła się do niego.

— Reynoldsie, pan Paweł chciałby usłyszeć coś o księdzu zakonniku, który przebywał wczoraj w opactwie. Czy moglibyście go dokładnie opisać?

— Obawiam się, że mi się to nie uda — odrzekł z uszanowaniem starzec. — Zakonnicy są wszyscy podobni do siebie, gdy noszą długie czarne szaty. Był wysoki, szczupły i miał zupełnie wygoloną twarz. Poza tym niczego nie zachowałem w pamięci. Mówił cudzoziemskim akcentem.

— Czy wiecie dokładnie, że to faktycznie duchowny? — zapytał obojętnie Paweł. — Słyszy się ostatnio tyle o oszustach, korzystających ze sposobności, by zbadać domy, do których się następnie włamują. W odniesieniu do tych ludzi bywam zazwyczaj nieufny.

— Wiem na pewno, że to nie był oszust — odparł z przekonaniem Reynolds. — Opactwo naprawdę go interesowało. Znał historię klasztoru lepiej od nas

wszystkich. Gdyby był złodziejem lub włamywaczem chcącym szpiegować, byłby mi ofiarował pieniądze lub co najmniej spróbował się mnie pozbyć.

— To się zgadza — odpowiedział Paweł. — Czy byliście przez cały czas z nim?

— Prawie stale. Gawędził chętnie i zatrzymywał się, ilekroć chciałem odejść. Obserwował dokładnie wszystko, co było godne widzenia. Natomiast nie pragnął obejrzeć zamku jak inni goście, którzy przede wszystkim spieszą się do galerii słynnych obrazów. Przyciągały go tylko mury.

— To oczywiście jest decydujące — odparł krótko Paweł. — Złodziej lub włamywacz nie interesuje się ruinami. Podejrzenie moje było zatem całkiem bezpodstawne.

— Duchowny zapytał także, czy pan tu czasem przebywa i kiedy powraca — rzucił mimochodem Reynolds, zanim opuścił pokój.

Paweł podniósł głowę. Nagle ogarnęła go dziwna trwoga. Przed oczyma jego przesunęła się komnata śmierci ojca i raz jeszcze przeżył w myślach szaloną, niebezpieczną podróż jachtem: widział przed sobą u

bram portu spienione fale, które przeskakiwały przez okręt i zmoczyły go do nitki. Przypomniał sobie owe niekończące się godziny, kiedy wśród nocy sterowali ku małemu, drgającemu płomykowi, oświetlającemu odległy klasztor. I znowu przeżywał wycie burzy i ryk bałwanów tworzący ponurą, koszmarną melodię smutnych wydarzeń. Dolatywała go niemal monotonna, śpiewna modlitwa posępnego mnicha i odtworzył sobie plastycznie cyniczny uśmiech na twarzy okazałego mężczyzny, stojącego u wezgłowia łóżka. Potem pojawiło się małe, śniade dziewczę o ciemnych, rozwichrzonych lokach, o twarzyczce zalanej łzami. Kurczowo obejmowała ona zmarłego i z trwogą patrzała na obcych.

To ostatnie wspomnienie przywołało Pawła z powrotem do rzeczywistości i skierowało myśli jego ku Adrei, która wywarła na nim tak silne wrażenie. Policzki jego pałały i uświadomił sobie znowu, dlaczego opuścił Londyn.

Matka spoglądała nań bacznie i nie mógł się oprzeć jej pytającemu wzrokowi.

— Pawle, czy trapi cię jaki smutek lub troski? —

zapytała wolno.

— Nie matko, to nic.

Była za dumna, by prosić o jego zaufanie, a gdy zaraz potem rozległ się w hallu gong, podniosła się.

— Dziś wieczorem oczekuję paru przyjaciół, Pawle. Pamiętaj o tym i nie spóźnij się.

— Będę punktualny, matko.

Razem opuścili salon i rozdzielili się w hallu. Pani de Vaux zatrzymała się jeszcze, by pomówić z dozorcą. Paweł podążył na górę szerokimi schodami. W korytarzu na pierwszym piętrze przystanął i z wysokiego łukowego okna rzucił spojrzenie na ruiny klasztorne leżące na dole, w parku. Powietrze było mroźne i czyste i jakkolwiek księżyc słabo świecił, rozpoznawał dokładnie resztki murów. Tajemniczy urok przysłaniał piękne, malownicze urwiska i im dłużej Paweł patrzał, tym bardziej zmieniał się wyraz jego twarzy. Lecz nagle zza cienistych łuków wystąpiła ciemna postać i spoglądała bez ruchu w górę...

VI
NIEMIŁE SPOTKANIE

— Panie de Vaux!

Paweł odwrócił się w siodle w stronę młodej pani, która go zagadnęła. Na jej pięknych, uroczych rysach widoczny był cień niezadowolenia. Zmarszczyła czoło.

— Proszę mi wybaczyć lady May! Czy pani powiedziała coś do mnie?

— Jak pan myśli? — odparta, hamując oburzenie. — Wydaje mi się, że zostawił pan w Londynie swe pogodne, wesołe usposobienie. Co się z panem dzieje?

— Nic, żałuję tylko mocno...

— Proszę się nie usprawiedliwiać — przerwała mu. — Będzie lepiej, jeśli dalej pojadę sama.

— Nie czyń pani tego, lady May. Wiem, że byłem niegrzeczny i chciałbym spróbować to zło naprawić.

— Dobrze — odpowiedziała nieco spokojniej. — Proszę jednak nie sądzić, że uskarżam się bez powodu. Zagadnęłam pana trzy razy, zanim dostałam odpowiedź. Przez cały dzień nie zeskoczył pan z konia i często

narażał się na niebezpieczeństwo. Niektóre lekkomyślne skoki pana graniczyły z szaleństwem. Podziwiam odważną, dzielną jazdę konną, ale z umiarem i dla jakiegoś celu. To nie jest zresztą tylko moje zdanie, inni sądzą tak samo. Brałam udział w wielu wyścigach, odkąd ojciec podarował mi pierwszego wierzchowca, nie widziałem ani razu, by ktoś próbował wziąć most od strony Annisforthu. I nie chciałabym już tego więcej zobaczyć — dodała z trwogą. — Wiem, że posiada pan dobre i nieokiełzane rumaki, lecz nigdy nie był pan tak nierozsądny jak dzisiaj. A swoją czarną klacz zniszczył pan do tego stopnia, że długo potrwa, zanim będzie zdolna do ponownej jazdy. Stary Harrison miał łzy w oczach, skoro ujrzał zwierzę w takim stanie.

— Harrison w odniesieniu do zwierząt jest starą babą. Nieraz dawałem Mag ostrogę. To właśnie ona była tak swawolna i rozbawiona, że ledwie mogłem ją hamować.

— Nie może pan mnie zwieść — odparła spokojnie lady May. — przez cały dzień wykonywał pan szaleńcze skoki, by spaść. Wielkie szczęście, że uszedł pan z życiem i nie złamał karku, jak to leżało w

zamiarze pana. A potem, gdy się to panu nie udało, jechał pan obok mnie bez słowa na przestrzeni dziesięciu mil.

Chciał odpowiedzieć, że nie szukał przecież jej towarzystwa, lecz milczał. Lady May słusznie gniewała się na niego. Byli ze sobą zaprzyjaźnieni od czasów najwcześniejszego dzieciństwa i wszyscy znajomi Pawła spodziewali się, że ożeni się kiedyś z Lady May. Wiedział też, że lady May oczekiwała jego oświadczyn i że z tej racji odrzuciła dwóch poważnych konkurentów. Ich rodzice i rodziny pragnęły też tego związku, a sama lady darzyła Pawła uczuciem. Dlatego też było zrozumiałe, że długie jego milczenie w czasie jazdy powrotnej oburzyło ją i rozgniewało. Oczywiście urządziła w ten sposób, że wracał tylko w jej towarzystwie.

— Proszę się na mnie nie gniewać — próbował ją udobruchać. — Trapią mnie różne troski i zmartwienia.

Natychmiast zwróciła się ku niemu ze współczującym uśmiechem:

— Żal mi pana bardzo, proszę zapomnieć o mej poprzedniej porywczości. Dawniej opowiadał mi pan

zawsze o swym smutku.

Potrząsnął głową.

— Nie mogę podzielić się z panią wszystkimi szczegółami. Dziś rano otrzymałem z miasta list od znajomego, zasługującego stanowczo na zaufanie. Pismo dotyczy Artura. Pani wie, jak on łatwo podlega obcym wpływom. Jeżeli pozna kogoś bliżej, staje się zupełnie od niego zależny. Teraz zawarł znajomość z pewną tancerką, Adreą Kiros, która go opanowała. Uległ zupełnie jej czarowi.

— Słyszałam o niej — odrzekła wolno lady May. — Występuje ona tylko w domach prywatnych, podczas zebrań towarzyskich. Wszyscy ludzie, z którymi o niej mówiłam, uważają ją za wielką artystkę.

— Tak, to prawda. — Paweł chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zamilkł. Lady May obserwowała go i zauważyła, że nie może obojętnie mówić o Adrei Kiros.

— Nie chcę skarżyć się na Artura — ciągnął dalej. — Jest ulubieńcem matki. Pani wie, że matka nasza pozostała wierna tradycji i że tego rodzaju pogłoski muszą ją poważnie niepokoić. A Artur jest wątłego zdrowia. Mój przyjaciel pisze, że wygląda nędznie i jak

po chorobie. Adrea bawi się nim widocznie.

— Czy nie byłoby lepiej, żeby pan pojechał do Londynu i rozmówił się z Arturem? — zapytała. — Musi mi pan przyznać, że tej rady udzielam, nie bacząc na siebie — dodała z uśmiechem. — Nie chciałabym, by pan odjeżdżał tak szybko z powrotem. Wiem jednak, jak bardzo jest pan przywiązany do Artura. Z pewnością uda się panu zabrać go z Londynu i uwolnić go spod tego ujemnego wpływu. Nie uważa pan, że przydałby mu się odpoczynek tutaj? Co myśli pan o mym projekcie?

Był jej wdzięczny, że mówiła tak o tych sprawach. Wydawało mu się, że obowiązek dyktuje mu tę podróż do Londynu. List od przyjaciela wręczono mu jeszcze przed dwoma dniami, dwa razy telegrafował już do Artura, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Obawiał się bliskości Adrei, a jednak tęsknił za jej obecnością. Nawet z daleka wywierała nań – bez wątpienia – silny wpływ. Nie powinien może do tego dopuścić.

— Propozycja pani wydaje mi się bardzo rozsądna. Jutro jadę do Londynu. Bardzo jestem pani wdzięczny, za jej żywe zainteresowanie.

Spojrzał jej prosto w twarz, a potem na pustą równinę rozciągającą się po obu stronach. Zapadał listopadowy wieczór. Niebo na zachodzie przybrało koloryt czarno-żółty. Świeży, ożywczy powiew dochodził od strony morza. Z daleka docierał odgłos fal, rozbijających się o nadbrzeżne kamienie.

Paweł znał dobrze ten wiatrami miotany, nieporośnięty kraj o rozległych równinach i torfowiskach z cichymi samotnymi płaszczyznami wodnymi i nieustającym szumem morza. To była jego ojczyzna. Kochał ją. Nigdy przedtem nie uświadomił sobie tego tak wyraźnie. Począł niechętnie myśleć o podróży do Londynu. Piękność północnej Anglii opanowała go zupełnie i usunęła na drugi plan tamto uczucie. A skoro popatrzył teraz na lady May, z jasnymi lokami i niebieskimi oczyma, pojął, że właśnie przywiązanie do lady May przykuwało go do ojczystych stron. Pochylił się ku niej i dłoń położył na jej siodle.

— Jest pani tak dobra dla mnie — rzekł łagodnie.

Z radością spojrzała na niego, a oczy jej wymowniejsze były od słów.

— Chciałabym przebywać częściej z panem — odparła spokojnie — by mi pan tak jak dawniej powierzał wszystkie swe smutki i troski. Pamięta pan jeszcze o tym?

— Owszem i czasem chciałbym, aby te dni powróciły.

Mijali trawnik, ciągnący się wzdłuż bocznej ulicy, ku opactwu. Na miękkim gazonie nie było słychać kopyt końskich. Milczała i odwróciła głowę, by nie dojrzał łzy w jej oku. Ręka jego spoczywała jeszcze na jej siodle, w drugiej trzymał wolno cugle.

— Gdyby te czasy wróciły, gdybym znowu mógł być szczęśliwy — szeptał prawie niedosłyszalnie. — Nie będzie pani miała ze mną lekkiego życia. Mam ciężkie troski, a raczej jedną, lecz tym większą i bardziej przygniatającą.

Popatrzyła na niego i mimo woli przypomniała sobie ów czas, kiedy to opowiadano o Marcinie de Vaux dziwne historie. Lecz to już należało do przeszłości i teraz nie chciała go o to pytać. Ufała Pawłowi i zawsze brała go w obronę w przekonaniu, że dzieje mu się krzywda. Kobieta jest stale skłonna

potępić tych, którzy są przeciwnikami jej ukochanego. Zbliżył swego konia jeszcze bardziej ku niej i nagle uścisnął jej wąską rączkę, obejmującą trzcinkę.

— May...

W tej chwili spłoszył się koń, skoczył na bok i począł gwałtownie wierzgać. Wysoka, ponura postać stanęła pośrodku drogi i chwyciła za cugle konia lady May. Człowiek ten, tak nagle wystąpił z półmroku, że Paweł i May nastraszyli się nie mniej niż zwierzęta.

— Cóż u dia...

Obcy człowiek paru cichymi słowami uspokoił konia lady May i wystąpił na środek szosy. Rysy jego były prawie niewidoczne, natomiast szata i kontury postaci dawały się już rozpoznać. Nosił długą, ciemną, mnisią sutannę i płaski kapelusz o szerokim rondzie, typowy dla rzymskokatolickich zakonników. Paweł urwał w połowie słowa, a podniesione ramię z pejczem opadło bezsilnie.

Poznał natychmiast ojca Adriana, chociaż lata zmieniły go. Podjechał do niego i zwrócił się w ten sposób:

— Czy ojciec zmylił drogę? — zapytał spokojnie.

— To jest prywatna droga, a brama po drugiej stronie prowadzi do zamku.

Mnich spojrzał na niego przez chwilę poważnie, następnie usunął się na bok, jak gdyby chciał im obojgu umożliwić przejazd.

— Żałuję, że nastraszyłem państwa i ich konie — odparł łagodnie dźwięcznym głosem o silnie obcym brzmieniu. — Stałem obrócony plecami i czekałem na wschód księżyca pomiędzy ruinami. Ziemia jest tak miękka, że nie słyszałem uderzenia kopyt. Służący zamku pozwolił mi przechadzać się między ruinami. Może oddaliłem się zanadto,

— To nie szkodzi — odpowiedział Paweł. — Zajmują księdza ruiny?

— Tak.

— W zamku jest kilka cennych obrazów, które może także zainteresowałyby ojca. Przeważnie pochodzą z nowszych czasów. Mamy jednak także rozmaite wartościowe pędzle, jedną Madonnę Rubensa i wielu mistrzów włoskich.

— Dziękuję panu, lecz ograniczam się do sztuki średniowiecznej. Te ruiny przedstawiają dla mnie

większą wartość, niż jakikolwiek obraz o świeckich motywach. Spędzam tu każdy wieczór i spodziewam się, że na krótki czas mego pobytu nie odmówi mi pan swego pozwolenia.

— Chętnie. Może się ojciec poruszać swobodnie. Jestem mister de Vaux.

Paweł uderzył konia swego lekko trzcinką.

— Dobranoc.

— Dobranoc. Serdecznie dziękuję.

Jechali dalej wzdłuż alei. Paweł milczał, zatopiony w myślach i nie zdradzał najmniejszej ochoty do kontynuowania poprzedniej rozmowny. Przy skręcie drogi odwrócił się w siodle. Mnich stał jeszcze ciągle na ścieżce. Trwał odwrócony plecami, bez ruchu, jak kamienny posąg.

VII
PYTANIE

Pełnia księżyca oświetlała ruiny opactwa Vaux. Z dala srebrzyła się wstęga strumyka, w pobliżu jaśniały sitowiem obrośnięte stawy, ciemne sosny na piaszczystych zboczach zatracały w świetle księżyca swój ponury kontur.

Między skalistymi łukami ruin stał zakonnik. Twarz miał skierowaną ku jasnej tarczy, a twardość jego rysów znikła. Dręczył go niepokój i zwątpienie.

— Sześć dni modliłem się w ruinach — rzekł półgłosem do siebie — lecz urągają mi te ciche, księżycowe noce. Jeżeli istnieje Bóg i Święta Madonna, dlaczego odwrócili Swą łaskę ode mnie? To, żem tu przyjechał, jest smutnym i beznadziejnym pomysłem. Lepiej dla mnie byłoby pozostać i życie skończyć w pustym klasztorze Cruty, nie doświadczywszy słabości i pokus wielkiego świata bez duszy, bez serca. Walka tutaj pozostanie dla mnie wieczną, straszną zagadką. Nie umiem się rozprawiać z tym światem, nie umiem z

nim płakać i śmiać się. Tkwię w nim, a jednak jestem z dala od niego. Dlaczego przysłano mnie tutaj?

Przeszkodził mu szelest łamiących się gałęzi. Paweł de Vaux przystąpił do niego. Na frak swój narzucił obszerny, wygodny płaszcz.

Ojciec Adrian podszedł mu parę kroków naprzeciw i przez długą chwilę patrzyli obaj badawczo na siebie. Wiedzieli, że nie jest to zwyczajne spotkanie. Wyglądało tak, jak gdyby obaj mierzyli i próbowali wzajemną potęgę.

— Ojcze Adrianie, znamy się już od dawna — począł Paweł.

— Tak.

— Rozumie ojciec, że byłem zdumiony, zobaczywszy go tutaj, w Anglii. Czy ojciec opuścił klasztor na Crucie?

— Wyjechałem stamtąd miesiąc po odjeździe pana.

— A przecież ksiądz złożył przysięgę. Czy nie obowiązuje ona przez całe życie?

Duchowny uśmiechnął się z goryczą.

— Moja przysięga nie ma nic wspólnego z

klasztorem. Zakon nasz był biedny, a teraz zamknięto klasztor.

— A więc ojciec nie jest mnichem!

Ojciec Adrian potrząsnął głową.

— W młodości mej odprawiłem dwuletni nowicjat, żyłem w klasztorze, ale nigdy nie składałem przysięgi. Do życia klasztornego nadają się bardziej święci i surowi mężczyźni niż ja.

— Kim więc pan jest?

— Jestem... ojcem Adrianem, księdzem Kościoła rzymskokatolickiego. Więcej nie mogę panu powiedzieć.

Światło księżyca padało teraz prosto na jego ciemne, wyraziste rysy. Paweł spojrzał badawczo, lecz zakonnik wytrzymał spokojnie i pewnie ten wzrok.

— Cóż sprowadza księdza do opactwa Vaux? — zapytał wreszcie Paweł.

— Chciałem zobaczyć pańską posiadłość

— A jednak kierowało, ojcem coś więcej, niż zwyczajna ciekawość.

— Chciałem widzieć domostwo Anglika, Marcina de Vaux, który umarł na mych rękach, w klasztorze

Cruty. O zbawienie jego duszy modliłem sic tutaj przez sześć nocy, bo umierając, popełnił ciężki grzech.

— Czy przybył ksiądz tutaj po to, by mi to przypomnieć? — zapytał z goryczą Paweł. — Może żałował ojciec swego dotychczasowego milczenia? Nie zechce ksiądz przecież złamać serca wdowy, opowiadając jej historię, która poprzedziła zgon Marcina de Vaux. Czy w tych ostatnich ponurych chwilach zdradził księdzu tajemnicę swego życia? Czy powiedział dlaczego przybył na Crutę?

— Owszem — odparł poważnie zakonnik.

— Mój Boże — zawołał z przestrachem Paweł.

Dotychczas obawiał się tylko, że wieść o tragicznej śmierci ojca unieszczęśliwi matkę. Teraz nagle innymi oczyma począł patrzeć na ojca Adriana. Szczęście i zgoda rodziny zależały od dobrej woli tego człowieka.

— Zaufano ojcu tajemnicę konającego — rzekł ochryple. Tajemnica spowiedzi powinna być dla księdza tak niezłomna, jak sama religia.

Znowu potrząsnął zakonnik głową.

— Nie, on wzbraniał się przed spowiedzią. Wyraźnie zaznaczył, że mówi ze mną jak mężczyzna z

mężczyzną.

Paweł potępiał słabość swego ojca. A jeśli mnich z jakichś powodów przestanie strzec tajemnicy! Dlaczego właściwie przyjechał tutaj? Dlaczego nie uważa za spowiedź ostatnich zwierzeń umierającego? Istniała tylko jedna możliwość. Może chce pieniędzy za swe milczenie?

— Nie rozumiem księdza — odparł wreszcie Paweł. — Dlaczego przyjechał ojciec tutaj?

Zakonnik spojrzał poważnie na bok.

— Dopytuje się pan zbyt wiele. Czas jeszcze nie po temu. Spotkamy się znowu. Bądź pan zdrów.

Odwrócił się by odejść, lecz Paweł położył mu dłoń na plecach.

— Jeżeli ojciec sądzi, że ma mi coś do powiedzenia, to lepiej teraz. Zniosę wszystko. Wiem tylko, że ojciec mój miał tajemnicę. Treści jej nie znam. Proszę mówić.... Proszę mówić... Proszę powiedzieć wszystko.

Zakonnik usunął się na bok:

— Jeszcze nie. Nie powziąłem jeszcze wyraźnego postanowienia. Przyrzekłem panu przecież, że się

znowu zobaczymy.

— Ale...

— Bądź pan zdrów.

Ojciec Adrian oddalił się szybkimi krokami i znikł w ciemnościach nocy.

— Niechaj ojciec zawróci, muszę z nim jeszcze mówić — zawołał zrozpaczony Paweł.

Lecz zakonnik nawet się nie obejrzał. Paweł patrzał za nim. Widmo zgrozy, którego stale się obawiał, teraz zbliżało się nieuchronnie.

VIII
BEZNADZIEJNA MIŁOŚĆ

Paweł i Artur dzielili kawalerskie mieszkanie w dzielnicy Mayfair. Dzielić nie jest wprawdzie odpowiednim określeniem, bo Paweł nabył dom i był jego wyłącznym właścicielem. Artur mieszkał w tym domu, ilekroć spędzał urlop w Londynie, i tam zastał Paweł brata w dniu przyjazdu do stolicy.

W milczeniu podali sobie obaj bracia dłonie. Paweł nie miał ochoty do rozpoczęcia rozmowy. Wygląd brata go zaniepokoił. Miał zapadnięte, blade policzki z gorączkowymi rumieńcami i silnie podkrążone oczy. Plik niebieskich arkuszy i parę urzędowych kopert leżało na stole.

— Życzyłbym sobie, byś mnie zawsze uwiadamiał o swym przyjeździe do Londynu — rzekł Artur. — Oczekiwałem cię dopiero dziś wieczorem.

Paweł wszelkimi sposobami starał się zachować swobodę i oparł się o kominek. Rola, jaką miał teraz odegrać, nie odpowiadała mu zupełnie. Musiał jednak

upomnieć młodszego brata. Okoliczności zmuszały go do tego.

— Musiałem wstać dzisiaj wczesnym rankiem, by nie stracić połączenia z Normanton. Przybyłem dlatego, że zostałem wybrany na przewodniczącego klubu, a dotychczas nie brałem udziału w żadnym posiedzeniu. Poza tym przyrzekłem Westoverowi poprzeć go na zebraniu, które się jutro odbędzie. Czy umówiłeś się jeszcze z kimś na wieczór? Jeśli nie, mogliśmy razem zjeść kolację, a następnie gdzieś się zabawić.

— Żałuję mocno, lecz mój urlop już dzisiaj wieczór się kończy — odrzekł Artur ze smutkiem.— Pociągiem o czwartej wracam do Aldershot. Następnie czeka mnie tydzień ciężkiej pracy.

Paweł przysłuchiwał się.

— Szkoda, chciałem cię na parę dni zabrać do opactwa Vaux. Państwo Westoverowie zaprosili na swój zamek paru miłych ludzi i zamierzają urządzić zebranie towarzyskie. May prosiła, bym cię bezwarunkowo przywiózł. Nie mógłbyś przyjechać za tydzień?

— Obawiam się, że to nie da się zrobić — odparł,

rumieniąc się Artur. — W przyszłym tygodniu mam parę zajętych wieczorów.

— Matka będzie bardzo strapiona — odpowiedział spokojnie Paweł. — Oczekuje cię na pewno. Już dawno nie byłeś w domu. Ja na twym miejscu spróbowałbym jednak uzyskać urlop.

— Jeśli będzie możliwe, przyjadę. Zawiadomię cię z Aldershot,

— Nie wyglądasz dobrze — zauważył troskliwie Paweł. — Dolega ci coś?

— Nie, mam się dobrze. Dokucza mi tylko ból głowy, nic ponadto.

— Czy masz dużo weksli w obiegu? — Paweł wskazał na podłużny niebieski formularz.

— Muszę przecież mieć pieniądze. — Wiem, co mi powiesz teraz, że gotówka, którą od rodziny dostaję, powinna wystarczyć, lecz czasem naprawdę nie umiem sobie poradzić.

— Chciałem się ciebie jeszcze zapytać, czy zamierzałeś właśnie wystawić weksel?

Artur przytaknął skinieniem głowy:

— Tak, wpłynęło parę rachunków, muszę je

zapłacić. Za wekslowym pokryciem dostanę pieniądze od Plymsolla. To bardzo dyskretny człowiek. Wszyscy moi znajomi zwracają się do niego w potrzebie.

— Daj mi ten weksel, zdyskontuję go za ciebie. — Wyciągnął dłoń i Artur wręczył mu papier.

— Dziękuję.

Paweł wziął weksel, spojrzał przelotnie na wysokość sumy, następnie wrzucił do pieca.

— Nie mam przy sobie mej książeczki czekowej, ale w drodze do klubu zatrzymamy się w banku. Wtedy podejmę dla ciebie pieniądze. Cieszę się, żem tę całą historię jeszcze w porę odkrył.

— To bardzo ładnie z twej strony — odparł wolno Artur. — Nie miałbym odwagi raz jeszcze zwrócić się do ciebie. Dłużny ci już jestem tak wielką kwotę.

— Nie mówmy teraz o tym. Skreślę bez zastanowienia cały dług, wraz z dzisiejszą pożyczką, jeśli przyszły tydzień spędzisz w domu. Naturalnie, o ile ci się uda otrzymać urlop.

Artur podniósł się, oparł o kominek i ukrył twarz w dłoniach.

— Nie mogę się oddalić na dłużej z Londynu, jak

na jeden dzień, Pawle — rzekł cicho. — Tak chętnie wyznałbym ci powód, lecz nie zrozumiesz go.

— Zdaje mi się, że wiem — odparł spokojnie, Paweł. — Masz kogoś, z kim nie możesz się rozstać. Zgadza się?

Artur podniósł twarz. Była zupełnie blada, usta jego drżały.

— Skąd wiesz o tym? I co wiesz?

— Nie wiem nic pewnego. Opowiedz mi wszystko, może będę mógł ci pomóc. Chodzi o kobietę?

— Tak, o Adreę Kiros, tancerkę.

Artur usiłował mówić spokojnie, lecz w głosie jego drżała tłumiona namiętność.

— Zapewne doniesiono ci już. Wiem wszystko, co mi powiesz, ale to niczego nie zmieni. Ta kobieta nie ma serca. Wiem o tym. Nie kocha mnie. I o tym jestem przekonany. Jest tak okrutna, jak tylko kobieta być może. Czasem doznaję wstrząsu na myśl, że chcę do niej powrócić. A jednak nie mogę się od niej oddalić. Sądzisz zapewne, że postradałem zmysły i może masz rację. Ale mogę ci tylko wyznać, jak jest. Nic się

zmienić nie da. Jestem całkiem pod jej wpływem, jak wszyscy inni ludzie, którzy ją poznali i widzieli.

Paweł położył dłoń na ramieniu brata i spojrzał na niego przyjaźnie,

— Arturze, bardzo mi cię żal. Rozumiem cię. Nie znam dokładnie Adrei Kiros, lecz wiem, że jest to niebezpieczna kobieta. Czy mogę ci w czymś pomóc?

— Mnie nikt nie może pomóc — odparł Artur gwałtownie.

Był przygotowany na dobrą radę, na morały, lecz pełne wyrozumiałości stanowisko brata zwiększyło jego niepewność,

— Straszny niepokój mnie dręczy. Czasem jest tak dobra dla mnie, tak łagodna, że muszę ją ubóstwiać i czcić. I nagle bez najmniejszego powodu staje się oziębła, twarda, okrutna, że rozpacz mnie chwyta i nie wiem, dlaczego to wszystko znoszę. Nigdy nie odczuwam pełni szczęścia i zadowolenia, nawet wtedy, gdy darzy mnie swą łaską, bo nie wiem, jak długo to potrwa. Gdy się z nią żegnam, pełen trosk myślę o następnym dniu.

— Byłoby więc wskazane radykalne zerwanie.

Artur wstrząsnął głową.

— Próbowałem już, lecz to nie ma żadnego sensu. Jeżeli od niej uciekam, czuję się bezgranicznie nieszczęśliwy i następnym pociągiem wracam do niej. Ach, gdybym ci mógł to wszystko wyjaśnić! Adrea jest dla mnie taką koniecznością, jak powietrze, którym oddycham. Życie jest mdłe, a dzień ciągnie się bez końca, dopóki jej nie zobaczę. Dla mnie jest ona probierzem i ucieleśnieniem wszystkiego, może ze mną robić, co zechce. Jej wzrok lub słowo przyprawiają mnie o piekielne udręki lub ściągają niebo na ziemię. Skąd ma tę władzę nade mną, nie wiem. Wiem natomiast, że tak jest

Paweł milczał. Może odczuwał, że w takiej chwili lepiej nie mówić. Słowa były całkiem bezskuteczne. Przechadzał się po pokoju tam i z powrotem, a gdy potem zagadnął brata, nie poruszył już tego tematu.

— Ubierz się teraz i chodź ze mną na obiad — rzekł łagodnie. — Jestem zbyt głodny, by móc cię pocieszyć. A poza tym musimy wstąpić do banku.

Artur zgodził się i poszedł się ubrać.

Paweł usiadł na krześle i zatopił wzrok w

płomieniach kominka. Czy Adrea Kiros chciała się zemścić na synu człowieka, który zabił jej ojca? Jeżeli taki miała zamiar, to osiągnęła swój cel. Jak może uratować Artura? A cóż dopiero się stanie, gdy matka o tym się dowie? Na wszelki wypadek postanowił odszukać Adreę, zanim opuści Londyn. Myślał już o tym, co począć, gdyby Artur go nie posłuchał i nie wrócił na drogę rozsądku.

Cały świat wydawał się jaśniejszy i promienniejszy, gdy wyszli na ulicę. Ubranie wywiera wielki wpływ na nastrój człowieka. Artur nienagannie ubrany, z kwiatkiem w butonierce, idący u boku brata, wywierał całkiem inne wrażenie, aniżeli zgarbiony, zrozpaczony człowiek w piżamie, który siedział przed godziną przy stole. Gorączkowe podniecenie Artura nie uszło uwagi Pawła.

— Pawle, czy chcesz mi wyświadczyć wielką przysługę — zapytał, gdy mijali Piccadilly.

— O co chodzi?

— Wątpię, czy to uczynisz. Adrea chciałaby, byś ją odwiedził, i przyrzekłem dołożyć wszelkich starań, by przyprowadzić cię dziś popołudniu na herbatkę.

— O ile życzysz sobie tego, pójdę z tobą — odparł Paweł niezbyt zachwycony. Nie chciał bowiem, by brat poznał, że zamierzał być u Adrei. — Czy wspominała ci ona, że się znamy?

— Tak, wszak po zebraniu u lady Swindon odwiozłeś ją do domu. Opowiadała mi o tym.

Paweł się zastanawiał. Może byłoby najlepiej po rozmowie z Adreą powtórzyć wszystko bratu. Jednakowoż nie był jeszcze zdecydowany. Skręcali właśnie ku Pall Mall, gdy Artur zdjął kapelusz i stanął na krawędzi chodnika. Zatrzymało się małe auto i Paweł znalazł się nagle naprzeciw Adrei.

Oczy Artura jaśniały, a policzki pałały radością. Nosiła brązowe futro, które okrywało jej postać. Po przywitaniu nie zwracała na Artura najmniejszej uwagi, darząc swym zainteresowaniem wyłącznie Pawła.

— A więc znowu w Londynie? Czy wydaje się panu pobyt na wsi w obecnej, mglistej porze zbyt monotonny, czy niecierpiące zwłoki interesy ściągnęły pana tutaj?

— Tak, jestem za interesami. Cieszę się, że mgła i wilgotne powietrze listopadowe nie zaszkodziły pani.

Wygląda pani znakomicie

— Dziękuję, mam się bardzo dobrze. Jak długo pan tu pozostaje?

— Zaledwie parę dni.

— Za zimno, by dłużej tu gawędzić. Czy mógłby pan przyjść dzisiaj popołudniu na herbatkę?

Paweł spojrzał jej prosto w twarz.

— Jest pani bardzo łaskawa. Z przyjemnością przyjmuję zaproszenie.

Pochyliła głowę.

— Więc około piątej. Przyjdzie pan także, Arturze? — dodała obojętnie.

— Tak późno, nie będę już mógł przyjść — odparł ze smutkiem w głosie.

— Ach, prawda! Pan wraca do Aldershot. Proszę się tylko nie przepracowywać.

Wóz ruszył. Artur patrzał za nim, aż zginął w masie pojazdów.

— Mogła była zaprosić nas na wcześniejszą porę — rzekł ponuro. — Wiedziała dobrze, że o tej porze przyjść już nie mogę.

Paweł ujął ramię brata. Było dla niego jasne, że

Adrea z rozmysłem wybrała późniejszą godzinę.

Spożyli razem obiad i Paweł czynił wszystko, co możliwe, by ożywić brata. Potem, gdy się rozłączali, prosił raz jeszcze Artura, by na parę dni przyjechał do domu.

— Zastanów się nad tym poważnie. Matka chciałaby cię koniecznie zobaczyć. Tak tęskni za tobą. Dołożymy starań, by ci pobyt uprzyjemnić. Pomówię z twym pułkownikiem, gdy go jutro zobaczę w mieście.

Artur, jakkolwiek niezbyt stanowczo, przyrzekł przyjazd.

— To bardzo ładnie z waszej strony, że chcecie mnie widzieć. Postaram się o to, a może uda mi się na parę dni zwolnić.

Pociąg ruszył, a Paweł wracał wolno do swego wozu.

— Dokąd! — zapytał szofer.

Po krótkim zwlekaniu, wymienił Paweł adres Adrei.

IX
PONOWNE SPOTKANIE

Gdy Paweł znalazł się przed domem, nie natrafił na nikogo, kto by mógł go zameldować. Skoro przeczekał parę chwil, podążył schodami na górę i zapukał do drzwi mieszkania. Ale i teraz nie zjawiła się służba. Paweł przekroczył próg przedpokoju. Następnie uchylił drzwi pokoju, do którego go wtedy Adrea zaprosiła. Początkowo uderzyła go panująca tam cisza, dopiero po nieco głośniejszym pukaniu stwierdził czyjąś obecność.

— Proszę wejść — doszedł go jakiś zmęczony głos. Paweł wszedł do środka i zamknął ostrożnie drzwi za sobą.

Komnata pogrążona była w półmroku, jakkolwiek słońce jasno świeciło. Firanki zakrywały okna tak, że promień światła nie mógł się przez nie przedostać. Powoli jednak oswoił się Paweł ze zmierzchem i rozpoznawał poszczególne przedmioty. Znajdował się tu dopiero po raz drugi, lecz znał już doskonale pokój i

urządzenie. Często wracał myślami do ich pierwotnego spotkania.

Panująca pustka zastanawiała go. Bezpośrednio po tym, gdy mocniej zajaśniały płomienie kominka, zauważył Adreę i osłupiały przystanął bez ruchu. Leżała na szerokim tapczanie w pobliżu okna, z ramionami założonymi pod głowę. Rękawy jej luźnej szaty opadały z boku, a kształty jej uwydatniały się wyraźnie. Przez chwilę zawładnęła nim chęć uklęknąć przed nią i objąć ją. Opanował się jednak. Zrozumiał, że uroda jej jest obca. Podziwiał ją wbrew swej woli. Nosiła zieloną jedwabną, popołudniową suknię, harmonizującą doskonale z jej śniadą cerą. Oczy miała zamknięte.

— Powiedziałam przecież, by mnie przed piątą nie budzić — rzekła zaspanym tonem.

Paweł zbliżył się o krok naprzód.

— Jest kwadrans przed piątą. Proszę wybaczyć, że przychodzę za wcześnie.

Otworzyła oczy i skoro go zobaczyła, zerwała się z tapczanu.

Podniósłszy się, odgarnęła krótkim gestem dłoni włosy, doprowadziła suknię do porządku. Następnie

podała rękę Pawłowi, który nie uświadomiwszy sobie tego wcale, stał już przy niej.

— Proszę się nie gniewać, że zaspałam. Sądziłam, że to pokojówka. Jak to się stało, że pan wtargnął tutaj?

— Żałuję bardzo — odparł wreszcie nieco ozięble. — Gdy byłem w hallu, portier dzwonił dwa razy na pokojówkę pani. Ponieważ się nie zgłosiła, próbowałem sam odnaleźć drogę.

— Nic nie szkodzi — odparła spokojnie, podeszła do ściany i zaświeciła światło.

Wzrok Pawła śledził jej smukłą postać, a gdy się nagle odwróciła, spotkało się ich spojrzenie.

— Pawle, czy podobam się panu?

— Nadzwyczajnie. — Patrzał na złotą obręcz na jej czole, wysadzoną w środku wielkim szmaragdem. — Ubiór pani przypomina mi Wschód. W każdym razie doskonale pani w tym. Co prawda w tej dziedzinie, sąd mój nie jest miarodajny, ponieważ mam zbyt mało doświadczenia — dodał szybko.

Uśmiechnęła się cicho, zadzwoniła i dała pokojówce, która natychmiast weszła, parę zleceń.

— To, co pan mówi o Wschodzie, twierdzili stale o mnie krytycy gazetowi. A więc jednak zdradza mnie moje pochodzenie. Doskonale przypominam sobie jeszcze Konstantynopol — ciągnęła, marząc dalej, i popatrzyła poważnie na niego. — To prawda, byłam wtedy jeszcze dzieckiem. Ale te wspomnienia wracają stale, skoro jestem sama.

Nagle owładnęło Pawłem stare uczucie, że jest odpowiedzialny za Adreę. Była opuszczona na świecie, a ojciec jego był sprawcą jej osamotnienia. Jakże mało troszczył się dotychczas o nią. Spojrzał teraz na znajomość ich w innym świetle. Jeżeli dręczą ją niepowodzenia, jego w tym wina, za mało dba o nią. Wstydził się teraz, że dotychczas wobec niej był tak oziębły. Zapomniał, że uciekła z klasztoru, zapomniał o jej obecnej roli. Gdy tak patrzała na niego swymi ciemnymi oczami, pamiętał tylko, że jest opuszczoną sierotą. W stosunku do niej nie spełnił swoich obowiązków, a teraz odczuwał subtelne przywiązanie do tego dziwnego, obcego dziewczęcia, siedzącego na tapczanie. Nieświadomie, pieszczotliwie, położył swą rękę na jej ramieniu.

Drgnęła, jakby porażona prądem elektrycznym, a spojrzawszy w twarz jego, odkryła w niej zmianę. Po raz pierwszy, odkąd spotykali się w Londynie, darzył ją serdecznym wzrokiem. Przyszło to tak niespodzianie, była tak nieprzygotowana na to, że rumieniec zabarwił jej policzki. Oczy jej zajaśniały.

— Czy czuje się pani, mimo tylu znajomości, czasem samotna i opuszczona, Adreo?

Czerwień policzków przybrała jeszcze ciemniejszy odcień. Popatrzyła nań z wyrzutem.

— Czy nazywa pan znajomymi ludzi, którzy przychodzą, by podziwiać mój taniec i potem rozmawiają ze mną? O, nienawidzę ich wszystkich! Czasem bawi mnie to, ale nic poza tym. Nie przedstawiają dla mnie żadnej wartości.

— Nie ma pani przyjaciółki?

— Nie, Z kobietami spotykam się mało, Angielek nie lubię.

— Lecz taka ekskluzywność i izolowanie się nie są wskazane dla pani, Adreo.

— Nie są wskazane — powtórzyła cicho. — Czy tak bardzo troszczy się pan o mnie, Pawle?

— Wzięła pani swe życie we własne ręce i usunęła się spod mej opieki.

— Tak, nie czynię też panu zarzutów,

— Teraz utrudniła pani wszystko.

— Nie potrzebuję niczego — przerwała mu dumnie. — Wystarczam sobie sama. Nie żądam niczego od pana, tylko jednego...

Spojrzała mu w twarz i popatrzyła nań czule. Oczy jej błyszczały, a wyraz ich był niedwuznaczny. Namiętność drgała w jej słowach i zanim zdołał się odsunąć, z błogim westchnieniem przytuliła się do niego. Głowa jej spoczywała na jego ramionach. Ramionami objęła jego szyję.

— Pawle, jestem tak samotna i czuję się tak źle. Czy nie mógłby pan tylko trochę mnie pokochać, tylko troszeczkę — prosiła.

Nie odepchnął jej, ale też nie przycisnął do siebie. Oszołomiony zwalczał w sobie pożądanie. Lecz jej bliskość oczarowała go. Słodka, rozkoszna woń unosiła się z jej włosów i sukni. Paweł czuł, że słabnie i zdawało mu się że ulegnie
jakiemuś niewidocznemu czarowi. Stopniowo

zwyciężała jednak rozwaga i oparł się pokusie, by wziąć ją w ramiona,

pocieszać, pieścić i namiętnie całować.

Wolno i ostrożnie usunął jej ramiona ze swej szyi i trzymał jej dłonie w swoich. We wzroku jej pałała tęsknota.

— Adreo — rzekł głosem ochrypłym i obco brzmiącym — czy nie wie pani...

Przerwała mu, obejmując go ponownie.

— O, wiem, wiem. I rozumiem wszystko. Lecz nie mogę żyć bez ciebie, Pawle!

Głowa jej opadła na jego ramiona. Nie mógł jej odepchnąć. Czule otoczył ją swym ramieniem i przycisnął do siebie. Teraz kończyła się jego walka, bo skoro po raz drugi oparła się o niego, nasunęło mu się wspomnienie jasnowłosej kobiety z niebieskimi oczami. Musiał nagle pomyśleć o szarych skałach i torfowiskach swej ojczyzny, o ciemnych milczących świerkach z rozłożystymi gałęziami. Wydawało mu się, że słyszy szum morza. Jeśli teraz nie zapanuje nad sobą, nie będzie miał więcej prawa spojrzeć na tę jasną dziewczynę. Ta myśl dodała mu siły.

— Ależ kochana moja Adreo! Omal nie zapomniałem o mej roli opiekuna - rzekł wesoło. - Niech pani siądzie, chcę z nią pomówić.

Nie stawiała mu najmniejszego oporu, gdy prowadził ją do krzesła.

— Adreo…

Nagle odepchnęła dłoń jego, leżącą na jej ramieniu i zerwała się.

— Jak może pan naigrawać się ze mnie? Nienawidzę pana — nienawidzę! — Głos jej przesiąknięty był namiętnym podnieceniem, drżała na całym ciele. Pochylił głowę przed jej gniewem i milczał. Stała wyniośle i w swym oburzeniu była stokroć piękniejsza niż poprzednio.

— Obraził mnie pan, Pawle de Vaux. Jestem panu zobowiązana, lecz nie wolno mnie upokarzać. Czy naprawdę sądzi pan, że kocham pana? Czy pamięta pan ową niesamowitą noc, w której zamordowano mego ojca? Czy przedsięwziął pan cośkolwiek, by temu przeszkodzić. Proszę wysłuchać mnie zanim pan odejdzie. Pan ma brata. On kocha mnie szalenie, a ja go zniszczę, odepchnę go i rzucę jak starą rękawiczkę.

Artur nie jest tak zimny i nieczuły, jak pan. Lecz to jeszcze nie wszystko. Wydobędę tajemnicę ojca i wyjaśnię, dlaczego go zamordowano. Kiedyś świat się dowie o wszystkim, a teraz proszę odejść!

W milczeniu opuścił Paweł mieszkanie, lecz złowieszczy dźwięk tych słów towarzyszył mu po drodze.

X
PROŚBA

— Czy poczta nie przyniosła dziś żadnych listów do mnie? — zapytał Paweł siedzącą naprzeciw niego przy stole matkę.

— Tylko jeden — odparła. — Leży w bibliotece, czy mam po niego posłać?

Paweł potrząsnął głową.

— Nie, nie spieszy mi się — odpowiedział swobodnie. — W drodze na górę będę go mógł zabrać. Przejażdżka konna była piękna, nieprawda lady May? Przemierzyliśmy kawał drogi... Czy wolno prosić o jeszcze jedną porcję herbaty?

Pani de Vaux wzięła filiżankę, uśmiechając się z zadowoleniem. Ostatnio wyglądał tak źle i niepokojąco, że trapiły ją troski o niego. Zdaje się, że teraz nastąpiła jakaś zmiana. Oczy jego błyszczały, policzki nabrały koloru. Sposób, w jaki odnosił się i troszczył o lady May, radował matkę. Ich przyjaźń przybrała cechy dawnej serdeczności, a ich wzajemna harmonia nie

różniła się już w niczym od początkowych czasów.

Paweł czuł się po raz pierwszy od powrotu swego na zamek Vaux silny i pewny. Był prawie przekonany, że zatrze te wszystkie wspomnienia. Chciał zapomnieć o Adrei. Konny spacer w czerstwym jesiennym powietrzu i szeroka równina działały na mego ożywczo. Lady May była stale obok niego. Rozweselała go swym szczebiotem i odpędzała każdą myśl o Adrei. Oderwał się od tamtej i odzyskał swój spokój. Jakże był szczęśliwy, że mógł śmiało patrzeć lady May w oczy, że swobodnie mógł przysłuchiwać się jej kochanemu głosowi. Skoro May uczuła wzrok jego na sobie, zmieszała się podniosła i nagle ręką chwyciła kapelusz.

— Tak, dzień był piękny, a wypoczynek tutaj posłużył mi niezwykle. I herbata znakomicie mi smakowała — zwróciła się do pani de Vaux. — Muszę jednak teraz jechać. Koń mój jest kompletnie wyczerpany, więc pójdę pieszo.

— Przewidziałem to. Nie wiem, czy zrobiłem dobrze — odparł Paweł, podnosząc się - ale odesłałem natychmiast pani masztalerza z koniem do domu, a dla pani zamówiłem powóz.

— To bardzo ładnie...

— Może więc pani jeszcze pozostać. Tu będzie moją nagrodą. Wszak dopiero szósta.

— Nie. Dziś wieczorem oczekujemy znowu gości. Do widzenia, lady de Vaux.

Paweł odprowadził ją i pomógł przy wsiadaniu. Po raz pierwszy w życiu trzymał jej rękę nieco dłużej, niż się należało, a ona odwzajemniła jego uścisk.

— Czy jest pani jutro w domu, lady May!

Spojrzała na niego przez chwilę, następnie pochyliła głowę. Serce jej biło silniej, przeczuła bowiem, co chciał w ten sposób wyrazić.

— Tak — odrzekła wolno.

— W takim razie przyjadę do pani. Do widzenia.

— Dowidzenia.

Paweł pozostał przez chwilę przy drzwiach i spoglądał na powóz znikający w alei. Potem wrócił do hallu, a po krótkim wahaniu wszedł do biblioteki. Pokój był duży i ciemny. Szafy sięgały do połowy wysokości ścian, a ponad nimi wisiały olejne obrazy, portrety przodków. Po drugiej stronie sali były szafy tak skonstruowane, że tworzyły kąty wraz ze ścianami. W

ten sposób powstawały alkowy. W jednej z nich, tak obszernej jak mały pokoik, stało biurko Pawła. Na półkach znajdowały się jego ulubione książki. Przebywał tu często i czytał, siedząc w wielkim, wygodnym fotelu.

Ponieważ polowanie rozpoczęło się bardzo wcześnie, nie mógł oczekiwać nadejścia poczty z pobliskiego miasteczka. Pani de Vaux rozdzielała listy, a ten, o którym wspomniała, leżał na rogu biurka. Nie miał pojęcia, od kogo pochodzi. Zapewne zawierał zaproszenie lub prośbę o wsparcie. Nagle drgnął, skoro rozpoznał wielką, kwadratową kopertę i pismo. Owładnęło nim silne zdenerwowanie i zdawało mu się, że ma przed oczami zasłonę. Rozstąpiły się ściany biblioteki i przed sobą miał pokój Adrei z całym przepychem kolorów. Czuł na sobie gorący i pełen pożądania jej wzrok. Było to szaleństwo słodkie i rozkoszne.

Dziwnie odurzająca woń wydobywająca się z otwartego listu potęgowała jeszcze to wspomnienie. Gdy usiadł teraz, opanował go zupełnie czar obcego dziewczęcia. Płomień kominka wygasł, przez okno

przedostawał się blady księżyc.

W hallu rozległ się gong. Paweł ocknął się z marzeń i zawstydził się, że dał się tak zawładnąć wspomnieniom. Wyjął list z koperty i czytał go szybko.

18 Gray Street, London W., czwartek.

Panie Pawle!

Moja ręka drży nieco teraz, gdy piszę do Pana i myślę, w jakim rozeszliśmy się nastroju. Muszę jednak do Pana pisać. Czuję się bardzo mała i wstydzę się przed sobą i przed Panem. Jestem smutna, opuszczona, złamana. Jestem nieszczęśliwa, od kiedy pan się oddalił. Proszę mi wybaczyć. Intencje pana jako opiekuna, były z pewnością dobre, ja natomiast zachowałam się niżej krytyki. Zasługuję na karę, lecz proszę mi wierzyć, poniosłam ją już. Od tej pory prawie że nie spałam, a oczy mnie bolą od płaczu. Wszystkie zaproszenia i spotkania na ten tydzień odmówiłam, nie występowałam nigdzie i nie tańczyłam. Drzwi mego mieszkania są dla każdego zamknięte. Panie Pawle, niech pan będzie wyrozumiały i przebaczy mi. Cierpiałam wiele, ale to moja wina. Proszę zapomnieć,

co się wówczas po południu zdarzyło. Odeszłam snadź od zmysłów. Proszę wymazać z pamięci me ówczesne słowa. Chcę być tylko tym, czym byłam poprzednio – pupilką pana. Chcę wszystko uczynić, czego pan pragnie. Ale proszę przyjść do mnie i powiedzieć mi, że się pan nie gniewa. Nie pokaże się Arturowi, gdy odwiedzi mnie. Pan sam podyktuje mi odpowiedź na jego namiętne listy. Leżą wszystkie na moim biurku, cały stos. Panie Pawle, pan musi przyjść, inaczej zmusza mnie pan, że – lecz nie chcę grozić. Panu i tak jest obojętne, co się ze mną stanie. Panie Pawle, był pan tak dobry dla „małego śniadego dziewczęcia", jak mnie pan dawniej nazywał. Proszę mnie nie opuszczać. Żałuję głęboko postępowania mego. Celestyna powiada codziennie, że szczupleję i wyglądam chorobliwie, lustro powtarza to samo. Ach, jestem tak nieszczęśliwa i dlatego, że pan daleko, i dlatego, że gniewa się na mnie. Wróć pan do mnie. Będę posłuszna i uczynię wszystko, czego pan zapragnie. Ale musi pan wybaczyć

Adrea

XI
PAMIĘTNIK ADREI

...Dziś wieczorem wydarzyła mi się pewna przygoda. Byłam wdzięczna za to, bo na jakiś czas zajęła mój umysł. Cały dzień pozostawałam w domu, krążąc niespokojnie i nerwowo po pokoju. Wieczorem wzięłam płaszcz i kapelusz i wyszłam na ulicę, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie baczyłam zupełnie na obraną drogę, bo była mi obojętna. Na zachodzie widniały ostatnie ślady zmierzchu. – Początkowo nic nie mąciło spokoju, nie było wiatru, stopniowo jednak zachmurzało się niebo, a potem padły pierwsze krople deszczu. Niepogoda się wzmagała, lecz odpowiadała ona zupełnie memu nastrojowi.

Gdy deszcz przybrał na sile, poczęłam się oglądać za autem, ale nie znalazłam żadnego. Nie wiedziałam też, gdzie jestem – wszak Londyn jest tak niesamowicie wielki. Sądząc po dolatującym do mnie zgiełku i gwarze, musiałam się znajdować w pobliżu wielkiej ulicy. Ta natomiast, na której stałam, wywierała dość

przykre wrażenie. Po jednej stronie otwierał się obszerny, ciemny pasaż, wyglądający jak ponure sklepienie. Lecz w deszczu każde schronienie było mi pożądane. Stanęłam pod zasłoną daszku, by czekać na wolne auto.

Po drugiej stronie ulicy zauważyłam mężczyznę ze skrzynią pomarańcz, a obok niego chłopca z gorącymi kasztanami. Tło dla nich tworzył wielki, posępny gmach, podobny do szpitala lub domu starców. Okna były wąskie i długie, a niektóre z nich miały kolorowe szyby. Na bramie nie umieszczono metalowej tablicy lub innego znaku wyjaśniającego charakter domu. Ponieważ stałam bezczynnie, odgadywałam rozmaite możliwości tej kamienicy. Zaintrygowały mnie czyste, małe, marmurowe schody wiodące do gmachu i mosiężna, błyszcząca klamka. Dom różnił się bardzo od otaczających go budynków. Chciałam, by ktoś wszedł do środka i dał mi sposobność zobaczenia wnętrza. Lecz nikt nie otworzył drzwi, jakkolwiek tu i ówdzie ludzie przechodzili.

Deszcz osłabł tak dalece, że mogłam wyjść na ulicę. Lecz ten dziwny dom absorbował mnie bardzo i

pozostałam w niepewnym wyczekiwaniu. Minęło pół godziny, nie zaspokoiwszy mej ciekawości. Niebo rozjaśniło się, gęste chmury rozpłynęły się w przestrzeni. Dziwnym zbiegiem okoliczności cała niecierpliwość moja znikła. Tajemniczo wyglądająca kamienica fascynowała mnie nadal tak, że nie chciałam odejść, nie dowiedziawszy się czegoś bliższego. Skoro się jednak nic nie zdarzyło, przeszłam przez jezdnię do sprzedawcy pomarańcz.

— Czy wie pan, co to za dom? — zapytałam go.

Wyjął swą brudną fajkę z ust i splunął na bruk.

— Nie — odpowiedział mrukliwie.

Zwróciłam się do chłopca.

— Czy ty wiesz coś może o tym domu!

Zaprzeczył głową.

— Nie, pewnego także nic nie wiem. Sądzę jednak, że to dom katolicki. Wielu mężczyzn w długich sutannach i płaskich kapeluszach wchodzi tam i wychodzi. Popatrz Bill, oto masz ją znowu. Nie traci nadziei...

Mężczyzna popatrzył w górę i coś zamruczał pod nosem. Podążyłam za wzrokiem chłopca i spostrzegłam

ciemną okazałą kobietę mijającą szybko ulicę po drugiej stronie chodnika.

Postać ta od pierwszej chwili wydawała mi się znajoma. Śledziłam ją z zainteresowaniem. Przed zamkniętą bramą przystanęła, zwlekała, jak gdyby nie wiedziała, co począć. Zanim się zdecydowała, odwróciła głowę i poznałam ją. Natomiast ja dla niej byłam niewidoczna, bo stałam w cieniu.

— Stara przychodzi regularnie jak zegarek — zauważył mężczyzna.

— Chciałbym wiedzieć, co to ma znaczyć.

Drżałam w tej chwili tak, że nie byłam zdolna przejść przez ulicę. Chłopak popatrzył na mnie z ciekawością.

— Zdaje mi się, że pani ją zna — rzucił. — W ciągu ostatnich dwóch tygodni przychodzi tu stale o tej samej porze.

Tak, znałam ją. Oddychałam ciężko i patrzyłam na wysoką, smukłą postać w czarnych szatach, czekającą na schodach ze spuszczoną głową. Podobieństwo było wybitne, pomyłka wykluczona. A więc była w Anglii. Całkiem sama, wolna - jak miałam to rozumieć? Czy

należało pójść do niej, czy ukryć się? Mogłam się oddalić niespostrzeżona przez nią. Nagle pomyślałam o dawno minionych czasach mego najwcześniejszego dzieciństwa, gdy wiatr i słońce opalały twarz moją. Wsłuchiwałam się wtedy w uderzenia fal na brzegu i w okrzyki morskiego ptactwa. Byłam na Crucie i tęskniłam do wolności. Pewnego razu przekradłam się o zmierzchu przez skalistą ścieżkę na brzeg, gdzie na wodzie unosiła się mała łódź. Ta kobieta wtedy pomagała mi przy ucieczce łodzią. Wzięła na siebie gniew starca, którego obydwie bałyśmy się tak bardzo. Zdawało mi się, że słyszę jej kochane, łagodne słowa, którymi mnie wtedy pocieszała. Na pamięć wróciły mi te wszystkie kłamstwa, które opowiadałam przed nią z rozmysłem i zimną krwią, by tylko uciec ze skalistej wyspy, gdzie mnie żywcem pogrzebano. Okłamywałam ją, ona darzyła mnie swym poparciem. Nic dziwnego, że drżałam i chciałam uciec.

— Coś ty mówił o tej pani — rzekłam do chłopca, opierającego się w półsiedzącej pozycji o ścianę domu. — Co sądzisz o niej?

Mężczyzna i chłopak opowiadali równocześnie.

Rozumiałam słabo ich dialekt i domyślałam się częściowo tylko, co wyrazić chcieli. Ta osoba codziennie tu przychodziła, stale
pytała o coś u bramy, a otrzymawszy krótką odpowiedź — odchodziła przygnębiona, z pochyloną głową. I zawsze wracała, by przeżyć to samo rozczarowanie. Wydawała się smutna, nawet zrozpaczona. Więcej obaj chłopcy podać nie mogli. Dałam chłopcom szylinga, a potem pewna siebie przystąpiłam do owej pani.

W tej chwili otworzyła się brama i usłyszałam pytanie:

— Czy ojciec Adrian podał swój adres, albo przyjechał?

Odźwierny zatrzymał się w półmroku tak, że pozostał dla mnie niewidoczny. Usłyszałam tylko basowe, nieuprzejme słowa:

— Nie, ojciec Adrian nie napisał, ani nie przyjechał.

— Dziękuję panu — odpowiedziała cicho i odwróciła się. Stałam teraz naprzeciwko niej. Zeszczuplała wyglądała mizernie, ubranie jej było

zniszczone.

Z początku nie poznała mnie, gdy jednak wymieniłam me nazwisko, była bardzo zaskoczona.

— Adrea, Adrea! — zawołała zdziwiona.

W tej chwili przejeżdżała taksówka, którą zatrzymałam. Gdy pomagałam jej wsiąść, opierała się ciężko o mnie. Zaledwie jednak dojechałyśmy, opuściły ją siły i zemdlała...

XII
PAMIĘTNIK ADREI

Dzisiaj wieczorem miałam przejście, które mnie nad wyraz przeraziło. Siedziałam sama w mym pokoju, zadumana przy kominku, gdy nagle na schodach rozległy się kroki. Z początku sądziłam, że to Paweł. Zeskoczyłam i nadsłuchiwałam z natężeniem. Czułam, że policzki me pałają, a serce bije silniej. Potem jednak poznałam, że są to kroki obcego i ożywienie moje znikło.

Wreszcie zapukano silnie i energicznie do mych drzwi. Zanim mogłam odpowiedzieć i otworzyć, jakiś mężczyzna stanął na progu. Pokój mój pogrążony był w ciemnościach, ale jasny, zimny głos od razu nie był mi obcy.

— Szukam Adrei Kiros. Czy to jej mieszkanie i czy jest w domu?

Drżącymi palcami zaświeciłam światło i popatrzyłam w stronę drzwi. Mężczyzna tam stojący był brunetem, miał poważne rysy i patrzył ku mnie

bystro. Przeczucie innie nie myliło. Był to ojciec Adrian.

— A więc przecież znalazł mnie ojciec — rzekłam wolno. — Proszę wejść do środka i zamknąć drzwi za sobą.

Podszedł powoli bliżej i stanął na środku pokoju. Rysy jego były blade i twarde, lecz oczy pałały. Zebrałam całą odwagę i z wymuszonym uśmiechem siadłam na krześle.

— Jeżeli ojciec ma mi coś powiedzieć, proszę zająć miejsce.

— Jeśli mam pani coś powiedzieć? — powtórzył, a w głosie jego drgała tłumiona namiętność. — Takimi słowy wita się pani?

— Jeśli ojciec przychodzi do mnie, jako przyjaciel; cieszę się...

Zbliżył się. Obserwowałam go bacznie. Zrozumiałam bowiem, że nie zamarło w nim jeszcze dawne uczucie, co mi poniekąd schlebiało. To ułatwiało walkę.

— Mam dosyć powodów, by być dla pani złym. Zawiodła nas pani. Okłamała nas pani dla zdobycia pomocy. Gdyby nas zabrakło, byłaby pani dotychczas

na Crucie. Szkoda, że Bóg kazał mi zająć się panią.

— To nie brzmi zbyt uprzejmie.

— Dziewczyno, gdzie twój rozum? Na Crucie nie miałaś trosk i byłaś wesoła. Bóg świadkiem, że serce twe było czyste. Teraz jesteś tancerką i rzuciłaś się w wir życia.

Wstałam, wyprostowałam się, mierząc go wzrokiem. Słaba czerwień zabarwiła jego czoło

— Proszę mnie wysłuchać, ojcze. Ksiądz mówi o sprawach, których nie rozumie i zapewne nigdy nie pojmie. My oboje należymy do odmiennych światów. Obowiązki duchownego nie są moimi. Proszę mnie na zawsze opuścić. Musimy iść własnymi, rozbieżnymi drogami. Przejawy życia mierzymy różną miarą. Ojciec jest duchownym, ja kobietą. Dziękuję za wszystko, co w przeszłości ojciec dla mnie zrobił. Przez pamięć o tym zapominam o teraz wyrządzonej obrazie. Proszę iść!

— Adreo, nie mogę pani na zawsze stracić z oczu — odparł ze smutkiem i przygnębieniem. — Proszę Boga, by mi to umożliwił. Lecz to jest wykluczone. Zawsze jakiś wewnętrzny głos rozkazuje mi Oddal się.

Nie zdobędę się na to. Troszczę się o przyszłość pani, jak w poprzednich latach. Ach, Adreo, cierpiałem bardzo z powodu naszej rozłąki. Gdybym był cię nigdy w życiu nie zobaczył...

— Więc niechaj ojciec teraz wszystko zapomni. Ojciec to potrafi — odrzekłam oschle.

— Nie, to ponad moje siły — odpowiedział w podnieceniu. — Adreo, wydaje mi się pani czasem zakładnikiem, a taka myśl o pani działa niczym zły i grzeszny sen. W życie me nie wniosła pani niczego poza bólem i niepokojem. Nie mogę cię zapomnieć.

Żałowałam tego człowieka. W dawnych czasach przebywałam z nim razem wiele. Był moim opiekunem i ostatecznie zawdzięczałam mu moją wolność, ucieczkę ze skalistej wyspy. Dlatego odezwałam się do niego łagodnie i serdecznie:

— Mamy różne usposobienia, które się nie zmienią. Dla nas obojga będzie lepiej iść osobno przez życie.

Znowu się zbliżył i na chwilę położyłam dłoń moją na jego. Była zimna jak lód i drżała, dawne uczucie dla mnie owładnęło nim całkowicie.

— To, co pani powiada, jest do pewnego stopnia słuszne — odpowiedział cicho. — Lecz proszę mnie nie oddalać od siebie. Kiedyś będzie pani sądzić inaczej. Mogą panią nawiedzić troski i kłopoty, a wtedy przydam się pani. Proszę mnie uważać za brata i darzyć zaufaniem.

— Byłabym bardzo zadowolona, gdybyśmy pozostać mogli przyjaciółmi. Czynił mi ojciec wyrzuty. Nie są całkiem słuszne, jakkolwiek zarabiam tańcami na życie. Występowałam jednak tylko na prywatnych zebraniach. Taniec mój jest sztuką i tak oceniają go krytycy. Muszę zaznaczyć, że w Londynie jestem uznawaną powszechnie za artystkę. To, w oczach ojca jest grzechem, uchodzi w moich za najwyższe piękno. Chcę powiedzieć ojcu, że może jestem teraz lepsza niż dawniej, spełniłam bowiem dobry czyn.

Podniósł rękę, lecz nie zważałam na to.

— Zwierzę się z tym księdzu... Przed paru dniami spotkałam przypadkowo nieszczęśliwą kobietę. Wyrwała się z okrutnej niewoli, była jednak opuszczona, bez przyjaciół i pieniędzy w całkiem obcym mieście. Nie mogła odszukać człowieka, na

którego pomoc liczyła. Podał jej adres, gdzie rzekomo może się o nim dowiedzieć. Dzień po dniu pytała daremnie. Może nie było to jego winą, lecz ona była juz blisko śmierci głodowej.

— Kto to taki?

— Znalazłam ją i zabrałam do siebie. Mieszka u mnie!

Podczas ostatnich mych słów otworzyły się drzwi i owa kobieta stanęła naprzeciw niego. Naprzód oboje milczeli – tak wielkie było ich zdziwienie. Potem on przystąpił szybko do niej, wyciągnął ramiona i przycisnął do siebie. Wyszłam cicho z pokoju, zostawiając ich samych.

XIII
ŚCIEŻKA PROWADZĄCA DO OBŁĘDU

Okres deszczowy z wiatrem i burzami nadciągał z północy Wicher znad morza pędził przed sobą ciemne chmury. Towarzystwo myśliwskie z zamku Vaux rozproszyło się we wszystkich kierunkach. Uczestnicy wracali jak najszybciej do domów. Niebo przez cały dzień było już szare, pełne groźby, a teraz o zmroku przyszła nagle rzęsista ulewa.

Jeźdźcy podnieśli kołnierze i zapalili papierosy. Zdążali do wioski, której światełka wyłaniały się mimo odległości z ciemnej kotliny. Na skrzyżowaniu dróg oddzielił się Paweł od gromady, wybrał szosę w kierunku zamku i rzucił im pożegnanie

— Czy jedzie pan do domu, de Vaux? — zapytał kapitan Westover jadący u jego boku. — Proszę z nami na kolację; gdy deszcz ustanie, pojedzie pan z powrotem do zamku. Rumakowi pańskiemu nie zabraknie u nas niczego. Proszę pana!

Paweł wykonał przeczący gest głową.

— Dziękuję panu bardzo za serdeczne zaproszenie, lecz deszczem się nie przejmuję. Mam przed sobą krótką jazdę, zaledwie parę kilometrów.

Kapitan Westover wzruszył ramionami.

— Oczywiście, jak pan woli. Moja rodzina byłaby się bardzo cieszyła, gdybym był pana przywiózł. Nawiasem mówiąc, przyrzekł pan odwiedzić nas. Moja siostra pytała mnie dzisiaj rano o pana. Proszę zatem jutro wieczór na kolację.

— Serdeczne dzięki. O ile przyjściu mojemu nic nie przeszkodzi, zjawię się punktualnie. Dobranoc.

Kapitan Westover zwrócił się w stronę innych, a Paweł oddalił się, w przeciwnym kierunku. Jechał jednak stępa, z pochyloną głową i wolnymi cuglami. List Adrei tkwił w jego kieszeni. Od chwili otrzymania nie upłynął jeszcze tydzień. A teraz gdy podniecenie polowania minęło, myślał – jak zwykle – o niej. Walka przeciwko temu nie miała sensu.

Przez cały dzień wysilał się nad tym, by ją zapomnieć. Nie oszczędzał ani siebie, ani konia, by pod wpływem fizycznego wysiłku zmusić się do bezmyślności. Starał się pozbyć tych dręczących

refleksji, lecz nadaremnie. Jego czerwony dres, o nienagannej czystości na początku polowania, pokryty był błotem. A koń jego, już drugi, którego dnia tego dosiadał, z trudem przebierał nogami. Mimo to celu swego nie osiągnął. Nie czuł ani głodu, ani zmęczenia. Dokądkolwiek skierował swe spojrzenie, czy to na szarą mgłę, ciągnącą się od strony torfowiska, czy na nierówną drogę lub na zachmurzone niebo, widział przed sobą list Adrei, słowo za słowem, zdanie za zdaniem. I miał wrażenie, że słyszy jej głos.

Widział jej twarzyczkę i łzy w jej ciemnych oczach i zdawało mu się, że dolatuje go namiętne drżenie jej tłumionych słów. Dzień po dniu toczył rozpaczliwą walkę ze sobą, by oprzeć się pożądaniu. Codziennie bliski był wyjazdu do miasteczka – dla pozoru – by stamtąd pociągiem zdążyć bezzwłocznie do Londynu. Jakby go przyjęła? I co on jej powie? Myśli jego szalały.

Sumienie dyktowało mu inne zobowiązania, charakter jego był szczery i uczciwy, i wzbraniał się przed namiętnością zgubną dla serca, chociaż krew w jego żyłach burzyła się, choć młodość domagała się

swych praw. Wiekowa tradycja rodzinna buntowała się przeciwko naturze. Uśmiechnął się gorzko. Jak to było możliwe, że kochał May i równocześnie pożądał Adrei? Tracił grunt pod nogami.

Jechał tak prawie godzinę z wolnymi cuglami w przekonaniu, że wierzchowiec sam trafi do stajni. Zwierzę nagle przystanęło i Paweł zdziwiony spojrzał wokoło siebie. Z początku nie orientował się zupełnie, gdzie się znajduje. Pod wpływem głębokiego, głuchego szumu docierającego doń, pojął, że jest całkiem blisko brzegu morskiego. Zamiast po wąskiej ścieżce, prowadzącej do zamku Vaux koń szedł ciągle prosto przed siebie, przez co Paweł oddalał się od swego celu. Koń był zupełnie wyczerpany i niezdolny do jazdy powrotnej. Trząsł się w kolanach i patrzał żałośnie na Pawła. Jeździec sam był przemoczony do nitki. Chwyciły go dreszcze, gdy zeszedł z konia, by rozruszać sztywne członki. Szara mgła gęstniała, a szosa z powodu deszczu tonęła w błocie.

Paweł rozejrzał się i poznał mniej więcej, gdzie się znajduje. W swym znużeniu zbłądził koń na prywatną drogę prowadzącą do posiadłości starego,

spensjonowanego majora Harcourta. Sam dom majora Paweł już minął. W pewnym oddaleniu spostrzegł zamkniętą bramę żelazną, która umożliwiała dostęp do morza. Nie pozostawało mu nic innego, jak wejść do mieszkania i prosić o przytułek.

— To ładny kram — rzekł i pogłaskał szyję konia. Potem zarzucił lejce na ramię. — Chodź, Mag, zobaczymy, może u majora Harcourta znajdzie się stajnia, a w niej nieco owsa.

Kroczyli wolno, bo koń utykał i często przystawał.

Nagle Mag nastawiła uszy i zadrżała. W niewielkim oddaleniu ujrzał Paweł kontury domu i przyspieszył kroku.

Pawła łączyła z majorem Harcourtem znajomość i jakkolwiek ostatnio długo go nie widział, uważał prośbę swą za całkiem naturalną. Prowadził konia wzdłuż płotu i zadzwonił do bramy.

— Panie majorze Harcourt — zaczął Paweł, gdy drzwi się rozwarły, lecz słowa ugrzęzły mu w gardle. Służący wpatrujący się w ciemności był mu znany. Przed nim stał Gomez.

XIV
OSZAŁAMIAJĄCA TRUCIZNA

Gomez nie poznał jeszcze Pawła, bo ten stał w cieniu.

— Czy jeszcze ciągle nie wie pan, kim jestem? — zapytał Paweł de Vaux.

Cień przesunął się po twarzy służącego. Położył rękę na sercu, jak gdyby dla uśmierzenia nagłego bólu, usunął się na bok i szerzej otworzył drzwi.

— Proszę mi wybaczyć, panie Pawle. Nie widziałem twarzy pana. Racz pan wejść bliżej.

Paweł puścił lejce i wszedł do środka. Wielki hall z białą, marmurową podłogą i kominkowym ogniem wyglądał tak przytulnie i ciepło. Z mieszkania dolatywał go brzęk talerzy.

— Co wy porabiacie, Gomezie? — zapytał Paweł. — Byłem pewny, że znaleźliście posadę w sądzie.

— Highes nie jest jeszcze spensjonowany. Tak długo muszę czekać. Dlatego w międzyczasie objąłem posadę zarządcy u majora Harcourta.

— Czy major jest nieobecny i dlatego musicie zawiadywać domem?

Gomez potrząsnął głową i spojrzał z dziwnym wyrazem twarzy na Pawła.

— Major Harcourt nie spędza zimy tutaj. Odnajął swoją willę z meblami.

— Ach, jakie to przykre. A więc, kto tu mieszka? — zapytał pośpiesznie Paweł. — Widzicie przecież, w jakim jestem stanie. Koń jeszcze bardziej ucierpiał. Zboczyliśmy z drogi i zabłądziliśmy aż tutaj.

— Jedna pani wydzierżawiła ten dom — odparł Gomez. — Przyjechała dopiero wczoraj wieczorem.

Rozczarowany Paweł wzruszył ramionami.

— A więc dobrze, pójdźcie do niej i opowiedzcie jej, co się mi przytrafiło. Proszę o nocleg dla konia mego w jej stajni, o pozwolenie krótkiego wypoczynku tutaj i o powóz na drogę powrotną do zamku. Jeśli usłyszy moje nazwisko, nie będzie przecież miała nic przeciwko temu. Któż to właściwie?...

Gomez milczał chwileczkę, następnie ujął Pawła pod ramię i wskazał ku drzwiom.

— Panie Pawle — rzekł szybko ochrypłym głosem

— wzdłuż płotu prowadzi prosta droga do zamku bez okrążenia. Jest coś ponad trzydzieści kilometrów. Pokażę panu ścieżkę. Pan jest znużony, ale nie wolno panu zwracać teraz na to uwagi. Proszę usłuchać mej rady i wierzyć, że to tylko dla pańskiego dobra. Powinien pan ten dom możliwie szybko opuścić. Koniem pana zajmę się, on może tu pozostać. Jutro pan po niego wstąpi.

Zdziwiony Paweł popatrzył na niego.

— To są brednie, Gomezie. Czy wiecie czego ode mnie żądacie? Jestem zupełnie wyczerpany. Jestem tu i tu pozostanę, chyba że dzierżawczyni domu jest tak niegościnna jak wy.

Gomez pochylił się w ukłonie i zamknął bramę.

— Dobrze. Niech pan pamięta, że ostrzegałem pana. Tylko dobro pana miałem na względzie. Proszę za mną. Pomyślę o tym, by koń czym prędzej dostał się do stajni. Pani, która dom ten wynajęła, zwie się de Merteuil.

Paweł nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Nie było mu wesoło na duszy, gdy przechodził przez hall. Zaraz potem znalazł się w długim pokoju urządzonym

staromodnie lecz gustownie. Świecznik okryty był jaskrawym abażurem. Abażur był tak ściągnięty, że pokój leżał w półmroku. Jasny płomień palił się na kominku i roztaczał miłe, ożywiające ciepło.

Z początku przypuszczał, że w pokoju nie ma nikogo, za chwilę jednak z krzesła obok fortepianu podniosła się wysoka, blada kobieta o pięknych ciemnych oczach i blond włosach. Spojrzała na niego pytająco.

— Obawiam się, że bardzo pani przeszkadzam — rzekł Paweł równocześnie z ukłonem. — Jadąc konno do domu zmyliłem drogę, a teraz koń jest tak wycieńczony, że siły go zupełnie opuściły. Ze mną też nie o wiele lepiej. Dostrzegłem światła w oknach, a ponieważ znam majora Harcourta i nie wiedziałem, że posiadłość swą odnajął, zajechałem tu na wszelki wypadek. Jestem Paweł de Vaux i chociaż zamek nasz leży w znacznej odległości, jesteśmy najbliższymi sąsiadami.

W czasie jego tłumaczenia pani domu spoglądała nań w milczeniu, z szeroko rozwartymi oczami, jakby skamieniała. Paweł zauważył, że opanowała ją dziwna

trwoga. Nie jest może całkiem normalna — rzekł do siebie. Gomez mógł go przecież uprzedzić. Gdy skierował się ku wyjściu, zagadnęła go przecież:

— Nazywa się pan rzeczywiście Paweł de Vaux?

Ukłonił się i z większym zainteresowaniem zwrócił się w jej stronę. Nazwisko jego nie było jej snadź obce. Wkrótce dziwne odrętwienie ustąpiło i poczęła z nim gawędzić, jakkolwiek w dość oryginalny sposób.

— Proszę wybaczyć, byłam zrazu nieco zaskoczona. Racz pan pozostać tutaj.

Zadzwoniła i natychmiast wszedł Gomez.

— Podajcie świeżą herbatę, kanapki i wino. W stajni rozkażcie zająć się wierzchowcem tego pana.

Gomez przyjął zlecenie w milczeniu i z ponurą twarzą.

Paweł patrzał za nim zdziwiony.

— Służący nie jest, zdaje się, zachwycony naszym spotkaniem — napomknął. — Chciałbym tylko wiedzieć, co ma przeciwko mojej wizycie.

— Taki już jest sposób jego zachowania się — objaśniała uprzejmie. — Był przecież zajęty o ojca pańskiego?

— Tak. Skąd pani wie o tym? — zapytał szybko Paweł. — Zapewne nadmienił o tym pani. Ma pani w nim bardzo oddanego służącego.

Potakiwała tylko, nie odpowiadając. Paweł stwierdził, że rozmowa z trudnością się kleiła. Na wszystkie jego uwagi odpowiadała krótko, nie spuszczała zeń jednak wzroku, patrząc ciemnymi oczyma zagadkowo i obco, jak gdyby twarz jego i rysy coś jej przypominały. Paweł czuł się nieswojo i był zadowolony, gdy Gomez przyniósł tacę. Podała mu w milczeniu filiżankę herbaty, a on znowu próbował nawiązać z nią rozmowę.

— Jak pani przedtem wspomniała, czuje się pani obco w tym kącie kraju. My, którzy spędzamy tu całe życie, kochamy naszą ojczyznę. Obawiam się, że początkowo dokuczy pani samotność i jednostajność. Mieszka tu mało ludzi, z którymi można by obcować, a i ci nie są bardzo towarzyscy.

— Nie pragniemy kontaktu z ludźmi — odparła szybko. Przyjechałyśmy tutaj — przynajmniej ja — by żyć w odosobnieniu. Odnosi się to również do mej pasierbicy. W Londynie bawiła się noc w noc, skutkiem

czego jej zdrowie ucierpiało. Lekarz zalecił jej bezwzględny spokój, a ponieważ i ja chcę wypocząć, przyjechałyśmy tutaj. Pośrednik mieszkaniowy w Londynie przeprowadził tę transakcję.

— Jestem ciekaw, czy spotkałem kiedyś córkę pani w towarzystwie — odparł. — Jestem często w Londynie i mam tam wielu znajomych.

Zdaje się, że pytanie to zaskoczyło ją niemile. Ogarnął ją niepokój i nie spoglądała już więcej na niego, tylko na płomienie ognia kominowego.

— Jest to dość nieprawdopodobne — odrzekła, poruszając nerwowo rękami. — Wątpię czy pan ją gdzieś spotkał. Zapewne nie bywała w pańskich sferach. Zna mało ludzi. Lecz oto właśnie nadchodzi...

Drgnęła. Zamiast córki wszedł jednak tylko Gomez, by zebrać ze stołu. Zapanowała głęboka cisza. Paweł nie zdawał sobie sprawy, co mógłby jeszcze powiedzieć. Zachowanie pani domu było dla niego zagadką. Może jej pasierbica, której imię okrywała taką tajemnicą, była umysłowo chora i przywieziono ją tutaj, by ją w ustroniu pielęgnować, zamiast iść do zakładu? Może i z tą starszą panią nie było lepiej?

Odrzucił jednak zaraz tę myśl, skoro spojrzał uważnie na swoją towarzyszkę. Jakkolwiek twarz jej była zapadnięta i dziwnie blada, nie wywierała wrażenia obłąkanej.

Kobieta ta nosiła w sobie jakąś tajemnicę. Nie zależało mu jednak na odkryciu. Wstał i pożegnał się. Dalsza dyskusja była dlań przykra.

— Jestem pani bardzo zobowiązany — rzekł, podnosząc się i podając jej rękę. — Jestem zupełnie wypoczęty. Czy wolno mi prosić o przytułek dla konia mego do jutra. Przyślę po niego służącego.

— Owszem, zgadzam się chętnie — odparła szybko. — Ach — drgnęła ponownie, oparła się o poręcz krzesła i przerażona spoglądała w stronę drzwi.

Paweł odwrócił się i wydał krótki okrzyk.

Serce jego biło mocno i zdawało mu się, że pokój kręci się dokoła niego.

XV
NAMIĘTNOŚĆ ZWYCIĘŻA

W drzwiach stała Adrea. Usta jej były lekko otwarte, jej wielkie, zmęczone oczy błyszczały. To nie był sen. To naprawdę była ona.

Nawet wtedy, gdy Paweł przezwyciężył pierwszy lęk, nie mógł znaleźć słów. Zdawało mu się, że stał w obliczu cudu. Dlaczego przybyła tu do zapadniętego zakątka kraju, gdzie o tej porze ostre wichry zmiatały torfowiska i równiny, a bałwany szarego morza obijały się o skały? Jakie okoliczności wpłynęły na to, że wyrzekła się komfortu stolicy i skryła się do tego opuszczonego domu?

Myśli jego były tak wyprowadzone z równowagi, że nie mogły się zdobyć na żaden wniosek. Domysł, że chciała go zobaczyć, wydał mu się dość nieprawdopodobny.

Skoro się nieco opanował, popatrzył na starszą panią, która poprzednio nazwała Adreę swą pasierbicą. Dama jednak znikła.

— Adreo, czy to naprawdę pani?

To banalne pytanie przerwało milczenie. Uśmiechnęła się i zbliżyła o parę kroków.

— Tak, to ja. Czy sądził pan, że jestem wróżką z krainy czarów?

Przystąpił do niej i ujął jej ręce. W jej oczach jaśniał dziwnie łagodny wyraz, gdy spoglądała na niego. Miał wrażenie, że czeka, by ją wziął w swoje ramiona. Pokusa była bardzo wielka, gdy miał tak blisko siebie jej piękną twarzyczkę z namiętnymi, nieco ironicznie ściągniętymi ustami. Zaczęła się walka na nowo...

Zdawała się odgadywać konflikt jego serca. Nagłym ruchem cofnęła swe ręce i odwróciła się od niego. Głęboka czerwień pokryła jej śniade policzki, a spojrzenie jej zabłysło tajemniczo. Paweł spojrzał na nią zdziwiony.

— Zaskoczyło pana nasze spotkanie? — zapytała. — Stało się to całkiem przypadkowo. Napisałam do pana bezdennie głupi list. Nie powinien pan jednak z tego sądzić, że podążyłam za panem aż tutaj.

— Nie, nie przyszło mi to na myśl — zapewnił ją szybko.

— Chciałabym panu wytłumaczyć, dlaczego wynajęłyśmy ten dom — ciągnęła dalej, nie troszcząc się, że mu przerwała. — Całkiem niespodzianie przyjechała do mnie krewna z kontynentu. Znajdowała się w bardzo złym położeniu. Chciała się na jakiś czas usunąć, by nikt się o niej nie dowiedział. Moje zdrowie też nie dopisywało, a wobec tego, że lekarze zalecili mi bezwzględny spokój, udałyśmy się do pośrednika, przedkładając mu nasze życzenie. W ten sposób dostałyśmy się do tego domu. Nie wiedziałam, że zamek Vaux leży w tej okolicy.

— Rozumiem w zupełności — odrzekł Paweł, nieco spokojniej. — Obawiam się jednak, że będzie tu dla pani zbyt samotnie i spokojnie.

Odwróciła swą twarz od niego i zagryzła wargi.

— Nie, pan mnie nie rozumie — pan mnie nigdy nie zrozumie. Nie będzie mi tu zbyt samotnie.

— Wybacz mi, Adreo... Ja...

— Nie, proszę milczeć — przerwała mu gwałtownie. — Sądzi pan, że jestem zbyt lekkomyślna i żądna zabaw, by móc się wycofać z miejskiego życia? Dla pana jestem tylko tancerką. Proszę się nie

sprzeciwiać. Nienawidzę sposobu, w jaki podkreśla pan stale swą rolę wobec mnie. Chciałabym jednak wiedzieć, jak udało się panu znaleźć miejsce mego obecnego zamieszkania. I po co przyszedł pan tutaj?

— Podczas polowania zmyliłem drogę, a ponieważ sądziłem, że zastanę majora Harcourta, wstąpiłem do domu. Macocha pani była bardzo uprzejma i gościnna dla mnie.

Adrea ze zdziwieniem popatrzyła na niego.

— Czy naprawdę była miła i grzeczna? A kto powiedział panu, że jest moją macochą?

— Ona sama.

— To dosyć dziwne, że była uprzejma dla pana. Nie ma
naprawdę po temu powodu.

— Dlaczego nie?

Wzruszyła ramionami.

— Ach, nie wiem. Rzuciłam to bez uzasadnienia. Panie Pawle, drażni pan mnie. Wiem, że jestem nieobliczalną dziewczyną. Pomyśl pan, rozwiązałam wszystkie me kontrakty na przyszły sezon. Może w ogóle nie będę już więcej tańczyła.

— To mnie cieszy.

— Ale pójdę na scenę.

— Nic panią do tego nie zmusza!

— Chce mi pan przez to powiedzieć, że nie jestem skazana, na zarobek. To się zgadza. Lecz co mam począć ze sobą? Nie odpowiada mi życie, jakie młode Angielki prowadzą. Jestem ambitna. Kocham sztukę i lubię naokoło siebie rozgwar życia.

Paweł spoważniał. Nie rozumiał tej nowej Adrei. Dziwna stanowczość brzmiała w jej głosie, pewna bezwzględność, która wydawała mu się obca i wobec której był całkiem bezsilnym. Nie mógł już odgrywać roli opiekuna i narzucać jej rad. Stał przed kominkiem i w zakłopotaniu swym bawił się długą trzcinką. Wiedział, że gniewa się na niego i jakkolwiek chciał usunąć wszystkie nieporozumienia, przeczuwał, że znajduje się na niebezpiecznym gruncie.

— Adreo, sądzę, że nie nadaję się już na doradcę i mentora — rzekł wolno. — Uważam jednak za wskazane, by szukała pani zaufania i towarzystwa wśród kobiet.

Uśmiechnęła się twardo i pogardliwie.

— Towarzystwo kobiet?... Do mnie tu w Anglii nie zbliżył się jeszcze nikt przyjaźnie. Dlaczego się pan o to nie starał?

— Utrudniała mi to pani za każdym razem.

Spojrzała na niego z gniewem.

— Rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć. To ja rzekomo zachowaniem moim doprowadziłam do tego, że stałam się w sferach pańskich niemożliwa. Dziękuję za to wyjaśnienie, panie Pawle. Sądzę, że rozmowa nasza trwała dość długo. Proszę pozwolić mi odejść.

Stanął we drzwiach i zatarasował jej wyjście. Poczerwieniał, oczy jego pałały. Jej ostatnie słowa bardzo go podnieciły.

— Adreo, mówi pani, jak nierozsądne dziecko — rzekł surowo. — Pani wie sama najlepiej, jak mnie pani krzywdzi! Proszę siadać!

Usłuchała go. Jogo zmieniony wygląd przeraził ją do tego stopnia, że bezwiednie podporządkowała się potędze silniejszej woli.

Pochylił się nad jej krzesłem, a gdy zaczął mówić, głos jego brzmiał łagodniej.

— Adreo, jest pani bardzo niewdzięczna wobec mnie. Czy chce mnie pani naprawdę unieszczęśliwić? W ciągu całego ostatniego tygodnia nie mogłem o niczym innym myśleć, jak o naszej ostatniej bytności w Londynie. I gdybym nie był teraz prawie przemocą przeszkodził, bylibyśmy się znowu rozeszli w gniewie.

Popatrzyła na niego, a wzrok jej był teraz łagodny i miękki.

— Myślał pan naprawdę o mnie? — zapytała cicho. — Był pan z mego powodu nieszczęśliwy?

— Tak, nawet bardzo.

— Powiem panu, dlaczego pan był nieszczęśliwy. Wstydził się pan, że myśli o mnie pan Paweł do Vaux, człowiek najwyższej arystokracji, światowiec tęskniący za biedną tancerką... Próżność pana była tym urażona.

Wstała, tupnęła nogą w podłogę, a w głosie jej wibrowała namiętność. Paweł milczał, nie wiedział bowiem, jak odeprzeć jej zarzuty. To, co mówiła, nie było pozbawione trafności spostrzeżenia.

— Czego się pan obawia? — ciągnęła dalej nieco spokojniej. — Przeciwko czemu pan walczy? Wiem, że i pan pragnął naszego zbliżenia. Opanował się pan

jednak i uciekł. Dlaczego? Czy obawia się pan, że go skompromituję? Czy sądzi pan, że myślę o małżeństwie? Czy wzbrania się pan podać mi rękę tylko dlatego, że nie należę do jego sfery?

Nastąpiło głębokie milczenie. Odblask płomienia podkreślał bladość Pawła i jego podniecenie. Oczy jego błyszczały niesamowicie.

Nagle pochwycił rękę Adrei.

— Adreo, czy kochasz mnie naprawdę?...

Znowu zaszła w niej zmiana, jej ciemne oczy spoglądały na niego łagodnie.

— Tak, odparła z uśmiechem, pełnym blasku.

Otworzył ramiona. Opór jego był pokonany, nie sprzeciwiał się już więcej tej pochłaniającej go namiętności. Trzymał mocno Adreę i tulił jej ciepłe ciało do siebie. Zdawało mu się, że ciemna otchłań zamyka ich dwoje. Umarło dlań jego dotychczasowe życie. Był nowym człowiekiem.

XVI
ZAKONNIK

— Adreo!...

To wezwanie, niczym przeraźliwy krzyk, przecięło pokój i oboje wzdrygnęli się jak dzieci świadome swej winy. Przestraszeni spojrzeli ku drzwiom. We framudze stała starsza pani o bladym obliczu, która nazwała Adreę swą pasierbicą, a za nią wyłaniała się wielka ciemna postać.

Adrea odzyskała szybko równowagę.

— Czego chcesz? — zapytała pospiesznie. — Pragnę pozostać sama.

Nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Dopiero okrzyk Pawła przerwał niesamowitą ciszę. Rozpoznał bowiem w półmroku rysy zakonnika.

— Mój Boże!

Ojciec Adrian wystąpił z cienia. Adrian nie mniej był zdziwiony od Pawła. Skoro ich wzrok się spotkał, drgnęła i Adrea pod wpływem wspomnień, związanych z osoba tego ponurego człowieka.

— Pawle de Vaux, nie spodziewałem się pana zastać tutaj — rzekł ojciec Adrian surowo.

Paweł wytrzymał ze spokojem badawcze spojrzenie i zmierzył zakonnika z góry na dół. Był oburzony z racji rozkazującego, nawet groźnego tonu mnicha.

— Również i ja nie obiecywałem sobie spotkania z ojcem — odparł. — Byłem pewny, że ojciec mieszka w klasztorze.

— Tak, to się zgadza.

Pani de Merteuil wolnym krokiem przemierzyła pokój, drżała jeszcze i wyjaśniała głosem słabym, złamanym:

— Ojciec Adrian przybył do nas w odwiedziny. Zjawił się tak samo niespodzianie, jak pan.

— Po co przyjechał do nas? — wyszeptała Adrea z trudem. — Czego żąda od nas?...

Ojciec Adrian zwrócił się w jej stronę z poważnym obliczem.

— Przybyłem tutaj, by odwiedzić panią de Merteuil. Przynoszę jej wieść o starcu, u boku którego jest jej miejsce. Postąpiła niesłusznie, opuszczając go.

Nie przypuszczałem, że zobaczę tu ciebie, Adreo, i to w takich okolicznościach.

Zbliżył się ku niej. Pod wpływem gniewu i oburzenia sposępniały jeszcze bardziej jego wychudłe, ascetyczne rysy.

— Zdaje się, że jest przeznaczeniem twym, Adreo, przynosić troski i smutek wszystkim, którzy cię otaczają opieką i strzegą. Gdzie i jak żyłaś, Adreo, od czasu swej ucieczki? Proszę mi niczego nie tłumaczyć. Sam wiem dosyć! Znalazłem cię tu w objęciu człowieka, którego ze wszystkich ludzi świata najbardziej powinnaś unikać. Niepomnaś Kościoła swego, swej religii, pietyzmu dla prochów ojca. Jesteś bezwstydna.

Spojrzała na niego spokojnie, bez lęku i z pełnym opanowaniem.

— Ojciec jest duchownym i zapomina, że nie znajduję się już w jego mocy i że nie ma mi nic więcej do powiedzenia. Nie może mi ksiądz już grozić, że zrobi ze mnie zakonnicę. Proszę pamiętać o tym, że nie mamy ze sobą nic wspólnego i że nie jestem już przynależną do Kościoła ojca.

— Lecz mogę cię do tego zmusić! W mym ręku

jest władza!

— Drwię z potęgi ojca! Jestem wolna.

Instynktownie spojrzała na Pawła, który w myślach jej stale żył jako jej obrońca. Nie ścierpiałby, gdyby ją skrzywdzono. Był dzielny, bogaty, odważny. Trwoga i lęk dręczące ją w przeszłości były niejasne jak cienie. Te grozą przejmujące czasy minęły i nigdy nie powrócą.

— Nie zjawiłem się tu, Adreo, by z tobą rozprawiać — odparł mnich spokojnie. — Miałem zlecenie dla pani de Merteuil i spełniłem je. Teraz odchodzę. Pawle do Vaux, droga nasza daleka i prowadzi przez tę samą szosę. Muszę z panem mówić. Jedź pan ze mną.

Paweł odzyskał stopniowo – po pierwszym zmieszaniu – równowagę.

— Dobrze, odprowadzę ojca — odpowiedział. — Jutro przyjadę znowu, Adreo.

Adrea spojrzała nieufnie i z lękiem na księdza.

— Czego on chce od ciebie, Pawle? Nie jedź z nim — prosiła po cichu.

— Muszę — tłumaczył smutno. — Ma mi coś do powiedzenia, o czym powinienem wiedzieć. Jutro

jestem znowu u ciebie.

Odciągnęła go na bok.

— Miej się przed nim na baczności. Jest fanatykiem. Nie ufaj mu i nie zwierzaj się przed nim. Dobranoc, najdroższy!...

XVII
WARUNEK

Paweł i jego towarzysz szli w milczeniu obok siebie wzdłuż alei, a potem zboczyli na wąską kamienistą ścieżkę przecinającą równinę. Burza minęła i deszcz ustał. Ponad nimi świeciły słabo gwiazdy, jak gdyby przysłaniała je delikatna tkanina koronkowa. Z oddali dolatywał szum morza. Pod wpływem wiatru spienione fale uderzały gwałtownie o nadbrzeżne skały.

Paweł nie był w nastroju do pogawędki. Był przekonany o tym, że ostatnie zdarzenie skieruje życie jego na nowe tory.

— Muszę z panem pomówić, Pawle de Vaux.

Paweł ocknął się.

— Tak, czekam na to.

Ojciec Adrian mówił wolno, nie spuszczając oka ze swego towarzysza.

— Przed paru dniami spotkałem pana w ruinach starego opactwa. Wspomniałem wtedy o ostatnich godzinach pańskiego ojca i o dziwnej historii, jaką mi

powierzył. Była to opowieść o grzechu i smutku, rzucająca cienie na całą przyszłość. Czy pamięta pan o tym, co ci powiedziałem?

— Tak.

— Pan sądził, że powinienem dochować tajemnicy, którą mi jako kapłanowi świętego Kościoła powierzono. Ale wyznanie to zawierzono mi nie jako księdzu.

— O ile dotyczy to mnie lub mojej rodziny, proszę mi powiedzieć. Może mogę naprawić zło, które on popełnił. Zapewne zjawił się ksiądz tutaj w tym zapadłym zakątku, by mi to powiedzieć. A więc proszę mówić.

— Na życie twoje padnie cień.

— W to nie wierzę. Zresztą wolę sobie sam o tym sąd wyrobić. Dlatego powtarzam mą prośbę!

Zakonnik zatopił wzrok swój w ciemnościach, a głos jego brzmiał ochryple i wolno, gdy zaczął.

— Nie wiesz, czego żądasz. Nie powiem panu jeszcze tego i to tylko przez wzgląd na pana. Nieraz przyszło mi już na myśl, by w ogóle odejść stąd w milczeniu.

— Ależ dlaczego? Przecież tylko z tego powodu przybył ksiądz tutaj.

Ojciec Adrian zaprzeczył ruchem głowy.

— Myli się pan. Nie przybyłem do Anglii, by panu opowiedzieć tę historię. Przyjechałem, by zobaczyć pański dom. Przed wielu wnękami było opactwo Vaux klasztorem. W godle swym czciło tego świętego, którego imię i ja noszę. Moja podróż jest więc częściowo pielgrzymką. Lecz od czasu mego pobytu omalże nie uległem pokusie, by zadać cios. Twoim udziałem jest nazwisko należące od wieków do najszlachetniejszych w historii naszego kościoła. Już w zamierzchłych generacjach byli de Vaux znani jako bogobojni katolicy i dobroczyńcy swego kościoła. W kaplicy zamku dbano o przepych i stale, jak długo żył stary Sir Roland de Vaux, pięciu kapłanów odprawiało w niej modły. I cóż się stało teraz z tym kościołem, który należał do najpiękniejszych w Anglii? Leży w gruzach, podobnie jak wiara pana. Wędrowałem po wsiach, objętych twymi posiadłościami. Wszędzie jednak napotkałem tylko na heretyckie świątynie. Prawdziwa wiara nie ma wyznawców. Czyja to wina?

Twej rodziny, która pierwsza wyrzekła się prawdziwej religii! Ci, którzy powinni być pionierami, poszli z prądem czasu, niepomni na nic. Ciągle pytam się sam siebie, dlaczego cię nie zwalczałem. A jednak nie mogę panu tego powiedzieć, nie mogę!

Gwałtowność i potęga tych słów podziałały silnie na Pawła. Zdawał sobie zawsze sprawę z tego, że mnich coś przed nim ukrywał.

— Pozwolę sobie zadać ojcu jedno pytanie. Niezależnie do czego ta tajemnica się odnosi, nic o niej nie wiem. Wydaje mi się jednak, że pozostaje ona w związku z obiema kobietami, któreśmy wieczorem pożegnali. Proszę mi powiedzieć, co Adrea ma z tym wspólnego?

— Nic, zapewniam pana.

— A pani de Merteuil?

— Tego nie mogę panu powiedzieć!

W międzyczasie dotarli do ruin, pozostawiając za sobą zamgloną równinę. Tutaj niebo było jasne, a łuki starego kościoła odcinały się ostro od tła, jakie tworzył błękit i morze. Ojciec Adrian przystanął.

— Nie chcę dalej towarzyszyć panu. Czuję się

swobodniejszy i pewniejszy z dala od tych ruin. Chciałem jednak przy końcu jeszcze coś panu powiedzieć.

Teraz także Paweł zwolnił kroku.

— Pokonałem wiele pokus i namiętności, ale stale trzymałem język za zębami i oszczędzałem pana. Widziałem jednak, jak ojciec twój zabił jedynego krewnego, jakiego Adrea jeszcze posiadała. Byłem świadkiem tego haniebnego czynu. Milczeliśmy obydwoje dotychczas o tym, Pawle de Vaux. Pod jednym warunkiem wyrzeknę się zadania ciosu. Adrea nie jest dla ciebie przeznaczona, nie może być twą żoną ani przyjaciółką. Nie wolno panu uważać jej dłużej za swą pupilkę. Nie może pan kontynuować znajomości z nią, nie śmie pan mieć z nią nic wspólnego. Nic nie zdoła zatrzeć zbrodni twego ojca. Podnieś dłoń twą ku niebu i przysięgnij, że nie zobaczysz więcej Adrei lub – świadczę się Bogiem – imię twe i twej rodziny okryję hańbą.

Duże krople potu perliły się na skroniach mnicha, oczy jego gorączkowo pałały. Ten nagły, żywiołowy wybuch pozbawił go całego spokoju, którego stale –

jako zakonnik – przestrzegał. Nie był w tej chwili świętym, lecz człowiekiem o rozbitych nerwach. Paweł spojrzał na niego poważnie.

— Muszę się nad tym zastanowić. Proszę o parę dni czasu. Nie będę się też o nic więcej pytał.

— Daję panu tydzień czasu do namysłu. Za siedem dni spotkamy się w tym samym miejscu.

XVIII
PYTANIE LADY MAY

— Czy wie pan, de Vaux, kto wynajął dom majora Harcourta? — zapytała lady May.

Paweł milczał przez chwilę. Siedział spokojnie w siodle, ze wzrokiem zatopionym w dal.

— Nazwiska jej nie znam dokładnie. Jest to jakaś obca pani ze swą pasierbicą. Sądzę, że goszczą obecnie u siebie księdza rzymskokatolickiego obrządku, ale tylko przejściowo.

— Tak, tak!

Ta krótka odpowiedź zastanowiła Pawła. Ze zmarszczonym czołem przypatrzył się Paweł swej towarzyszce. Czego dowiedziała się o nim? Ktoś musiał ją ostrzec przed nim. W ciągu całego przedpołudnia odnosiła się do niego ozięble i nieśmiało. Teraz jej jasne, szare oczy spoczywały z pewnym lekceważeniem na samotnej willi. Paweł przypomniał sobie, że jadąc wczoraj z ojcem Adrianem, usłyszał za sobą tętent wozu. Z pewnością poznano go wtedy, lecz cóż mu na

tym zależało? Okres, kiedy ubiegał się o rękę lady May należał do przeszłości. Między jego poprzednim a obecnym życiem powstała wielka przepaść. Zdarzenia wczorajszego wieczoru wszystko nagle przeistoczyły.

Nie miał zamiaru brać nazajutrz udziału w polowaniu na lisy, ale warunki zmusiły go do tego. Rankiem wszedł Reynolds do jego sypialni i zapytał się, czy śniadanie ma przygotować dla trzydziestu czy pięćdziesięciu osób. Wtedy dopiero uświadomił sobie Paweł, że uczestnicy polowania zbiorą się na zamku Vaux. Musiał wziąć na siebie rolę gospodarza i nie pozostawało mu nic innego, jak ruszyć z nimi. Matka jego specjalnie serdecznie zapraszała na śniadanie lady May, lecz ona się nie zjawiła. Paweł spotkał się z nią na spacerze rannym, ale przywitała go bardzo chłodno.

— Zdaje mi się, że brat mój wie, kto ci ludzie — odparła po krótkim milczeniu. — Widział ich na stacji.

Paweł zagryzł wargi i odwrócił się. Pojął, dlaczego lady May odnosiła się do niego tak chłodno.

— I powiedział pani?

— Tak. Zna tę młodą kobietę. Jest to Adrea Kiros, tancerka. Czy odpowiedziałby mi pan na jedno

pytanie?

— Naturalnie!

Z natężeniem patrzała teraz prosto przed siebie, policzki jej zaróżowiły się lekko.

— Proszę nie sądzić, że podsłuchuję, ale przechodząc wczoraj wieczorem przez pokój bilardowy, podchwyciłam urywki rozmowy między bratem mym a kapitanem Mortimerem. Wymienili nazwisko pana w związku z Adreą Kiros. Powiedzieli, że wiedzą, dlaczego tu przyjechała, albo że pan sam postarał się o to. Jesteśmy od dłuższego czasu zaprzyjaźnieni, panie de Vaux i jeśli o mnie chodzi, dotrzymałam panu stale przyjaźni. O ile jednak ta pogłoska odpowiada prawdzie, to następstwa łatwo sam pan sobie wyobrazi. Chciałam dlatego sama postawić panu to pytanie. Wiem, że krok ten jest nieco niezwykły, lecz mimo to proszę o wyjaśnienie.

— Może wyrazi się pani nieco jaśniej, lady May. — Zapytał Paweł wolno.

— Chętnie. Czy ta młoda pani przyjechała tutaj na życzenie pana?

— Nie. Nikt nie jest bardziej zdumiony tą wizytą

niż ja.

Lady May wyprostowała się w siodle, ściągając cugle.

— Czy zna pan tę panią?

— Tak.

— Czy odwiedzał pan ją w Londynie?

— Tak.

— Czy był pan u niej wczoraj wieczorem?

— Tak, lecz muszę to pani wytłumaczyć. Zbłądziłem i...

Lady May spięła konia ostrogami.

— Dziękuję panu, Pawle do Vaux — odparła ozięble i wyniośle. — Nie chcę panu dłużej dokuczać. Proszę mnie samą zostawić!

Paweł patrzał na nią, gdy zjeżdżała z pagórka i przyłączyła się do grupy jeźdźców. Wszystko wydawało mu się tak nieprawdopodobne. Po chwili uśmiechnął się i zapalił cygaro. Lady May była wobec niego dzisiaj tak obca... Taką widział ją po raz pierwszy.

Towarzystwo myśliwskie ożywiło się, co było dla Pawła pożądaną odmianą. Mignął lis, a sfora psów z

głośnym ujadaniem rzuciła się za nim. Paweł wcisnął kapelusz na czoło i usiadł pewniej w siodle. Fizyczny wysiłek był dla niego koniecznością. Po upływie paru chwil był pierwszy i kierował całą gromadką. U boku jego jechał łowczy. Kapitan Westover trzymał się w oddaleniu od niego. W czasie pierwszej przerwy zbliżył się doń jednak.

— Chciałbym zamienić parę słów z panem — powiedział.

Paweł wyprostował się w siodle.

— Jestem do dyspozycji pana — odparł nieco sztywno. — Miałem już przyjemność rano gawędzić z siostrą pana.

Kapitan Westover pochylił głowę.

— Domyślałem się tego. Chciałem przede wszystkim poprosić pana o przebaczenie. Jeżeli wypadnie to bardzo niezręcznie, proszę mi wybaczyć. Muszę się jednak pana zapytać, po co sprowadził pan tę tancerkę, Adreę?...

— Cała ta sprawa nic mnie nie obchodzi. Nie wiedziałem w ogóle o jej przyjeździe.

Kapitan Westover podkręcił wąsa. Wyraz jego

twarzy był speszony.

— Mój stary, przecież odwiedzałeś ją stale w Londynie.

— Tak, przychodziłem do niej.

— I wczoraj wieczorem był pan u niej? Zgadza się to?

— Tak, to się zgadza.

— Wobec tego musiał pan być poinformowany o jej przyjeździe. Nie wierzę, aby to był przypadek. Adwokatami moimi są Bevan i Spółka i od nich dowiedziałem się pewnego dnia, że wyznaczył pan miss Adrei rentę w wysokości tysiąca funtów rocznie. Moi mecenasi nie powiedzieli mi wprawdzie tego, ale widziałem leżący na stole czek pana, a ponadto słyszałem, jak pan Bevan dał zlecenie urzędnikowi, by kwotę tę wpłacić na konto Adrei Kiros. Żałuję, że dowiedziałem się o tym, lecz pan jest pierwszy, z kim na ten temat mówię.

— Jestem jej opiekunem — odparł Paweł podrażnionym tonem.

Kapitan Westover zagwizdał.

— Może pan to nazywać, jak się panu żywnie

podoba. Mnie to jest obojętne. Zdaje mi się, że i rada moja przechodzi mimo uszu pana. Pod wpływem takich historii naraża się pan na ludzkie pośmiewisko. Do widzenia.

Paweł stracił ochotę do polowania. Gdy w drodze powrotnej mijał dom majora Harcourta, przed bramą stała Adrea. Dostrzegła go z okna i galopem biegła mu naprzeciw. Śmiejąc się pokazywała swe perliste ząbki, a jej krucze krótkie loki igrały wraz z wiatrem.

— Widziałam, jak nadjeżdżasz — rzekła nieco nieśmiało. — Obawiałam się, że nie wstąpisz, dlatego wybiegłam do bramy. Czy nie powinnam była tego zrobić? Zatrzymasz się przecież u nas?

— Chyba nie — odparł Paweł poważnie. — Jestem zakurzony, a koń mój upada ze zmęczenia.

Wargi jej zadrgały.

— Ależ wejdź — rzekła cicho. — Cały dzień czekałam na ciebie!

Zapraszająco otworzyła bramę i podniosła głowę ku niemu. W swej barwnej sukience z rozluźnionymi od wiatru włosami, wyglądała przepięknie. Wróciło wspomnienie jej namiętnych, gorących pocałunków i

nagle zeskoczył z konia.

— Tak, kochanie, zostanę.

Ujęła go pod ramię i szepnęła mu coś do ucha, gdy aleją zdążali do domu. W tej chwili usłyszeli tętent kopyt i odwrócili się. Kapitan Westover i lady May przejeżdżali wzdłuż płotu i spoglądali ku nim.

XIX
OKO ZA OKO, ZĄB ZA ZĄB

Dziwnie sprzeczno uczucia owładnęły Pawłem, gdy wraz z Adreą mijali kwadratowy, mały hall domu i weszli do ciemnej lecz bogatej w kolory jadalni.

Najpierw sądzili, że są sami w pokoju i Adrea wyciągnęła obie ręce w stronę Pawła. Namiętność pałała z jej twarzy. Zdawało się, że niecierpliwi ją jego powolne zbliżanie się ku niej. Lecz zanim dotknął jej dłoni, jakiś głos przeciął ciszę.

— Adreo, czy nie zauważyłaś mnie?

Przez chwilę stali oboje, jak skamieniali, po czym młoda dziewczyna wolno się odwróciła. Rysy jej sposępniały.

— Nie, nie dostrzegłam cię. Sądziłam, że jesteś na górze!

Pani de Merteuil wystąpiła z półmroku. Jej blada twarz odcinała się koszmarnie na ciemnym tle.

— Odejdę — rzekła, zbliżając się do Adrei. — Odejdę, lecz pozwól mi rzec jedno słowo.

— Mów — przerwała niecierpliwie Adrea.

Paweł chciał opuścić pokój, lecz Adrea go zatrzymała.

— Nie odchodź. Nie chcę mieć tajemnic przed tobą.

— Mogę to też śmiało powiedzieć przed panem de Vaux. Chciałam się ciebie tylko zapytać, czy uważasz to za rozsądne, że odwiedza cię w tym domu?

— Tak, chcę tak i ja tu rozkazuję!

Starsza kobieta opanowała się.

— Tak, masz rację i dobrze się stało, że mi to przypominasz. Mimo to, posłuchaj mnie Adreo. Nie jest słuszne to, co czynisz. Jak mogłaś tak szybko zapomnieć o zamordowaniu ojca swego, że synowi jego mordercy podajesz dłoń. Przypomnij sobie tę straszną chwilę, gdy ojciec twój padł ugodzony kulą Marcina de Vaux. Nie powinniście znajdować się pod tym samym dachem. Boże, jakie to okropne!...

Przez chwilę panowało głębokie milczenie, następnie Adrea zbliżyła się do drzwi i otworzyła je.

— Odejdź — odparła ostro. — Powiedziałaś mi, co ci dolegało, a teraz wiedz, jaka jest moja

odpowiedź. Byłaś przyjaciółką mego ojca i – o ile wiem – kochał cię. Dlatego przyjęłam cię u siebie i zabrałam ze sobą. Jeżeli jednak nadal chcesz pozostać ze mną, nie wolno ci więcej poruszać tych spraw.

Pani de Merteuil wyszła w milczeniu, a Adrea zamknęła za nią drzwi. Skoro zwróciła się w stronę Pawła, rysy jej, do niedawna energiczne i niezłomne, zdradzały znowu miłość i łagodność. Odprowadziła go do krzesła.

— Byłam bardzo niedelikatna — zauważyła z uśmiechem. — Rozgniewała mnie jednak bardzo.

Potrząsnął przecząco głową.

— To, coś uczyniła, nie było niesprawiedliwe. Byłaś tylko zbyt surowa. Sądzę, że teraz na zawsze od ciebie odejdzie.

— Wszystko mi jedno. Nawet, gdyby była najdroższą mi przyjaciółką, zdolna byłabym ją znienawidzić, jeśliby stanęła między nami. Pawle, czy nie kochasz mię tak samo namiętnie, jak ja ciebie? Wydaje mi się, że na świecie nic nie istnieje prócz naszej miłości, że nie mam żadnej przeszłości, nie czeka mnie żadna przyszłość...

Paweł pochylił się ku niej. I dla niego w tej chwili nie było czasu ani przestrzeni. Uległ w zupełności czarownemu nastrojowi.

— Słyszysz, co to? — odezwała się nagle Adrea.

Aleją pędził jeździec ku bramie. Wkrótce potem rozległ się głos dzwonka. Paweł i Adrea spojrzeli na siebie z zapartym oddechem. Kto to być może?

Zewnętrzne drzwi się rozwarły i zamknęły, po czym dotarły do nich z hallu szybkie kroki. Otworzono jadalnię, a na progu stanął Artur de Vaux blady i okryty kurzem.

XX
ARTUR DE VAUX

Zapanowało głębokie milczenie. Artur stał trupio blady na progu. Oczy jego pałały tłumioną wściekłością i rozczarowaniem. Doszły go rozmaite pogłoski o Pawle i Adrei, lecz nie dawał im wiary. Z bezgranicznym zaufaniem odnosił się stale do starszego brata. Według niego brat ten był ucieleśnieniem rycerskości. A nawet w tej sytuacji da się jeszcze wszystko wyjaśnić.

Paweł ukrył się w cieniu tak, że twarz jego była prawie niewidoczna. Ta niespodzianka odebrała mu mowę.

— Pawle — zawołał Artur — jak da się to wytłumaczyć, że jesteście tu oboje razem? Powiedz mi, co to ma znaczyć? Mam prawo do tego pytania i żądam odpowiedzi.

Milczenie tych dwojga doprowadziło Artura do szaleństwa. Adrea nie poczuwała się w ogóle do winy, nie była zmieszana, patrzała nań tylko zimno i pytająco.

— Czy oniemiałeś nagle? — krzyknął na Pawła ze

złością Artur. — Widzisz przecież, kto przed tobą stoi. Powiedz, czy krążące wersje polegają na prawdzie? Dlaczego im tu nikt nie zaprzecza?

Te podniecone słowa wróciły Pawłowi poprzedni spokój. Wyszedł z półmroku, stanął na środku pokoju i spojrzał bratu swemu prosto w twarz.

— Nie wiem, kto cię tu przysłał i jakie pogłoski dotarły do ciebie. Niezależnie jednak od warunków wydaje mi się, że lepiej będzie jeżeli wszystkie wyjaśnienia – o ile ci je w ogóle dam – przedstawię w domu.

Artur uderzył gwałtownie trzcinką po płycie stołu.

— Nie chcę czekać — zawołał. — Zostałem zdradzony i oszukany przez ciebie, Adreo, i przez własnego mego brata! To jest haniebne. Nigdy nie przypuszczałbym, że jesteś tak podstępny, Pawle! I to ty w Londynie śmiałeś mi prawić morały z racji zwyczajnej tancerki!...

Im bardziej porywczy i gwałtowny stawał się Artur, tym spokojniejszym i bardziej zrównoważonym był Paweł. Policzki Adrei pałały. Nagle stanęła miedzy obydwoma braćmi.

— Arturze, jesteś szalony — zawołała z gniewam w oczach. — Jak śmiesz mówić, że cię zdradziłam. Czy użyczałam kiedykolwiek posłuchu twym miłosnym przysięgom? Nigdy! Byłeś zawsze w moich oczach chłopcem nieodpowiedzialnym za swe czyny, chłopcem, który traci rozum pod wpływem miłości. Dawniej patrzałam na ciebie jeszcze innymi oczyma, teraz jednak, gdy odsłoniłeś przede mną swój charakter w całej pełni, pogardzam tobą. Opuść ten dom!

Artur stał blady i drżący przed nią. Słowa jej dotknęły go do głębi i zraniły. Niepewnym krokiem skierował się w stronę drzwi, a wyraz jego oczu był całkiem zamglony.

— Masz rację — powiedział urywanym głosem. — Zaślepiła mnie namiętność moja... Teraz jednak pojąłem wszystko.

Drzwi otworzyły się i zamknęły. Zaraz potem usłyszeli tętent oddalającego się konia. Paweł miał wrażenie, jak gdyby cały świat runął na niego. Natomiast Adrea odczuła pewną ulgę. Patrzała na niego błagająco, nawet uwodzicielsko, lecz on nie ruszał się z miejsca. W milczeniu patrzał przez okno.

Świadomość jej bliskości była mu w tej chwili przykra. Odwrócił się i poczuł jej gorący oddech na swych policzkach. Jej łagodne, miękkie ramiona obejmowały jego szyję.

— Pawle — szepnęła czule — nie patrz tak beznadziejnie smutno. Zbliż się do mnie, powiedz coś.

Przyciągnęła go do siebie, a on spojrzał na nią bezradnie. Uścisk jej miękkich ramion wydawał mu się teraz ciężkim żelaznym łańcuchem, ściągającym go niżej i niżej – aż do przepaści!

Chciał jej powiedzieć: bądź zdrowa, bo czuł, że słowa ojca Adriana, jakkolwiek niepewne i ciemne w sensie, miały przecież jakieś znaczenie i zawierały groźbę. Gdy jednak przycisnęła go mocniej do siebie i poczuł jej wargi na swoich, zapomniał o wszystkich postanowieniach. Niesamowite słowa zakonnika dolatywały do niego jak głuche echo. Owładnęła nim całkowicie namiętność, a wszystko inne przestało dlań istnieć. Widział przed sobą tylko te niezwykle pociągająco oczy, czuł tylko te aksamitne ramiona zamykające się dookoła niego.

XXI
PAMIĘTNIK ADREI

Nie mam na tyle spokoju, by pisać, a jednak zmuszam się. Serce mam pełne, tętno me wali z podniecenia. Co się właściwie stało? Myśli moje są błędne, ale spróbuję wszystko po kolei opisać. Może w ten sposób odzyskam równowagę i będę wiedziała, co począć.

Kocham Pawła de Vaux całym mym jestestwem, a z tą samą intensywnością nienawidzę ojca Adriana. Jak ośmielił się ten człowiek ze mną tak mówić! Szkoda, że Pawła tu nie było, byłby go stąd wygnał. Zdolna byłam zabić tego zakonnika, aby okrutne usta zamknąć na zawsze. Ręka moja nie byłaby nawet zadrżała. Słowa jego brzmią jeszcze w mych uszach, jego blade, namiętnością naznaczone oblicze urąga mi i wyszydza mnie. O, nienawidzę tego człowieka, z taką siłą, do jakiej zdolna jest tylko kobieta, o ile ktoś staje między nią a jej ukochanym!

Paweł i ja byliśmy sami... przynajmniej byliśmy w

tym przekonaniu. Nie dosłyszałam żadnych kroków, Paweł też nie...

Nagle rozległ się w pokoju jego okrutny, litości nie znający głos. Brzmienie jego było tak zmienione, że aż trudne do rozpoznania. Lecz skorośmy się zerwali, stał przed nami. Doszło go zapewne każde słowo, któreśmy zamienili w szale miłosnym.

Gniew zniekształcił blade, upiorne rysy mnicha. Jego ciemne oczy pałały, jak ognie, w oczodołach. Podniósł prawą rękę jak gdyby w zamiarze uderzenia. Nie zapomnę tej koszmarnej postaci, jak długo żyć będę. Prześladować mnie będzie aż do mej śmierci.

Niepewność tak strasznie mnie dręczy. Dlaczego Paweł obawia się tego człowieka? Jakie zło grozi temu ukochanemu człowiekowi ze strony bezwzględnego mnicha? Zapewne zna tajemnicę strasznych spraw, jakie wydarzyły się w klasztorze, na Crucie. Widzę wszystko dokładnie przed sobą, widzę starego mężczyznę na śmiertelnym łożu z bronią skierowaną ku memu ojcu. Podczas gdy piszę te słowa, drży moja ręka, a pod wpływem tych wspomnień serce mi się kurczy z lęku i bólu – syn tego człowieka jest mi

najdroższym na świecie.

O czym to właściwie wspomniał Paweł? Ojciec Adrian wie o czymś, co mu Marcin de Vaux zaufał przed śmiercią. Ta tajemnica daje mu władzę nade mną. Ojciec Adrian stał przed nami, jak gdyby chciał na nas rzucić przekleństwo, lecz żadne słowo nie wydobyło się z ust jego. Gdyby to milczenie było dłużej trwało, byłabym oszalała. Dlatego przystąpiłam do niego, rzucając mu w twarz obelgę: Szpieg! Potem usiadłam u boku Pawła.

Nie troszczył się o mnie i nie odpowiedział mi. Zachowywał się tak, jakby nie dosłyszał tego, nie zwracał bowiem na mnie najmniejszej uwagi. Byłam dla niego jakby nieobecna. Całe jego spojrzenie zatonęło w obliczu Pawła.

— Taka jest więc odpowiedź pana, Pawle de Vaux. Dobrze, przyjmuję pańskie wyzwanie!

Paweł odpowiedział spokojnie, prawie fatalistycznie:

— Jestem w mocy ojca!

Zdenerwowana patrzałam to na jednego, to na drugiego. Domyślałam się, że słowa te mają ukryte, a

dla mnie niezrozumiałe, znaczenie. Pojęłam tylko, że zawierają niesamowitą groźbę i że ja jestem przyczyną wszystkiego.

Boże, jeśli ten człowiek ściągnie jakieś nieszczęście na głowę Pawła! Ta myśl doprowadza mnie do szaleństwa. Pióro moje biegnie po papierze, lecz serce zamiera na myśl o tej okropnej możliwości.

Otworzyłam okno mego pokoju. Pustka nocna jest obrazem mej duszy. Wilgotny powiew chłodzi me skronie. Od dziś wieczora odczuwam nową potęgę, potęgę nienawiści. Powstają we mnie plany, z czasem dojrzewają i pewnego dnia urzeczywistnię je. Lecz pozostawiam przyszłości ich skonkretyzowanie.

Chcę dalej opowiadać, co się między nami rozegrało. Jakiś dziwny paraliżujący spokój owładnął Pawłem. Zwrócił się ku mnie, lecz bez śladu namiętności, z jaką mnie jeszcze niedawno obejmował: Muszę teraz odejść, bądź zdrowa! Tyle tylko powiedział. Nie mogłam uwierzyć, co te słowa mają znaczyć? Czy chciał mnie opuścić bez serdeczniejszego pożegnania? Czy taką władzę ma nad nim ten niesamowity zakonnik?

— Dlaczego opuszczasz mnie teraz? — zawołałam. — Mam ci jeszcze tyle do powiedzenia!

— Muszę odejść — odpowiedział spokojnie. — Nie miałem zamiaru bawić tu długo. Już późno.

Czułam, jak policzki me pałały, gdy zwróciłam się w stronę zakonnika.

— To ojciec powinien stąd odejść! Po co ojciec wtargnął tutaj. Dlaczego jak ciemny, natrętny cień podpatruje me życie? Proszę natychmiast odejść! A jeśli Paweł de Vaux pójdzie, to ja idę także!

Zbladł jeszcze bardziej, lecz nie stracił panowania nad sobą. Nawet mi nie odpowiedział, nie biorąc słów moich pod uwagę.

— Dzisiaj wieczorem — rzekł spokojnie i stanowczo.

— Tak, dzisiaj wieczorem — odarł Paweł.

Stałam oburzona lecz bezradna między dwoma mężczyznami.

Paweł zwrócił się w stronę drzwi, lecz chwyciłam się kurczowo jego ramienia. Staliśmy na schodach obok siebie, gdy przyprowadzono jego konia. Paweł nachylił się nade mną i pocałował mnie. Cały jednak

nastrój jego uległ zmianie. Usta jego były zimne, oczy nie jaśniały blaskiem. Odniosłam wrażenie, że wzrok jego błądzi gdzieś w przestrzeni. Łzy napłynęły mi do oczu, skoro znikł w ciemnościach. Wyraz jego twarzy zdradził mi wszystko. Był zdecydowanym wyzwać niebezpieczeństwo, które mogło mu grozić tylko ze strony mnicha.

Myśl ta nie opuszczała mnie. Przez chwilę stałam w milczeniu i próbowałam pohamować me podniecenie. Skoro się odwróciłam, usłyszałam otwierającą się bramę stajni. Powóz naładowany pakunkami wyjeżdżał wolno i skręcił na główną szosę.

Podbiegłam i dałam rozkaz zatrzymania powozu. Woźnica usłuchał mnie i za chwilę stałam już obok niego. Jak to było do przewidzenia, w powozie siedziała pani de Merteuil. Miała na twarzy gęstą woalkę, która jednak nie zdołała ukryć jej łez.

— Chciałaś więc odjechać ode mnie bez słowa pożegnania? zawołałam z wyrzutem. — Czy to jest słuszne? Czy zadłużyłam na to?

Odchyliła welon. Oczy jej były zaczerwienione i zapuchnięte od płaczu, spoglądała na mnie niemal

błagalnie.

— Nie czyń mi wyrzutów — odparła. — Było to dla mnie straszne widzieć cię w objęciach syna Marcina de Vaux! To było ponad moje siły. Jest do swego ojca uderzająco podobny!

Wiedziałam, ile przecierpiała ona w swym życiu, dlatego zdławiłam słowa goryczy.

— Jesteśmy tylko biednymi, bezsilnymi stworzeniami w rękach przeznaczenia — odparłam.

Pochyliła głowę.

— Tak, przeznaczenia. Nie potępiam cię. Nie chcę cię sądzić i nie opuszczam togo domu w gniewie.

— Dlaczego więc odchodzisz i zostawiasz mnie samą? To nie jest ładnie z twej strony. Nie spodziewałam sie tego po tobie!

Znowu oczy jej zaszły łzami, lecz opanowała się.

— Nie mogę ci jeszcze teraz tego wytłumaczyć. Uważać mnie będziesz za istotę niewdzięczną, ale nic w tym się zmienić nie da. Muszę odejść. Bądź zdrowa, Adreo!

Nagle przeleciała mi przez głowę pewna myśl i przejrzałam związek istniejący między obydwiema

sprawami.

— Nie odchodzisz z własnej woli! — zawołałam. — Ktoś zmusza cię do tego!

Niewysłowiony lęk odzwierciedlił się na jej twarzy.

— Spokojnie, spokojnie! — szepnęła. — W przeciwnym razie usłyszy on wszystko. Pozwól mi odejść, zaklinam cię!

Trzymałam jej ręce w swoich dłoniach.

— Domyślam się. Ten okrutny mnich wysyła cię — odparłam. — Jest wrogiem moim i nienawidzę go. Dlaczego jesteś mu posłuszna? Zostań u mnie. Błagam cię, nie odchodź.

Popatrzyła na mnie, jak gdybym była nieświadomym dzieckiem, które ciężko zgrzeszyło.

— Mówisz jak w gorączce. Ojciec Adrian nie był nigdy twym przeciwnikiem. Nie rozumiesz go tylko!

Ton jej głosu zmienił się zupełnie. Odwróciłam się zrozpaczona. Władza ojca Adriana była potężniejsza niż moja.

— Byłabyś odeszła ode mnie bez pożegnania, bo on tego żąda — rzekłam rozgoryczona. — Zdaje się, jest tak, jak powiadasz. Nie jestem zdolna pojąć tego

wszystkiego.

Pochyliła się nade mną.

— Dziecko, wracam na Crutę! - rzekła całkiem wolno.

Powóz odjechał, wróciłam do mieszkania. Miałam wrażenie, że zewsząd słyszę głosy. Poprzez szarą mgłę skradały się ku mnie koszmarne postacie. Cruta! Ona wracała na Crutę! Jaką potęgą rozporządzał ten mnich, że i najdroższego człowieka potrafił ode mnie oddalić. Musiał mieć serce z kamienia, skoro odsyłał tę kobietę do piekła, z którego niedawno dopiero zdołała się wyrwać. Teraz na mnie kolej! Czy uda się mu zarzucić sieci i na mnie? Drżałam na mysi o tym.

Jak gdyby przez furie gnana, pobiegłam do mego pokoju i oblałam sobie głowę zimną wodą. Potem zeszłam do niego na dół. Byłam gotowa na walkę!

Wszystko minęło! Znam jego potęgę, znam jego słabość. Co się między nami rozegrało, opiszę jutro. Dziś jestem zanadto zmęczona...

XXII
PAMIĘTNIK ADREI

Oto, co wczoraj zaszło. Gdy weszłam do jadalni, byłam na wszystko przygotowana. Ojciec Adrian nie dosłyszał mych kroków, co dla mnie było korzystne. Mogłam go zaskoczyć. Stał na środku pokoju z założonymi rękami i opuszczonymi oczyma. Wiele bruzd pokrywało jego czoło, brwi jego były zmarszczone. Musiał być bardzo podniecony, gdyż twarz jego przybrała aż szary odcień. Gdy weszłam bez szelestu, rozmawiał cicho ze sobą. Skoro natężyłam słuch, rozróżniłam poszczególne słowa: Dziś wieczorem musi się to skończyć – ona sama niechaj rozstrzygnie. Nie będę miał więcej litości nad nim. Jestem tylko ślepym narzędziem. On stoi między mną a nią!

Rysy jego ożywiły się, policzki nabrały kolorów. Wyraz jego twarzy stracił zwykłą zaciętość. Widziałam to, lecz serce moje pozostało zimne i twarde jak stal.

— Ojcze Adrianie — rzekłam — jestem tutaj.

Drgnął i popatrzył na mnie.

— A zatem wiesz już Adreo, co to jest miłość? — rozpoczął. — Ten Anglik wszczepił w ciebie to uczucie. Syn Marcina de Vaux! Kochasz go? Tak czy nie?

— Tak, kochamy się wzajemnie! — Nie zwlekałam z odpowiedzią, lecz odpowiadałam wyzywająco i butnie.

— Nie wyjdzie pani za niego za mąż! Nie zostanie pani nawet jego kochanką!

Roześmiałam mu się w twarz.

— Któż mi może w tym przeszkodzić?

— Ja.

— Jak chce ojciec to zrobić?

— Rozporządzam rozmaitymi środkami.

Serce stanęło mi w piersiach, lecz zmusiłam się do uśmiechu.

— Jakimi środkami?

Zastanawiał się przez krótką chwilę.

— Mogę zagarnąć majątek i posiadłość Pawła de Vaux. Mogę złamać serce jego matki. Mogę obwieścić światu, że ojciec jego był mordercą!

— Tego nie rozumiem! Nie wierzę w to!

Rzuciłam te słowa odważnie, lecz czułam ucisk w

gardle.

— Proszę mnie posłuchać — rzekł. — Mogę Pawła de Vaux zrobić żebrakiem. Mogę mu zabrać wszystko, co mu uprzyjemnia życie. Mogę skalać imię jego. Mogę i uczynię to, jeśli ty, Adreo, nie będziesz mi posłuszną!

Straszna trwoga opanowała me serce, poczęłam drżeć.

— A jeśli nawet to wszystko prawda, co to ma wspólnego ze mną?

— W swym sercu znajdziesz odpowiedź. Czy kocha pani Pawła de Vaux?

— Tak!

— I ufa pani w jego wzajemność?

— Tak!

— Posłuchaj, Adreo! Przed kilku dniami widziałem panią w ramionach Pawła. Potem odprowadziłem go do zamku i oświadczyłem mu to samo, co w tej chwili pani. Nie traciłem czasu na błahe pogróżki, lecz ukazałem mu całą moją potęgę. Pozostawiłem wybór, a on milczał.

— Co miał właściwie wybierać? — zapytałam

szybko.

— Żądałem od niego, by się zobowiązał przysięgą, że z własnej woli nie będzie się starał o spotkanie z tobą, w przeciwnym razie całą moją siłę skieruję przeciwko niemu i doprowadzę go do upadku.

— A jak on się zachował?

— Prosił o zwłokę — o tydzień czasu do namysłu!

Nagle chwyciła mnie piekielna złość. Z pałającymi oczyma i drżącymi wargami zwróciłam się ku niemu. Było mi teraz wszystko jedno. Odczuwałam w sobie siłę lwicy i miałam tylko jedno życzenie: zgładzić go.

— Jakim prawem staje ojciec między nami? — zawołałam. — Co my ze sobą mamy wspólnego, ksiądz i ja?

Zasłonił na chwilę twarz rękami, jak gdyby nie mógł znieść wyrazu mych oczu, w których odzwierciadlały się gniew i nienawiść. Nastąpiło krótkie milczenie, następnie cichym i drżącym głosem począł mówić:

— Wszak wiesz wszystko! Wiesz to, co dzisiaj wyznać muszę. Zostałem poniżony, zdeptany. Wszelka rozpacz i gorycz nawiedziła mnie, kajałem się w bólu, przeklinałem siebie samego!

Popatrzyłam na niego drwiąco i ironicznie.

— Nie jestem spowiednikiem ojca. Jestem tylko kobietą. Dlaczego ojciec patrzy na mnie z takim pożądaniem?

Te słowa ugodziły go w samo serce. Cofnął się z przestrachem, jak gdybym go uderzyła.

— Adreo — rzekł wolno — wobec ciebie nie byłem nigdy obłudnym. Przypomnij sobie czasy na Crucie! Pamiętam o owych długich i pięknych jak baśń dniach, które przeżywaliśmy razem. Nie byłem zakonnikiem wzywającym cię do pokuty. Stanęliśmy przed sobą jak mężczyzna i kobieta, jak wolni ludzie. Czy pamiętasz jeszcze wystające skały i ponure cienie unoszące się nad błękitem morza? Przesiadywaliśmy w kotlinach, owiani słodką wonią dzikich kwiatów, patrzyliśmy na morze i śledzili białe żaglowce w oddali. Czy pamiętasz białe, księżycowe noce z ich bezkresną, milczącą potęgą? Adreo, popatrz mi prosto w twarz – jeśli możesz – i powiedz, czyś o tym wszystkim zapomniała? Wszak ty byłaś tą, która jak słodka trucizna wtargnęła do mych żył i mej duszy. Stałaś przede mną w całej twej piękności i obudziłaś we mnie

taki szał zmysłów, że stałem się na zawsze twym niewolnikiem. O ile dawniej byłem prawdziwym sługą bożym, dziś nim już być nie mogę. Wszystko to ty zrobiłaś ze mnie. Wznieciłaś we mnie zew zmysłów. Dziki ogień ogarniał mnie, ilekroć ręka twoja mnie dotknęła, lub gdy patrzałem na twe piękne ciało. Ty jesteś tą, która nauczyła mnie miłości, tą, która rozwarła przede mną różami uwieńczoną piekielną bramę! – Nie ma powrotu, ściągnęłaś mnie do siebie, musisz więc pozostać przy mnie, niezależnie od tego, co przyszłość przyniesie. Nie ujdziesz mi, żaden mężczyzna nie śmie cię posiąść. Zapłaciłem sowicie za to, nie dam pozbawić się mych praw...

Równocześnie z ostatnimi słowami objął mnie, lecz wyrwałam się z jego ramion.

— Szaleńcze! — zawołałam. — Jak mogłeś o mnie tak myśleć, dlatego tylko, że na Crucie wziąłeś na siebie rolę opiekuna. Chciałam uciec, a ksiądz i owa kobieta, byli jedynymi, którzy się mną zajęli. Gdybym nie była wtedy zależna od ojca, nie byłabym mu ani jednej myśli poświęciła. Nie patrzałam nigdy na ojca jak na mężczyznę, widziałam w nim tylko kapłana. Nigdy nie

pragnęłam naszego ponownego spotkania. Stanąłeś między mną a człowiekiem, którego kocham, dlatego nienawidzę cię.

Jego ciemne oczy zapłonęły, policzki zabarwiły się purpurowo.

— W to nie wierzę! Nie może kryć się w tobie tyle fałszu, Adreo!

Ujął rękę moją w przegubie i patrzał na mnie błagająco. W tej chwili coś w usposobieniu i głosie jego przypomniało mi Pawła. Pod wpływem tego wrażenia stałam jak oczarowana.

— Adreo, czy naprawdę miłość moja nic dla ciebie nie znaczy? Czy wiesz jeszcze, jak przed laty zwierzyłaś mi się ze swych marzeń? Czyż ideałem twym nie jest już więcej mężczyzna silny i wierny, który by otaczał cię stale niesłabnącym uczuciem? Nikt nie zdoła cię namiętniej i goręcej kochać niż ja. Nikt nie będzie ci wierniejszy. Poza tobą żadna kobieta nie wywarła na mnie wrażenia. Ty, Adreo, władasz niepodzielnie mym sercem.

— Nie rozumiem ojca — odpowiedziałam wolno, wycofując obydwie ręce. — Ojciec mówi o świeckiej

miłości, o wierności mężczyzny. Cóż ojciec wie o tym.

— Zarzuciłaś zgubne sieci nade mną, a teraz dręczysz mnie. Dla ciebie obciążyłem me sumienie, naraziłem przyszłość całą, tobie zaprzedałem duszę. Nikt nie potrafi cię tak płomiennie kochać jak ja, Adreo!

Popatrzyłam mu prosto w twarz. Najrozsądniej byłoby wyznać mu od razu całą prawdę.

— Nie kocham ojca. Znalazłam już ideał mych marzeń. Proszę mnie opuścić i usunąć się z mej drogi. Proszę nie krzywdzić Pawła. A gdyby mi ojciec w tej chwili nie użyczył posłuchu, będę go prześladowała bezgraniczną nienawiścią!

Gdy wstawał, opadła głowa jego na pierś. Nie popatrzył na mnie, nie powiedział nic więcej. Niepewnym krokiem skierował się ku drzwiom i opuścił dom.

Wzrok mój towarzyszył mu wzdłuż ścieżki ogrodowej, zaskoczyło mnie jego niesamowite milczenie. Byłabym już wolała groźby, byłabym zniosła napad wściekłości. To dziwne pożegnanie było zastanawiające, wstrząsnął mną dreszcz lęku.

Przed ogrodową furtką przystanął. Droga po lewej stronie prowadziła do klasztoru, w którym mieszkał, po prawej leżał zamek Vaux.

Dwadzieścia cztery godziny upłynęło od czasu tego wydarzenia i nikt się w ciągu tej pory u mnie nie zjawił. Dzisiaj rano widziałam ojca Adriana wracającego z zamku. Pobiegłam na górę do mego pokoju i zamknęłam się. Służbie dałam surowy rozkaz niewpuszczania go do domu. Z mego okna patrzałam na dół, lecz ku zdziwieniu memu nie spojrzał nawet w mą stronę. Minął furtkę i podążył w stronę klasztoru. Tylko raz, zanim wszedł na szczyt pagórka, zatrzymał się i spojrzał przed siebie. Rysów jego nie mogłam rozpoznać. Poszedł dalej. Jeżeli wkrótce ktoś do mnie nie przyjdzie, oszaleję. Znowu minęła godzina. Postanowiłam udać się na zamek Vaux...

XXIII
OPOWIADANIE

Wcześnie zapadła ciemność. Czarno-popielate chmury pędziły po niebie, zakrywając księżyc. Wieczorny kapuśniaczek zmienił się w burzę. Chmury wisiały nisko i zdawało się, że dotykają wierzchołków drzew.

Paweł de Vaux otulił się szczelniej płaszczem. Stał na mchem porośniętym terenie kaplicy, ze wzrokiem utkwionym w mroku. Czekał na ojca Adriana. Zanim dojrzał ciemną postać zakonnika, dotarł do Pawła jego głos:

— Przyszedł pan punktualnie, Pawle de Vaux. To dobrze!

— O ile to, co ksiądz mi chce powiedzieć ma potrwać długo, to może lepiej wejdziemy do zamku. Tu jest ciemno i zimno.

Zakonnik nie zgodził się.

— Nie chcę, by dom pański służył mi za schronienie — odparł ozięble. — Jest pan dobrze

ochroniony przed niepogodą, ja również. Zostańmy tutaj!

Paweł usiłował czytać w twarzy tego człowieka, lecz ciemność mu w tym przeszkodziła. Widział tylko kontury ciemnej postaci.

— Jak ojciec sobie życzy. Proszę mówić.

— Nie były to czcze pogróżki z mej strony — odparł poważnie zakonnik. — Dałem panu okazję, której nie wykorzystałeś. Może w ogóle nie było właściwe z mej strony, że postawiłem panu tę propozycję. Lecz proszę pamiętać, zemsta, jaką panu gotuję, nie jest błahą. To, co zrobię, dzieje się w imię obrażonego i pokrzywdzonego Kościoła. Stanie się po myśli sprawiedliwości, jeżeli Kościół odzyska swe dawne prawa. Mówię tylko jako jego pełnomocnik!

Paweł zauważył, że ojciec Adrian walczy z głębokim wewnętrznym podnieceniem. Gdy znowu począł mówić, głos jego był przytłumiony i uroczysty.

— Pawle de Vaux, czy pamięta pan jeszcze tę noc, gdy gniew boży nawiedził ziemię? Śmiertelnie chory leżał ojciec pana w klasztorze Cruty, pan narażał swe życie, by zastać go jeszcze żywego, ja zaś, klęcząc u

jego boku, modliłem się o zbawienie duszy konającego, by ją przed czyśćcem uratować. Ojciec pana był dzielnym, odważnym człowiekiem, lecz w obliczu zbliżającej się śmierci owładnęła nim trwoga. Nie był to lęk tchórzliwego mężczyzny. Leżał spokojnie i cicho, lecz czuł się opuszczony i samotny. W czasie mych modłów położył nagle rękę swą na mym ramieniu, a drugą ujął krucyfiks. — Ojcze Adrianie — powiedział — nie wierzę, że skrucha na łożu śmierci pomaga umierającemu i ostatnim jego godzinom przynosi ulgę. Przez całe me życie nienawidziłem religii, nie chcę więc i teraz być słaby. Nie chcę błagać o litość i wzywać Boga, lecz pragnę z księdzem pomówić jak mężczyzna z mężczyzną. Proszę słuchać tajemnicy, jaką chcę ojcu zawierzyć, a gdy skończę, będzie pora na dalsze modły.

— Czy mam panu wszystko powiedzieć, Pawle de Vaux? Czy chce pan wiedzieć dokładnie, co pana ojciec mi wtedy zaufał?

— Tak, proszę powtórzyć każde słowo! Proszę niczego nie taić — odpowiedział Paweł szybko, w gorączkowym podnieceniu.

— A więc dobrze — odparł ojciec Adrian tak

cicho, że Paweł musiał się pochylić, by pojąć słowa jego. — Gdyby Marcin de Vaux spowiadał się jak przed duchownym, usta moje byłyby na zawsze zamknięte. Lecz mimo mych modłów umarł, jak żył, w pogaństwie i grzechu. I pana byłbym oszczędził, gdyby postępowaniem swoim nie był pan sprowokował tego nieszczęścia.

Paweł przerwał mu gestem ręki.

— Wiem, że ostatnie chwile ojca mego nie były szczęśliwe. Nie powiedział mi wprawdzie nic, a ja się nie pytałem. Jeżeli czyny jego wyrządziły komuś krzywdę, proszę mi powiedzieć, bym mógł to naprawić. Lecz jeżeli wszystko to należy już do przeszłości, a ci, którzy przez niego cierpieli nie żyją, to zostawmy ich raczej w spokoju. Niech się ksiądz mści na mnie, jeżeli potrzebna mu satysfakcja, ale zmarłym dajmy pokój.

Wspomnienie morderstwa w pustej celi klasztornej prześladowało Pawła stale jak zły sen. Lecz z czasem przyzwyczaił dopatrywać się w tym czynu popełnionego już w umysłowym zamroczeniu. W wyobraźni jego pozostała ofiara tej zbrodni jako uosobienie moralnej zgnilizny, które ponosiło zasłużoną karę.

Nastąpiło krótkie milczenie. Wichura pędziła znad morza ciemne chmury w głąb lądu. Wiatr wył w gałęziach drzew i gubił się w zagłębieniach ruin, nie będących dostateczną ochroną przed deszczem. Kontynuowanie rozmowy było niemożliwe. Paweł mówił teraz głośno, by zagłuszyć łoskot grzmotów.

— Musimy wrócić do zamku. Chodźmy.

Ojciec Adrian wahał się przez krótką chwilę, następnie zgodził się i zarzucił pelerynę. Niebawem znaleźli się w bibliotece. Paweł wprowadził tam zakonnika bocznym wejściem. Oddychając ciężko, zawiesił przemoczony od deszczu płaszcz na krześle, następnie zwrócił się w stronę swego towarzysza.

— Teraz może ksiądz mówić. Jestem na wszystko przygotowany.

Płomyk kominka oświetlał blade rysy zakonnika.

— Grzech nieprzebaczony trwa wiecznie — rzekł wolno. — Grzechy ojca pańskiego obciążają zatem pana. Przypadkowo spędzałem dwa miesiące w klasztorze świętego Jeremiasza na Crucie. Wtedy właśnie przyjechał ojciec pański i prosił nas o przytułek. Przez dwa dni mieszkał w klasztorze i spędzał czas na

urządzaniu dalekich wycieczek wśród skał wybrzeża. Wyczytałem jednak z wyrazu jego twarzy, że pracuje nad jakimś planem. Nie zwracałem na niego zbytniej uwagi, lecz dowiedziałem się od jednego z braciszków, że nie jest mu obca ta wyspa. Przed paru laty był gościem hrabiego, właściciela tej ziemi i zamku leżącego nad klasztorem.

— Trzeciego dnia swej bytności na wyspie pozostał ojciec pański w pokoju swym aż do zachodu słońca. Gdy rozległ się dzwonek wieczorny, spotkałem go na korytarzu. Ubrany był jak do wyjścia, twarz miał zdecydowaną i ponurą. Przeszedł mimo mnie bez słowa i opuścił klasztor.

Parę chwil później stałem przy oknie i przypatrywałem się braciszkom wracającym z pracy na roli. Zauważyłem wtedy, że ojciec pański obrał drogę prowadzącą do zamku. W ciągu nocy powrócił. Północ już minęła. Wszystko w klasztorze spało, gdy u bramy rozległ się słaby dzwonek. Wdziałem na siebie płaszcz, zeszedłem na dół, by spełnić funkcję odźwiernego. Gdy odsunąłem ostatni rygiel i rozwarłem drzwi, ujrzałem, że ojciec pański opierał się o mur. Palce jego były

kurczowo ściśnięte, rysy zmienione. Księżyc oświecał jego blade jak widmo oblicze. Był cały zakrwawiony i ciemne krople spadały na białe marmurowe schody. Musiał być ciężko ranny, patrzałem na niego z przestrachem.

— Mój Boże — zawołał Paweł, który nie spuszczał z zakonnika oczu. Początkowo zdawało mu się, że przysłuchuje się jakiejś obojętnej historii, teraz jednakże opanował go gorączkowy niepokój. — Proszę dalej opowiadać — rzekł głosem ochrypłym i zniecierpliwionym.

— Nie miałem czasu do zadawania pytań. Oparty o mur próbował podejść do mnie. Z piersi jego wyrwał się jednak okrzyk bólu i padł na ziemię. Podniosłem go z trudem, z całym nakładem sił, gdyż był wielkim i barczystym mężczyzną. Ciągnąłem go po schodach i wzdłuż korytarza do najbliższej próżnej celi. Tam ułożyłem go na łożu z paproci i pobiegłem, by zbudzić jednego z braciszków. Rozporządzał pewnymi wiadomościami medycznymi. Zbadał ranę i stwierdził, że ojciec pański został ugodzony głęboko sztyletem w okolicę serca. Zabandażowaliśmy – o ile się dało – ranę

i przy pomocy innych mnichów zanieśliśmy Marcina de Vaux do najlepszego pokoju. Tam ułożyliśmy go na łóżku. Po upływie pół godziny wrócił do przytomności i przywołał mnie do siebie.

— Proszę dać mi ołówek i papier — rzekł cicho.

— Podałem mu jedno i drugie i po kilku nieudanych próbach, skreślił parę słów .Potem złożył arkusz i wręczył mi.

— Proszę to natychmiast wysłać, a klasztor dostanie ode mnie sto funtów.

Pismo adresowane było: Paweł de Vaux, przez angielski konsulat w Palermo. Pan wie, że list ten doręczono mu. Potem oddaliłem wszystkich innych z pokoju i zapytałem go, kto mu tę ranę zadał.

— To był nieszczęśliwy przypadek — rzekł słabym głosem. — Nikt nie ponosi winy.

Odparłem, że to niemożliwe. Rana mogła pochodzić tylko z ręki napastnika. My byliśmy do pewnego stopnia odpowiedzialni za porządek i przestrzeganie prawa na wyspie. Powiedziałem mu to. Zaprzeczył jednak tylko głową i zamknął oczy. Nie udało mi się wydostać od niego żadnego wyjaśnienia,

co robił w ciągu nocy.

— Ojciec widział przecież, że szedł w kierunku zamku — przerwał Paweł. — Dlaczego tam nie skierował ojciec śledztwa?

— Nie uczyniłem tego. To do mnie nie należało. Mogłem się tylko zwrócić do hrabiego. Jakoś w parę dni po wypadku Marcina de Vaux opuściłem klasztor i starałem się o dostęp do hrabiego. Nie użyczył mi jednak posłuchania. Gdy wróciłem, ojciec pański, odgadłszy przyczynę mej nieobecności, wezwał mnie do siebie. Poznał po wyrazie mej twarzy, że nie powiodło mi się i był snadź zadowolony z tego. Dał mi znak, bym się zbliżył do niego i postawił mi jedno pytanie. Chciał zapisać klasztorowi większą sumę, o ile zaprzestanę dalszego śledztwa w sprawie napadu. W razie przyjazdu pana nie miałem wspominać przed panem o tym. Przez jakiś czas zwlekałem, potem zgodziłem się, gdyż pieniądze były potrzebne klasztorowi. Jak pan widzi, jestem całkiem szczery. Ponadto miał wtedy Marcin de Vaux wysoką gorączkę i w tym krytycznym stanie nie wolno go było

drażnić sprzeciwianiem się jego życzeniom.

Przyrzekłem mu więc i dotrzymałem słowa. Nikt, nawet pan, nie dowiedział się o tym, że umarł ugodzony sztyletem. W czasie mej bytności na wyspie nie dopytywałem się też więcej, co się podczas jego odwiedzin na zamku wydarzyło.

— Nic poza tym nie dotarło do uszu księdza? Żadne pogłoski?

Ojciec Adrian zwlekał z odpowiedzią.

— Nie, nie mówiono nic o ojcu pańskim. Lecz między
ludnością zamek był stale tematem rozmów. Mieszkańcy wyspy są bardzo zabobonni i opowiadali sobie o najrozmaitszych dziwach: o donośnych krzykach, które wśród nocy rozbrzmiewały w zamku, o światłach palących się w niezamieszkanych częściach klasztoru. O samym hrabi opowiadano różne okropności, jakkolwiek od wielu lat nie pokazywał się poza obrębem zamku. Przebąkiwano, że duszę swą zapisał diabłu. Gdy tylko imię jego wymieniono, ludzie żegnali się z trwogi.

— Ach, to tylko głupie gadanie — zawołał Paweł w podrażnieniu.

— Czy ojciec znał starego hrabiego z Cruty?

Ojciec Adrian milczał przez chwilę, potem odwrócił głowę.

— Tak, znałem go — odparł.

— Jaki to był człowiek! Proszę mi o nim coś opowiedzieć.

Zakonnik zaprzeczył głową.

— To nie nadaje się do opowiadania — odparł wolno.

— Czy to ma znaczyć, że ojciec mi nie chce opowiedzieć?

Ojciec Adrian potwierdził w milczeniu skinieniem głowy.

— Ależ on był mordercą mego ojca! — zawołał Paweł namiętnie.

— Możliwe. Niechaj pan jednak pamięta o tym, że nic nie wyszło na światło dzienne i że życzeniem umierającego ojca pańskiego było utrzymać wszystko w tajemnicy!

Paweł prawie że nie słyszał słów mnicha. Niespokojny przechadzał się po pokoju. Nagle zatrzymał się przed zakonnikiem.

— Proszę opowiedzieć historię, którą ojcu zaufał. Muszę wiedzieć, po co udał się na Crutę!

XXIV
NIEPRZYJĘTE OŚWIADCZYNY

Paweł nie zaświecił światła, tak że gdyby nie ogień na kominku, pokój pogrążony byłby w ciemnościach. Ojciec Adrian siedział w cieniu i Paweł widział tylko zarys jego postaci. Pogrzebaczem rozniecał ogień, by lepiej przypatrzyć się twarzy zakonnika.

Wydawało się, że całe życie ustąpiło z policzków tego człowieka, a ciemne, pałające oczy bardziej jeszcze podkreślały bladość. Jego wąskie usta drżały, a wzrok zdradzał wewnętrzne podniecenie. Paweł miał wrażenie, że historia ta osobiście dotyczyła zakonnika, jakkolwiek starał się to zataić. Całe przeżycie odzwierciadlało się w rysach mnicha. Kim był ten zakonnik i po co daleką odbył drogę? Czy po to, aby opowiedzieć tę historię? Paweł domyślał się, że w tym wszystkim tkwi głęboka tajemnica.

— Nie powinien pan sądzić — rozpoczął ojciec Adrian wolno — że ojciec pański opowiedział mi historię całego swego życia. Wyznał tylko jeden epizod,

który bardzo mu leżał na duszy, gdy śmierć się zbliżała. Nie wytłumaczył mi też związku między tym epizodem a innymi przeżyciami. Spróbuję jednak dokładnie powtórzyć to, co się od niego dowiedziałem.

— W wigilię przyjazdu pana, po południu, zawezwał mnie do swego łoża. Parę godzin przedtem doniesiono mu o jego zbliżającym się zgonie. Od tej pory milczał. Gdy wszedłem do jego pokoju, ukląkłem przy łóżku i zacząłem się modlić. Przeszkodził mi w tym jednak. — Proszę wysłuchać mnie — rzekł — muszę księdzu opowiedzieć jedno z najgorszych mych przeżyć.

— Pamięć o tym przejściu prześladowała mnie stale, dlatego też wróciłem na Crutę. Nie spowiadam się przed księdzem, lecz, powierzając mu tę historię, pragnę, by ojciec modlił się za mnie.

Przed trzydziestu laty przebywałem w Palermo i tam zawarłem znajomość z pewnym hrabią, właścicielem Cruty. Spotykaliśmy się często, a gdy wyjeżdżał, zaprosił mnie na tydzień na polowanie na morskie ptactwo. Nie miałem wtedy niczego w programie, podróżowałem dla własnej przyjemności.

Dlatego, nie zwlekając, przyjąłem zaproszenie. Razem udaliśmy się na wyspę. Hrabia był wdowcem i miał córkę, Irenę. Byłem wtedy jeszcze młody, dotychczas kobiety nie wywarły na mnie głębszego wrażenia, nie dbałem o nie. Teraz jednakowoż zakochałem się w Irenie. Po upływie tygodnia wyznałem jej miłość moją i pewnego razu wieczorem, gdy byłem sam z jej ojcem po kolacji, prosiłem go o rękę córki. Mimo wielkiej różnicy wieku byliśmy przyjaciółmi, lecz ku wielkiemu memu zdziwieniu, odmówił swego zezwolenia. Powód jego odmowy wprawił mnie w zdumienie. Wyjaśnił mi, że Irena jest zaręczona z rumuńskim hrabią, który po upływie pewnego czasu przyjedzie tutaj dla poślubienia córki. Niezależnie jednak od tego, nie pobłogosławiłby nigdy naszego związku, ponieważ należymy do odmiennego obrządku. Próbowałem nakłonić go, lecz nadaremnie. Następnego dnia zapytałem Irenę i u niej miałem więcej szczęścia. Wyznała mi, że kocha mnie i natychmiast przyklasnęła pomysłowi memu, by uciec z Cruty. W pośpiechu i potajemnie zabraliśmy się do przygotowań. Jacht mój spoczywał w pobliżu na morzu. O północy wykradła się Irena na brzeg, gdzie czekałem

na nią i łodzią przewiozłem ją na pokład. Zaraz potem podnieśliśmy kotwicę.

Ponieważ chcę tę historię opowiedzieć możliwie krótko, nie będę usprawiedliwiał ani upiększał mego zachowania. Irena miała ślepe zaufanie do mnie, ja jednak okazałem się niegodnym tego, gdyż nie ożeniłem się z nią. Mimo to nie opuściła mnie i nie czyniła mi nigdy wyrzutów. Tylko nad życiem naszym rozpostarł skrzydła ciężki, czarny cień. Powoli zmieniało się jej usposobienie i starała się sumienie swe zagłuszyć w ten sposób, że stała się zwolenniczką hulaszczego życia. Rzuciliśmy się w wir zabaw i rozrywek. Pobyt w Paryżu darzył nas obficie okazjami po temu.

Stary hrabia Cruty dwukrotnie próbował odebrać swą córkę. Pierwszym razem zgłosił się osobiście i jego słuszny gniew zawstydził mnie.

— Proszę mi oddać córkę! — powtarzał, grożąc mi pistoletem i opierając się plecami o zamknięte drzwi. — Zadzwoniłem, weszła Irena. Była w wieczornej toalecie i nuciła operetkową melodię.

Wtedy uświadomiłem sobie ujemny wpływ takiego życia na nią i ogarnął mnie lęk przed sobą samym.

Przysłuchiwała się groźnym i dzikim oskarżeniom ojca swego, wzruszając tylko lekko ramionami. Oświadczyła mu, że czuje się zupełnie szczęśliwa i że wolałaby umrzeć, niż powrócić do smutnego życia na Crucie. I, jak gdyby nic między nami nie zaszło, zapytała go, czy pozostanie i zje z nami kolację. Hrabia drgnął i słowa zamarły mu w ustach. Patrzał na nią długo w milczeniu, wzrok jego mierzył ją od stóp do głowy, gdy tak stała przed nim w swej pięknej białej sukni. Nie mógł zapanować nad swym oburzeniem.

— Dziewczyno! — zawołał. — Sponiewierałaś jedno z najbardziej dumnych nazwisk Europy. A pan jest podły — dodał — zwracając się w moją stronę. — Miał rację. Postąpiłem, jak człowiek bez charakteru i gdyby nie był mnie obrzucał rozmaitymi przezwiskami, byłbym nazajutrz ożenił się z Ireną. Już prawie chciałem plan mój przed nim zdradzić, lecz dotknął mnie zbyt głęboko. Mój dobry zamiar nie został zrealizowany.

— Nie trzeba było mi jej odmawiać, gdy prosiłem o jej rękę — odparłem. — Cała wina spada na pana. Jeśli ktoś niegodnie postąpił, to tylko pan. — Spojrzałem mu prosto w oczy. — Gdyby hrabia nie był

już siwym człowiekiem, zrzuciłbym pana ze schodów. Proszę odejść. Irena nie ma panu nic do powiedzenia, ja też nie. — Hrabia zwlekał chwilę z odejściem, spoglądając na nas oboje z pogardą i lekceważeniem. W głębi duszy wstydziłem się.

— Tak, przed chwilą powiedział pan prawdę. Jestem starym człowiekiem i nie mam syna, który by skarcił pana tak, jak zasługuje. Lecz starzy ludzie patrzą czasem w przyszłość. Posłuchaj mnie, Marcinie de Vaux. Odczuje pan jeszcze głęboko skruchę za to, coś uczynił. Możecie teraz drwić ze mnie i lekceważyć moje słowa. Dzień ten z pewnością nadejdzie. Brnij dalej w morzu szaleństw, przeznaczeniu swemu nie ujdziesz, Marcinie de Vaux.

Z tymi słowy opuścił nas. Spojrzałem na Irenę, lecz ona z pełnym spokojem zapinała rękawiczki.

— Powóz czeka na dole — zauważyła chłodno.

Z uśmiechem podałem jej dłoń i pojechaliśmy do opery.

XXV
PROŚBA UMIERAJĄCEGO

Wybiła północ. Ojciec Adrian umilkł. Paweł spojrzał na zegar.

— Ojciec musi przez noc tu pozostać. Jest już późno. O tej porze nie można stąd wyjść.

Zadzwonił i dał służącemu zlecenie, by przygotował pokój gościnny. Ale zakonnik, pogrążony w myślach i patrzący przed siebie, podniósł głowę i zaprzeczył gestem.

— Nie, nie zostanę tutaj — oświadczył spokojnie. — To jest niemożliwe.

— Ojciec nie skończył opowiadania, a jest późno. Droga do klasztoru świętego Bernarda wymaga trzech godzin.

— Jestem przyzwyczajony do nocnych wędrówek. Chciałby pan wysłuchać opowiadania do końca?

— A więc dobrze, jestem gotów.

— Od wizyty starego hrabiego — ciągnął ojciec pański — zaszła pewna zmiana w usposobieniu Ireny.

Stała się nerwowa, blada, zaczęła szczupleć i wyrzekła się wszystkich przyjemności. Utrzymywaliśmy wtedy kontakt z kołami artystycznymi Paryża i w gronie znajomych znajdował się jeden, bardzo mi niesympatyczny człowiek. Był to hrabia Victor Hirschfeld. Z Ireną rozumieli się lepiej i z pogawędek ich wynikało, że znali się już od dawna. Byłem przekonany, że pod maską przyjaźni hrabia stara się Irenę ode mnie oddalić. I jakkolwiek ani przez chwilę nie wierzyłem w powodzenie jego wysiłków, starałem się o dowody, by móc go wyzwać. Odwiedzał Irenę stale, gdy byłem nieobecny w domu. Gdy potem wracałem, zastawałem ją we łzach. Lecz na prośby me o wyjaśnienie, odpowiadała tylko wymijająco.

W szczęściu minęły trzy lata naszego pożycia, gdy Irena nagle, bez uprzedzenia, opuściła mnie. Pewnego wieczoru wróciłem z konsulatu angielskiego, gdzie byłem proszony na kolację i nie zastałem jej więcej. Nie zostawiła dla mnie żadnej wiadomości, żadnego listu pożegnalnego, żadnego śladu, o który mógłbym zaczepić. Było to dla mnie strasznym ciosem, lecz gdy pierwszy ból minął, odczułem pewną ulgę. Nużyło mnie

już to nieregularne życie, które prowadziliśmy; pragnąłem wrócić do Anglii. O Irenie nie myślałem więcej. Jak długo była mi wierna, czułem się zobowiązany. Mój stosunek do niej zmienił się z biegiem czasu i nie czułem się już tak szczęśliwy jak pierwotnie. Ponieważ z własnej woli opuściła mnie, czułem się wolny. Byłem pewny, że albo wróciła do ojca swego, albo uległa namowom hrabiego Hirschfelda. Druga możliwość wydawała mi się prawdopodobniejsza, ponieważ nie pożegnała się ze mną. Sprzedałem willę, aby zapomnieć wszystko, co mi przypominało ten okres życia. Gdy wróciłem do Anglii, osiadłem na zamku Vaux i parę miesięcy później zapomniałem o współżyciu z Ireną. Wydawało mi się tylko złym snem. Sześć miesięcy po mym powrocie gościłem razu pewnego u siebie paru przyjaciół. Podczas kolacji wszedł służący i doniósł mi cichym głosem, że w bibliotece czeka na mnie jakiś obcy pan domagający się wysłuchania. Jakieś przeczucie tknęło mnie. Spodziewałem się zobaczyć ojca Ireny, lecz, jak się okazało, przede mną stał hrabia Hirschfeld. Wyraz jego twarzy był wyczerpany i znużony, Byłem tak

zaskoczony, że zapomniałem mu podać rękę.

— Panie de Vaux, przywożę panu list — rzekł spokojnie. — Wziąłem na siebie rolę posłańca i tylko prośba umierającej skłoniła mnie do tego, że przekroczyłem próg pańskiego pokoju!

— Obecność pana u mnie wymaga rzeczywiście wyjaśnienia. Proszę o list — odparłem ozięble.

Wręczył mi pismo, z którym zbliżyłem się do lampy. W pośpiechu wchłaniałem w siebie słowa Ireny:

Marcinie!

Gdy opuściłam ciebie, postanowiłam nigdy więcej nie zwracać się do ciebie ani ustnie, ani pisemnie. Przeznaczenie jest jednak silniejsze ode mnie. Gdy otrzymasz ten list, pomyślisz sobie, że narzucam ci się znowu ze swoją osobą. Wiem, że byłam ciężarem dla ciebie, nie obawiaj się więc tego z mej strony. Wkrótce nic już ze mnie nie pozostanie. Czeka mnie śmierć. Życie moje jest obliczone na dnie i godziny i dlatego piszę do ciebie. W obliczu wieczności zdradza się ostatnie życzenia i myśli. Nie uczyniłam ci nigdy wyrzutów, chociaż skrzywdziłeś mnie bardzo. Przez

ciebie współżycie nasze stało się gorzkie i smutne, a mogło być pasmem promiennego szczęścia. Nie dopatruj się w tym wyrzutów. Muszę cię na łożu śmierci prosić, byś ożenił się ze mną.

Nie mogę ci opisać, ilem w ciągu ostatnich miesięcy przecierpiała. Jakkolwiek ojciec mój wie, że jestem śmiertelnie chora, nie darzy mnie dobrym słowem. Zapomniał zupełnie, że jestem jego córka. Dzień po dniu pogrąża się coraz bardziej w samotności i myśli tylko o hańbie, jaką go okryłam. Duchowny u łoża mego stara się mnie pocieszyć, ale słowa jego brzmią tak ponuro, jak gdyby faktycznie nie było już ratunku dla mnie. Świadomość mego występku i grzechu tkwi stale w mej duszy, serce me ginie z rozpaczy.

Dlatego zwracam się do ciebie, Marcinie. Pomóż mi, to w twej mocy. Nie tracisz ani nie ryzykujesz niczego, jeśli w dniach mych ostatnich użyczysz mi swej pociechy. Ja zaś z większą pewnością przygotuję się na drogą, skąd nie ma powrotu.

Przysiągłeś mi wierność, gdyśmy o północy uciekali z Cruty i wybrzeże mej ojczyzny ginęło w oddali. Wracają mi na myśl twe słowa tutaj, gdzie leżę w

wielkim, pustym pokoju, a zakonnik o ostrych zimnych rysach odprawia modły u mego boku. Umieram opuszczona. Nie widzę ani jednej przyjaznej twarzy. Uwzględnij mą prośbę. Tak małego wymaga to wysiłku z twej strony. Konieczna jest tylko szybka podróż tutaj i parę szablonowych odpowiedzi na pytania duchownego. Jeśli tydzień tu spędzisz, odprowadzisz mnie na wieczny spoczynek, potem znów będziesz wolny. Czy to tak wiele? Możesz w ten sposób zbawić serce umierającej. Proszę Boga o spełnienie mej prośby. Byłeś zawsze wspaniałomyślny, stąd me zaufanie do ciebie.

List wysunął się z mych drżących rąk i upadł na ziemię. Teraz poczęły mnie gnębić wyrzuty. Zniszczyłem życie tej młodej kobiety. Wspomnienie dni, w których zarzucałem ją namiętnymi przysięgami i obietnicami, kiedy uczucie paliło mnie jak ogień, obdarzyła mnie tak wielkim zaufaniem, a ja go tak haniebnie nadużyłem!

— Proszę wybaczyć, że przerywam myśli pana — odezwał się nagle hrabia Hirschfeld — lecz czas ucieka. Czekam na odpowiedź.

— To zbyteczne, będę przed hrabią na Crucie.

XXVI
ŚLUB

Spieszyłem błyskawicznymi pociągami i statkami przez Anglię i kontynent na południe. Hrabia Hirschfeld towarzyszył mi w ekspresie. Rozeszliśmy się w Londynie i resztę drogi odbyliśmy osobno. Wieczorem następnego dnia dobił statek wynajęty przeze mnie w Palermo do zatoki Cruty. Małą łódką dobiłem do brzegu, zanim zapadła zupełna ciemność. Minąłem wąską, krętą ścieżkę prowadzącą na górę, przeciąłem betonowy dziedziniec i pociągnąłem za donośny dzwon umieszczony przed głównym wejściem. Służący z pochodnią otworzył i dał mi znak, by za nim podążyć.

— Jak się czuje hrabina Irena? — zapytałem cicho i lękliwie. — Czy zastałem ją przy życiu?...

— Tak, żyje — odparł ponuro.

Szedłem za nim wzdłuż korytarzy i schodów, nie mających końca. Wreszcie zatrzymał się przed pewnymi drzwiami, przez chwilę nasłuchiwał, wreszcie zapukał lekko.

Otworzył mnich, którego twarz okryta była kapturem, dozwolił mi wejść i zamknął natychmiast drzwi za mną. Znalazłem się w obszernej lecz źle oświetlonej sypialni o zupełnie nagich ścianach. Przed łóżkiem ze szczelnie zasuniętymi firankami stali bladzi mnisi z uroczystymi obliczami. Wywierali na mnie wrażenie posępnych, groźnych cieni z zaświatów. Na ścianie przeciwległej wisiał duży drewniany krzyż, poniżej świeciły się świece.

Podczas gdy stałem w środku pokoju i zwlekałem, zakonnik, który mnie wprowadził, przeszedł mimo mnie i stanął u krawędzi łóżka. Dał mi znak, bym się zbliżył. Nagle jednostajne modły przerwały ciszę panującą w pokoju. Pochyliłem głowę, ukląkłem obok łóżka i modliłem się wraz z nimi. Na chwilę ująłem białą zimną rękę leżącą na kołdrze.

Cały ceremoniał ślubny minął jak sen. Gdy procedurę tę miałem za sobą, chciałem ręką usunąć zasłonę. Lecz mnich, stojący najbliżej mnie, wstrzymał mnie żelaznym chwytem i zanim mogłem się poruszyć, dotarł do mnie głos z najbardziej ciemnego kąta pokoju.

— Jeżeli podniesie pan firankę, Marcinie de Vaux, by spojrzeć na twarz mej córki, zastrzelę cię. Tylko dla jej zbawienia pozwoliłem na to. A teraz proszę odejść!

Usiłowałem wzrokiem przeszyć ciemność i poznałem wysoką postać hrabiego, stojącą obok drzwi. Wahałem się przez chwilę.

— Irena jest moją żoną — odpowiedziałem. — Nie usprawiedliwiam się z tego, co poprzednio popełniłem. Ale ostatecznie naprawiłem zło i próbowałem uzyskać przebaczenie hrabiego.

Zbliżył się nieco do mnie i głos jego drżał tłumioną namiętnością.

— Nie ma pan prawa pozostać tu dłużej, człowieku bez czci i charakteru. Jak śmie pan pod moim dachem rozprawiać się ze mną. Odejdź pan, gotów bowiem jestem zapomnieć się i ukarać cię tak, jak na to zasługujesz!

Wściekłość i wstyd ogarnęły mnie, lecz pozostałem.

— Ona jest tą, przeciw której zgrzeszyłem, jej życzeniu będę posłuszny. Ireno, czy nie wolno mi zostać przy tobie? Powiedz mi, że mi przebaczyłaś!

Gwałtownie szarpnąłem firankę, chciałem bowiem prosić Irenę o przebaczenie. Od środka jednak przytrzymano zasłonę, a jeden z mnichów, dzierżąc straż, oswobodził materiał z mej ręki.

— Precz z nim! — zawołał hrabia ze złością. — Rudolfie, czyż nie słyszysz?

Chciałem z nim walczyć, lecz właśnie wtedy wyłoniła się zza firanki biała, wychudła ręka i zatrzymała moją dłoń.

— Marcinie, odejdź szybko — doszedł mnie słaby, cichy głos Ireny, lecz tak zmieniony, że ledwie mogłem go poznać. Także ja życzę sobie tego, nawet rozkazuję!

— Tylko jedno słowo Ireno — zawołałem, usiłując oswobodzić się z chwytu ludzi, krępujących mnie. — Tylko jedno słowo!

— Bądź zdrów!

— Ireno, jesteś teraz poślubioną mi żoną, czyż nie powiesz mi nic więcej?

— Bądź zdrów!

Słowa te nie brzmiały łagodnie. Nie brzmiał w nich żaden żal ani miłość. Zrozpaczony pochyliłem głowę i oddaliłem się.

Nastąpiła krótka przerwa. Z na wpół zamkniętymi oczami oparł się ojciec Adrian o krzesło. Także i jego wzruszyło opowiadanie to do głębi. Paweł, jak skamieniały stał naprzeciw niego.

— Będę dalej opowiadać — rzekł ojciec Adrian po dłuższym milczeniu. — Jeszcze parę dni pozostałem na wyspie — ciągnął Marcin de Vaux — i mieszkałem w klasztorze. Nie mogłem się stamtąd oddalić. Przeszkodzono mi w każdej próbie wtargnięcia do zamku. Czwartego dnia o wschodzie słońca obudziły mnie nagle głębokie tony zamkowych dzwonów. Ubrałem się pośpiesznie i podążyłem na dół. Odprawiono mnie jednak sprzed bramy i nie wpuszczono do środka. W każdym razie udało mi się od jednego ze służących dowiedzieć, że Irena zmarła. Nazajutrz widziałem małą gromadkę zdążającą z zamku ku klasztorowi. Przyłączyłem się do niej. Stary hrabia pochylony wiekiem i troskami stał przy grobie. Chciał mnie odepchnąć, lecz zakonnik stojący między nami podniósł swą rękę i zabronił mu dotknąć mnie. Staliśmy na poświęconej ziemi i jakkolwiek hrabia Cruty i Hirszfeld nie panowali prawie nad swą złością,

pozostałem tam. I stojąc też na grobie mej żony, modliłem się po raz pierwszy od czasów mego dzieciństwa.

Gdy obrzęd pogrzebowy się skończył, oddalili się mnisi w długiej, uroczystej procesji. Ojciec, hrabia Hirszfeld i ja pozostaliśmy sami. Przemawiałem do niego przyjaźnie, nawet kornie, prosiłem go znowu o przebaczenie, lecz on srodze zagniewany odwrócił się ode mnie. Nie zwracał w ogóle uwagi na to, z czym się do niego zwracałem. W jego oczach pozostałem mordercą córki. Tego wieczoru opuściłem wyspę i powróciłem do Anglii. Na przeciąg paru lat wycofałem się zupełnie z życia towarzyskiego, poświęciłem się wyłącznie zarządowi mych dóbr i wyjeżdżałem rzadko. Prześladowała mnie myśl o Irenie. Byłem jednak młody i jakkolwiek szczerze żałowałem mej przeszłości, pamięć jej stopniowo się zacierała. To, co się już stało, nie dało się ani łzami, ani skruchą naprawić. Zbliżyłem się znowu do ludzi, odwiedzałem przyjaciół, wróciłem do dawnego trybu życia. Zdawało mi się pierwotnie, że jestem złamany na zawsze, lecz życie potoczyło się normalnie dalej. Ożeniłem się. W ten sposób

wykreśliłem ostatnie wspomnienia o Irenie i wspólnym naszym życiu. Kochałem żonę moją stokroć goręcej i szczerzej, niż Irenę kiedykolwiek i przez jakiś czas nic nie mąciło naszego szczęścia. Gdy urodził mi się syn, wydałem wielki bal na zamku Vaux, tak bardzo cieszyłem się spełnieniem mego najgorętszego życzenia. Lecz już ponure chmury otoczyły moją głowę. Właśnie dwa tygodnie minęło od owego towarzyskiego zebrania, gdy wróciwszy z polowania do domu z kilku przyjaciółmi dowiedziałem się, że jakiś obcy pan pragnie ze mną mówić.

Jak się spodziewałem, był to hrabia Hirschfeld. Czekał na mnie w bibliotece. Był całkiem spokojny, uśmiechał się ironicznie, lecz ja nie straciłem panowania nad sobą.

— Hrabio — rzekłem surowo — gdybym był w domu, nie byłby pan przekroczył jego progu.

— Przychodzę jako wysłannik pańskiej żony — odparł wolno.

— Mej żony? — powtórzyłem. — Przecież pan w ogóle jej nie zna? Cóż hrabia chce przez to powiedzieć?!

Wzruszył ramionami.

— Żałuję, że pan słów mych nie rozumie. Powtarzam raz jeszcze, że przychodzę jako wysłannik żony pańskiej, Ireny de Vaux. Przynoszę panu wieść od niej.

— Wieść od zmarłej? — zawołałem bez tchu.

— Irena nie umarła — odparł z okrutnym, drwiącymi uśmiechem. — Irena żyje! Czyż możliwe, aby pan o tym nie wiedział?

XXVII
ZEMSTA

Ogień kominkowy wygasł już, rozsiewając tylko słaby, czerwony cień. Paweł przysłuchiwał się opowiadaniu w naprężeniu.

— Miało to zapewne miejsce w tym pokoju — ciągnął ojciec Adrian dalej, oglądając się wokoło. — Tu musiał ojciec pański spotkać się z hrabią Hirschfeldem. Chcę jednak dokończyć opowiadanie to słowami Marcina de Vaux.

Zdawało mi się, że wszystko dookoła mnie zawirowało, gdy posłyszałem tę wieść.

— To kłamstwo — zawołałem. — Staliśmy przecież razem nad jej grobem. Dawno już umarła.

Triumf odbił się na twarzy hrabiego.

— Tak pan sądził. Dał się pan łatwo wprowadzić przez nas w błąd. Proszę posłuchać, co panu powiem. Zdawało się panu, że jest drobnostką uwieść córkę ostatniego hrabiego z Cruty. Czyn ten był też dość łatwy, lecz zraziłeś sobie wielu ludzi, a ci zapragnęli

zemsty. Jednym z nich był stary hrabia, którego córkę zhańbiłeś i którego dumę zraniłeś. Drugim byłem ja, jej narzeczony, kochający ją i noszący się z zamiarem poślubienia jej. Czy sądzi pan, że zapomniałem o tej zniewadze dlatego, że nie zastrzeliłem pana, jak na to pan zasługiwał?

Nakłoniłem Irenę, by opuściła pana i wróciła do ojca. Przekonała się, jak egoistycznie obszedł się pan z nią, wytłumaczyłem jej konieczność zemsty. Ja jestem twórcą podstępu, którego padł pan ofiarą. Wszak wszystko było tak proste. Irena oczekiwała dziecka. Panu wmówiono, że jest śmiertelnie chora, wobec czego zgodził się pan na ślub. Nazajutrz urodziło się dziecko, syn pana. W tym czasie umarła służebna Ireny i pan wziął udział w jej pogrzebie. Irena natomiast szybko wyzdrowiała. Nie groziło jej zresztą nigdy niebezpieczeństwo. Żyje u ojca swego wraz z synem. Uzbroiliśmy się w cierpliwość i faktycznie nastąpiło to, czegośmy się spodziewali. Wyczytaliśmy w gazecie o małżeństwie pana i hrabia już był gotów skierować cios swój przeciw panu. Ja jednak byłem temu przeciwny. Czas mijał i w dziennikach znaleźliśmy wzmiankę o

narodzeniu pańskiego potomka i o wielkiej uroczystości urządzonej z okazji tego wydarzenia. Irena, trzymając syna swego na rękach, zaprzysięgła zemstę. — Teraz nadeszła pora — oświadczyła — idź pan do Marcina de Vaux i powiedz mu, że jego syn pierworodny żyje na Crucie. Powiedz, że żona i syn tęsknią za nim. W tym więc celu zgłosiłem się tutaj.

Nastąpiło głębokie milczenie. Usta me wyschły. Z założonymi rękami przyglądał mi się hrabia Hirschfeld. To była jego zemsta.

— To nieprawda — zdołałem wreszcie wykrztusić. — Nie wierzę w to. Irena nie żyje.

Próbowałem mówić z przekonaniem, lecz nie udało mi się to. W głębi duszy uwierzyłem słowom hrabiego Hirschfelda.

Wzruszył ramionami.

— Ma pan dosyć dowodów, by mi nie wierzyć. Lecz proszę się wybrać na Crutę. Przekona się pan. Tam przeczyta pan na nagrobku: Tu spoczywa Maria, wierna służebna Ireny na Crucie. Może pan pomówić z lekarzem, który leczył dziewczynę równocześnie z żoną pana. Przede wszystkim jednak zobaczy pan żonę i

syna swego. Jak zapatruje się pan na mój projekt?

— Nie chcę nikogo widzieć — zawołałem namiętnie. — Dokonano na mnie najnędzniejszej zdrady.

— Przeciw ludziom podłym, o niskich charakterach, można walczyć tylko podstępem — odparł. — Zapłacono panu taką samą miarą.

Upadłem na krzesło.

— Jeżeli to ma być prawdą, czego żąda ode mnie Irena, nie powrócę do niej, ani nie uznam jej. Jedyne, co jej dać mogę, to tylko pieniądze.

— Oczywiście musi pan ją wspierać — odpowiedział hrabia Hirschfeld. — Musi pan oddać do dyspozycji jej wysoką sumę, by mogła syna swego wychować odpowiednio do jego stanu.

— Pieniądze dostanie — oświadczyłem. — Nie uznam jednak prawnie ani jej, ani syna. Jeżeli on przywłaszczy sobie nazwisko de Vaux lub będzie się mi narzucał, wystąpię przeciwko niemu. Angielskie sądy unieważnią to małżeństwo.

— Jestem innego zdania — rzekł hrabia Hirschfeld ozięble. — Ponadto pochodzi obecna żona pana ze

starej, arystokratycznej rodziny. Jest córką księcia. Proces tego rodzaju mógłby pana wstawić w przykre położenie. A co się tyczy syna pańskiego…

— Powtarzam panu raz jeszcze, że prawnie nie uznaję ani Ireny, ani syna. Mogą mieć pieniądze. Ponadto zabezpieczę przyszłość dziecka. Nie otrzyma jednak ani grosza, jeśli odważy się używać nazwiska de Vaux!

— Jestem tylko posłańcem i chętnie powtórzę żonie pańskiej jego odpowiedź. O decyzji swej uwiadomi pana sama!

Z tymi słowy odszedł, a ja przez czternaście dni trwałem w niepewności. Po upływie tego czasu przyszedł list z podpisem Ireny. Był oziębły i utrzymany w urzędowym stylu. Donosiła mi, że nie ma zamiaru ubiegać się o tytuł mej żony. Żądała, bym deponował w banku w Palermo regularnie rentę, by z tego funduszu łożyła na wychowanie syna. Co do przyszłości nie może się do niczego zobowiązywać. Syn sam rozstrzygnie, czy zechce się ubiegać o przynależny mu angielski tytuł. Wychowywać go będzie w nieświadomości, lecz w dniu dwudziestych piątych urodzin jego odkryje przed

nim tajemnicę jego pochodzenia i wręczy mu potrzebne dokumenty. O ile na podstawie tych papierów poczyni kroki w sprawie należących mu się dóbr de Vaux, wygrana nie będzie dlań trudna. Gdyby natomiast wolał zachować swe dotychczasowe stanowisko, to ona nie wpłynie na niego w przeciwnym kierunku. List ten był wielką ulgą dla mnie. Dwadzieścia pięć lat – to spory kęs czasu. W tak długim czasie może chłopiec umrzeć lub wydarzyć się tysiąc innych rzeczy. Starałem się o to, by ten rozdział mego życia uważać za zamknięty i żyłem tak, jak gdyby się nic nie przytrafiło.

Mimo że dwadzieścia pięć lat, to szmat czasu, jednak i on minął. Pewnego dnia otrzymałem list, pisany ręką Ireny. Donosiła mi w paru słowach, że syn jej przybrał swe właściwe nazwisko i że zamierza ubiegać się o swoje stanowisko w społeczeństwie. Używa już nazwiska de Vaux i liczy się z tym, by po śmierci ojca zagarnąć dla siebie tytuł i spadek. Przeczytałem list i postanowiłem natychmiast działać. Tydzień później na pokładzie własnego jachtu zdążałem z synem mym Pawłem ku morzu Śródziemnemu. Rozłączyliśmy się w Palermo. Tu chciał Paweł odszukać hrabiego

Hirschfelda. Nie wiedział wprawdzie na pewno, czy go tam znajdzie. Miał zaproponować temu człowiekowi wielką sumę, o ile uda mu się nakłonić Irenę do zmiany postanowienia. Sam zaś pojechałem na Crutę, by się osobiście z nią spotkać.

Tutaj kończy się opowiadanie ojca pańskiego — ciągnął dalej ojciec Adrian. — Na Crucie mieszkał w klasztorze, w którym go później umieściliśmy. Napisał pospieszny list do pana, zaraz potem udał się do zamku. Reszta znana już jest panu.

Ranek juz świtał i blade, szare światło przekradało się przez okno. Kominkowy ogień zupełnie wygasł. W parku unosiła się szara mgła, w pokoju pochłodniało. Paweł opierał się o gzyms pieca. Ukrył głowę w dłoniach, a gdy podniósł ją drżał cały. Ojciec Adrian powstał.

— Obawiam się, że to była straszna noc dla pana. Żałuję mocno, że zadałem panu tak wielki ból.

— Dziękuję księdzu — odparł Paweł słabym głosem. Musiałem się o tym dowiedzieć. Dlaczego nie podzielił się ojciec tymi wiadomości ze mną jeszcze na Crucie?

— Zdawało mi się, że śmierć ojca jest dostatecznym ciosem dla pana. Może nie było to słuszne z mej strony.

Paweł nie odpowiadał. Ojciec Adrian przyglądał się jego zapadniętej twarzy zimnym i bezwzględnym wzrokiem.

— Wywarło to na panu silne wrażenie — zauważył wolno. — Mam jeszcze coś do powiedzenia panu. Nie odnosi się to już jednak do przeżyć ojca pańskiego. Czy mogę przyjść jutro lub pojutrze?

— Proszę za tydzień. Wtedy będę spokojniejszy.

Ojciec Adrian zwlekał z odejściem

— A więc dobrze. Bądź pan zdrów!

XXVIII
PAMIĘTNIK ADREI

Dziś wieczorem zamknę mój pamiętnik na długi czas, może na zawsze. Jestem zadowolona z tego. Ostatnie dni były tak straszne. Czułam się marnie i niepewnie. Dawniej sprawiało mi ulgę, gdy radości me i smutki mogłam zawierzyć dziennikowi. Lecz tego, co mnie teraz czeka, nie odważę się nawet tym stronicom zaufać.

Dwadzieścia cztery godziny upłynęły od chwili ostatnich mych zapisków. Była noc i teraz mrok już zapadł. Wszystko, co pomiędzy tym czasem leży wydaje się fantastyczne i nierzeczywiste. Pytam się ciągle siebie, czy się faktycznie zdarzyło. Wystarczy jednak, bym zamknęła oczy, a już wszystko widzę wyraźnie przed sobą. Ten dzień zawsze pozostanie mi w pamięci.

Wczesnym rankiem wybrałam się w drogę do zamku przez rozległą równinę. Nade mną unosił się czysty błękit nieba. Snuły się małe, białe obłoki, słońce

świeciło jasno. Szare, nienasycone morze, na które zawsze dotychczas spoglądałam z drżeniem, przybrało koloryt nieba, załamując w swych srebrnych falach promienie słońca. Równina była jak odmieniona. Nagie, skałami pokryte wzgórza zatraciły twardość swą i lśniły w blasku promieni.

Dziwiłam się, że mimo mego smutku, przyroda wywierała tak wielkie na mnie wrażenie. Szum morza byłby oddźwiękiem nastroju mego, lecz podczas gdy cały świat się uśmiechał, odczułam jeszcze bardziej mój smutek. Droga ciągnęła się samotna i opuszczona, nie spotkałam nikogo. Raz zmylił mnie ciemny krzew, łudząco podobny do mężczyzny. Czyżby to był Ojciec Adrian? Czułam mój przyspieszony oddech i drżałam na całym ciele w namiętnym podnieceniu. To, co mnie ogarnęło, nie było trwogą. Nagle pochyliłam się ku ziemi, wzięłam do ręki ciężki kamień i podkradając się cicho, podążyłam dalej. W końcu okazało się, że to krzak, a nie człowiek. Niechętnie odrzuciłam kamień na ziemię.

Odzwyczaiłam się już od dalekich wędrówek, lecz obawa i nadzieja pędziły mnie przed siebie tak, że

zanim trzy godziny upłynęły, stałam przed główną bramą zamku Vaux.

Dzwonek, który pociągnęłam, zadźwięczał dziwnie martwym głosem. Zaraz potem rozwarła się szeroka brama i siwy służący w czarnej liberii spojrzał na mnie zdziwiony.

— Pragnę pomówić z panem Pawłem de Vaux — rzekłam. — Czy jest w domu?

— Sądzę, lecz jest bardzo zajęty i nie wolno przeszkadzać mu. Matka jego, pani de Vaux jest obecna.

— Nie chcę rozmówić się ze starszą panią, zależy mi na osobistej rozmowie z panem Pawłem. Proszę mu zameldować, że chcę go widzieć. Przyjmie mnie na pewno...

Służący nie odpowiedział, tylko dał znak, bym podążyła za nim. Odwaga moja opuściła mnie, gdy kroczyłam przez obszerny hall i nie śmiałam nawet odwrócić się. Był tak wysoki, piękny, ozdobiony, że odniosłam wrażenie, jakobym była w kościele. Na białych marmurowych schodach leżały perskie dywany. Nagle zobaczyłam starszą panią, zdążającą na dół.

Wyszła nam właśnie naprzeciw. Służący, zobaczywszy ją, przystanął, a mnie nie pozostawało nic innego jak pójść za jego przykładem.

— Oto milady — powiedział.

Powoli zbliżała się do nas. Była jeszcze piękną, okazałą kobietą i szła wyniośle, jakkolwiek opierała sie na hebanowej lasce. Przypomniały mi się słowa ojca Adriana: Mogę złamać serce jego matki. W przytłumionym świetle przechyliłam się naprzód, obserwując ją. Gdy zrównała się z nami, zagadnęła służącego: — Czy ta młoda pani pragnie ze mną pomówić, Ryszardzie?

Oczekiwała zapewne, że przemówię, lecz w tej chwili nie mogłam słowa wydobyć ze siebie. Ponieważ wyglądała całkiem spokojnie, nie przypuszczałam, że w ostatnich dwudziestu czterech godzinach ojciec Adrian spełnił swą groźbę. Widocznie słowa jego były tylko czczą pogróżką. W obecności tej kobiety opuściła mnie cała trwoga, która mną owładnęła. Jakżeby się też udało znikomemu zakonnikowi wyprowadzić z równowagi taką damę?

Myśli moje wyprzedzały się naprzemian. Wreszcie

służący odpowiedział za mnie.

— Młoda pani chciałaby pomówić z panem Pawłem. Nie wiem tylko, czy można mu przeszkodzić.

— Chciałaby pani zobaczyć się z synem moim? — Spojrzała na mnie badawczo, podnosząc brwi. — Jest zajęty i nie chciałby, by go w najbliższych paru godzinach odrywano od pracy. To, co pragnie pani jemu powiedzieć, może pani także śmiało mi zaufać.

— Dziękuję pięknie, ale wolę poczekać, aż znajdzie czas dla mnie.

Odrzuciła głowę swą nieco w tył.

— Proszę tę panią wprowadzić do poczekalni i zameldować panu Pawłowi, gdy zadzwoni. Czy mogę prosić o nazwisko pani? — dodała zwracając się do mnie.

— Nie będzie pani znane, przychodzę z domu majora Harcourta.

Nie odpowiedziała, lecz policzki jej się zaczerwieniły a palce drżały. Postąpiłam niemądrze, wspominając o tym. Musiała już słyszeć o mnie, gdyż wzrok zdawał się mówić, że nie jestem godną nawet jej pogardy.

— A więc to pani jest tancerką Adreą Kiros! Nie może pani mieć synowi memu nic do powiedzenia. Nie jest odpowiednią rzeczą ze strony pani, że aż tutaj, aż do własnego jego domu podąża pani za nim. Proszę, niech pani odejdzie. Zawiadomimy potem pana Pawła o bytności pani. Dla skomunikowania się z panią nie zabraknie mu środków. Nie musi się pani spotkać pod tym dachem. Ryszardzie, proszę wyprowadzić tę panią!

Swą hebanową laską wskazała na drzwi. Stałam cicho, zwalczając me podniecenie.

— Zostaję tutaj odparłam stanowczo. — Przyszłam, by pomówić z panem de Vaux i zobaczę go. Proszę się nie odważyć mnie dotknąć — rzekłam rozdrażniona do Ryszarda, gdy rękę swą położył na mych plecach. Nastraszył się, nawet usprawiedliwił. Oboje snadź zrozumieli, że nie tak łatwo będzie pozbyć się mnie.

Także lady Vaux zmieniła nagle swą politykę.

— Proszę za mną — powiedziała, wykonując rozkazujący gest. — Zobaczy pani syna mego i z własnych jego ust posłyszy, co sądzi o tym, że pani przyszła na zamek. Może na jego życzenie opuści pani

nasz dom, jeśli mego nic bierze pani w rachubę.

Wyprostowana, szłam za nią w milczeniu. Serce me biło jednak mocno. Co on pomyśli o mnie? Czy będzie oburzony?

Na wszelki wypadek nie będzie się zbytnio cieszył, bo jeśli nawet przyjmie mnie uprzejmie, czeka go scena ze strony matki. Czy jednak mogłam inaczej postąpić? Musiałam się z nim widzieć. Wszyscy troje zatrzymaliśmy się przed zamkniętymi drzwiami. Na silne pukanie służącego nikt nie odpowiedział. Po krótkim wahaniu pocisnęła lady Vaux klamkę i weszła do pokoju, a ja tuż za nią. Gdyśmy weszły, nie mogłyśmy się początkowy zorientować, było stosunkowo ciemno. Ciężkie aksamitne portiery na drzwiach były do połowy zasunięte, świeciła się tylko jedna lampa. Wydawało się pierwotnie, że nikogo w pokoju nie ma. Dopiero gdyśmy postąpiły bliżej, ujrzałam Pawła. Siedział przy biurku, zarzuconym papierami i opierał na obu rękach głowę. Nie mówił i nie poruszał się, jakby nie zauważył, że weszłyśmy do pokoju. Okno naprzeciw niego było otwarte, promienie słońca zalewały pokój, igrając we włosach Pawła.

— Śpi — rzekła lady Vaux. — Pawle!

Podniosłam rękę, by ją zatrzymać.

— Proszę go zostawić szepnęłam. — Odejdę chętnie. Czy nie widzi pani, że trzeba mu spokoju?

Lecz ona nie zważała na me słowa, posunęła się, jak gdyby chciała dotknąć ramienia jego.

— Pawle, zbudź się! To ja, twoja matka!

Ujęłam rękę jej, cofając ją.

— Proszę go zostawić w spokoju! — zawołałam podniecona. — Sam się wkrótce zbudzi.

Zdziwiona spojrzała na mnie.

— Jak śmie pani udzielać mi wskazówek? Dlaczego nie mam go zbudzić? Minęła już pora obiadu. Pawle.

Paweł się poruszył. Wstrzymałam oddech. Najchętniej byłabym uciekła, byłam jednak zmuszona pozostać. Wolno podniósł głowę i rozglądnął się wokoło.

Ukryłam twarz w dłoniach i zaczęłam płakać. Lady Vaux milczała przestraszona, gdy zauważyła jego niewymownie smutne rysy, na których głębokie psychiczne cierpienia wyryły bruzdy. Oczy miał silnie

podkrążone.

Lady de Vaux odezwała się pierwsza. Opuściła ją lodowata pycha, głos jej brzmiał lękliwie.

— Ależ Pawle, co robiłeś tu przez całą noc? Czy wiesz jak już późno? Czy jesteś chory?

— Chory? Nie, sądzę, że nie. — Głos jego przychodził jakby z oddali. Podniósł się, obawiałam się jednak, że zachwieje się i upadnie.

— Czy pisałeś? — badała zatroskana matka. Potem nie dopytywała się już więcej. — Dobrze, dobrze, widzę, że jesteś bardzo zmęczony, odprowadzę cię do twego pokoju.

O mnie zupełnie zapomniała, dopóki nie zorientowała się, że Paweł nie baczy w ogóle na jej słowa. Spojrzał na mnie. Odwróciła się nagle.

— Byłoby lepiej, gdyby pani odeszła — rzekła cicho, lecz rozkazująco. — Niechaj służący zaprowadzi panią do buduaru, proszę tam zaczekać na mnie.

Nie zważałam na nią. Oczy me utkwiłam w twarzy Pawła.

— Adreo — zapytał się wolno — jak dostałaś się tutaj? Czy przyszłaś z nimi? Nie, to niemożliwe. Ale jak

się stało, że jesteś u mnie?

— Obawiałam się ojca Adriana i jego gróźb. Byłam całkiem sama, nie mogłam dłużej panować nad sobą. Dlatego przyszłam.

Rysy jego ożywiły się, stopniowo odzyskiwał równowagę. Martwota twarzy nikła.

— Cieszę się, że jesteś tutaj. Muszę z tobą mówić. Miałem ważne zajęcie i całą noc pisałem. Potem prawdopodobnie zasnąłem. Pójdę teraz na górę przebrać się, potem wrócę do ciebie.

Skierował się ku drzwiom. Lady de Vaux zwlekała przez chwilę. Zmarszczki porysowały jej czoło. Położyła rękę na jego ramieniu.

— Powinieneś był mi to wszystko powiedzieć, Pawle. Kto jest owa młoda pani?

— To moja przyjaciółka — rzekł Paweł spokojnie i donośnie.

— Słyszałam, jak wołałoś ją Adrea. Czy to Adrea Kiros?

— Wszak powiedziałam już pani, że się tak nazywam — odparłam z miejsca.

Lady de Vaux odwróciła się natychmiast i opuściła

pokój.

XXIX
PAMIĘTNIK ADREI

Paweł i ja staliśmy sami w wielkim pokoju, w którym załamywały się cienie i światła. Paweł oddalony był ode mnie o parę kroków i miał odwróconą twarz. Cichutko zbliżyłam się do niego, kryjąc jego zimne dłonie w moich.

— Nie robię sobie nic z tego — szepnęłam do niego. — Nie troszcz się o twą matkę. Do słów jej nie przywiązuję wagi. Nie odejdę od ciebie, dopóki nie powiesz mi wszystkiego.

— Wszystko! — powtórzył to słowo i spojrzał na mnie bezradnie. — Czy faktycznie chcesz wszystko wiedzieć?

Powoli odzyskiwał panowanie nad sobą.

— Adreo, wybacz mi, przeżyłem jednak coś strasznego. Przez całą noc przysłuchiwałem się opowiadaniu, które wiele zmartwień i smutku ściągnęło na mnie.

Spojrzenie jego oczu było dalekie. Uścisnęłam rękę

jego, chcąc mu w ten sposób dać dowód, że go rozumiem.

— Wyjdźmy na dwór — zaproponował nagle. — Pokój działa na mnie tak przygnębiająco.

— Czy nie chciałeś się przedtem przebrać?

Spojrzał na swe zmięte ubranie.

— Poczekaj, proszę, tu na mnie i przyrzeknij mi, że nie odejdziesz, niezależnie od tego, co się tu wydarzy.

Przyrzekłam mu.

— Zamknę drzwi na klucz — dodał stojąc na progu — by ci nikt nie przeszkadzał.

— Nie spiesz się. Wykąp się i zjedz coś. Gdy tak mało zważać będziesz na swe zdrowie, rozchorujesz się.

Nieobecność jego trwała pół godziny. Raz próbował ktoś otworzyć drzwi, lecz nie troszczyłam się o to. Wreszcie obrócił się klucz w zamku i wszedł Paweł. Przebrał się, miał na sobie obecnie brązowe myśliwskie ubranie i żółte buciki. Strój jego i staranna powierzchowność stanowiły poważny kontrast do jego wzburzonego oblicza. Głębokie bruzdy zarysowały czoło, policzki były blade i zapadnięte. W twarzy jego

odzwierciadlała się beznadziejność.

Ujął mnie pod ramię i razem opuściliśmy pokój. Przez szklane drzwi wyszliśmy na dwór, idąc wzdłuż tarasu aż do parku. Potem zboczyliśmy na szeroką, pięknie otoczoną ścieżkę, obramowaną krzewami jaśminu. Przy końcu znajdowała się maleńka furtka prowadząca na krańce parku. Powietrze było boskie, przepojone wonią kwiatów, nie mogłam stłumić okrzyku radości. Paweł otworzył przede mną małe drzwiczki.

— Jak piękny jest twój dom — zawołałam. — Musisz doń być bardzo przywiązany!

— Tak, lubię go bardzo — odparł. — Lecz to już nie jest mój dom. W przyszłości nie będę jego właścicielem.

Zaskoczona tym czekałam na wyjaśnienie, lecz Paweł szedł dalej obok mnie w milczeniu.

— Nie rozumiem cię — rzekłam po chwili. — Czy nie chcesz podzielić się ze mną twymi troskami i smutkiem?

— Pragnę, abym to mógł, Adreo. — Głos jego brzmiał miękko i czule, lecz rysy twarzy pozostały

twarde. — Niestety jednak jest to tajemnica. Wczoraj dowiedziałem się o smutnym rozdziale historii naszej rodziny. Teraz zmieni się wiele.

— Czy poniosłeś stratę finansową? — zapytałam niepewnym głosem.

— O ile to jest prawdą – a nie mam danych do wątpliwości – tracę wszystko, pieniądze, dom, przyszłość. Okrywa mnie hańba i nie tylko mnie, lecz całą naszą rodzinę. Nawet, gdyby oszczędziło żyjących, sprawa ta znieważa i zbezczeszcza pamięć zmarłych. Mam starszego brata, o którym poprzednio nic nie słyszałem. I naturalnie wszystko jest jego własnością. Muszę go odnaleźć!

— Gdzie on jest?

— Tego nie mogę ci powiedzieć. Wie o tym ojciec Adrian, lecz nie chce zdradzić. Odszukam go – wybiorę się na Crutę.

„Na Crutę!” Nazwa ta złowieszczo brzmiała w mych uszach.

— Nie wolno ci tam jechać — zawołałam przerażona. — To straszne miejsce!

Stał spokojnie i patrzał na mnie w zdumieniu.

Minęliśmy już cały park i staliśmy na polanie. Odchodziłam od zmysłów z lęku i rozpaczy. Nie rozumiał, co mnie tak wyprowadzało z równowagi.

— Na Crucie dowiem się wszystkiego, co mi jest potrzebne — powiedział. — Jeszcze dziś wieczorem ruszę w drogę.

Ujęłam jego ręce.

— Pawle, chcę się ciebie o coś zapytać. Gdy dowiedziałeś się wówczas, że krewni zabrali mnie z klasztoru, a potem spotkałeś mnie w Londynie w roli tancerki, co sądziłeś o mnie?

— Sądziłem, że wprowadziłaś w błąd przeoryszę i uciekłaś...

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

— Wiedziałam o tym, że takie jest twoje zdanie o mnie i nie zaprzeczałam. Tak jednak nie było.

— W klasztorze nie powodziło mi się źle, lecz pewnego dnia wezwano mnie i oświadczono, że mam ruszyć w podróż. Przyszła wieść od mych krewnych, którzy domagają się mego przyjazdu. A jaki był cel mej podróży? Cruta. Pawle, to stary hrabia Cruty żądał mego powrotu. Nie mogę opisać ci tych strasznych tam

spędzonych dni, gdy byłam zamknięta w starym ponurym zamku. Już samo wspomnienie przyprawia mnie o lęk. Gdy miałam za sobą sześć miesięcy pobytu na wyspie, uświadomiłam sobie, że popadam powoli w obłęd. Razu pewnego w nocy wykradłam się, odwiązałam łódkę i odbiłam od brzegu. Nie troszczyłam się o to, co się ze mną stanie. Był to czyn rozpaczy. Cały dzień spędziłam na tafli wodnej bez jadła i napoju. Potem wyłonił się angielski jacht i zabrał mnie do Londynu. Przyjechałam bezradna i wyczerpana. Do pensjonatu klasztornego nie mogłam wrócić, byliby mnie bowiem natychmiast odesłali na Crutę. Byłeś jedynym, do którego mogłam się zwrócić. Poszłam do twego banku i tam dowiedziałam się, że jesteś za granicą. Przypadkowo zapytali o moje nazwisko i w ten sposób dowiedziałam się, że są u nich zdeponowane dla mnie pieniądze. Wystarczyło, bym pokwitowała, a wypłacili mi znacznie więcej, niż sobie życzyłam. Potem przypomniałam sobie adres Angielki, która razem ze mną przebywała w konwencie. Przyjęła mnie u siebie i skierowała do nauczycielki tańców. Opowiedziałam ci to wszystko, bo chcę, byś mi przyrzekł, że nie udasz się

na Crutę. Ludzie tamtejsi są okropni!

Spojrzał na mnie czule, lecz poważnie. Głos jego brzmiał stanowczo.

— Adreo, podróż moja tam jest nieodzowna. Nie będę miał spokoju, dopóki nie dowiem się, czy historia, którą mi ojciec Adrian opowiedział, polega na prawdzie. Dowody na to mogę znaleźć tylko na Crucie. To nie kaprys, który mnie tam pędzi. Cóż mi może tam grozić?

— Nie chcesz mnie słuchać?! — odpowiedziałam smutnie. — Nie mogę ci tego wyjaśnić, ale czy przyrzekniesz mi, że spełnisz moją prośbę?

— O ile to tylko możliwe – tak.

— Wyjedź dopiero jutro rano. To przecież wszystko jedno.

— A jakaż w tym różnica dla ciebie? — zapytał zdumiony.

— Mniejsza z tym. Przyrzeknij mi to

Zwlekał przez chwilę, na czole jego pojawiły się zmarszczki.

— A więc dobrze, przyrzekam ci.

Ujęłam jego rękę i trzymałam ją mocno.

— Jestem ci bardzo wdzięczna za to. A teraz chodźmy dalej.

Doszliśmy do domu, w którym mieszkałam, a ja nie zdobyłam sie ani na jedno pocieszające słówko dla niego. Wydawało mi się, że lodowaty chłód zakradł się do mego serca. Nie myślałam już o Pawle ani o mej miłości. Dopiero gdy weszliśmy razem do domu, odczułam znowu całą mą przynależność do niego. Trzymał mnie w swych ramionach, a głowa moja spoczywała na jego ramieniu. Wszystko dookoła nas znikło, byliśmy sami na świecie. Tak szczęśliwa byłam tak długo, jak długo Paweł był przy mnie. Gdy wstał i oświadczył, że musi odejść, nie zatrzymywałam go.

— Czy mam wrócić? — zapytał, gdy z dłonią w dłoni staliśmy przy drzwiach.

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

— Nie, dziś wieczorem nie, najdroższy. Będzie lepiej dla mnie, gdy zostanę sama. Jestem w rozterce, muszę spakować rzeczy.

— Chcesz stąd odjechać?

— Cóż mnie tu zatrzyma, gdy ciebie nie będzie? Nie mogłabym pozostać tu sama. Każdy kamyk i każde

drzewo przypominałoby mi ciebie i moje szczęście. Jutro wracam do Londynu. Dziś oddaliłam cały personel z wyjątkiem Gomeza. Czy rankiem jutro zgłosisz się do mnie?

— Jeszcze zanim wstaniesz, będę stał u twych okien — przyrzekł, a glos jego był wesoły, prawie figlarny. — Daj
Gomezowi zlecenie, by śniadanie przygotował dla dwojga.

Odszedł, a ja zamknęłam bramę. Wstrząsnął mną lekki dreszcz. Odwróciłam się. Gomez stał obok mnie. Mimo ciemności dostrzegłam, jak oczy jego jaśniały. Twarz jego była zdecydowana i zacięta.

— Co wam jest, Gomezie? — zapytałam szybko.

Zbliżył się całkiem do mnie.

— Zakonnik jest znowu tutaj — szepnął. — Czy odważył się?

Oddychał szybko i nieregularnie.

— Tak, opowiedział panu de Vaux ową straszną historię. Czy wiecie coś o tym?

— Wszystko, wszystko! Wszak byłem w celi klasztornej i słyszałem, co Marcin de Vaux opowiadał

mnichom. A więc zjawił się tu, by grozić panu Pawłowi. Gdybym był to wiedział!

Zdenerwowane rysy tego człowieka zdradzały mi wszystko. Dałam mu znak, by podążył za mną do pokoju.

— Byliście oddanym sługą Marcina de Vaux. Czy dopuścicie, by syna jego wydziedziczono i wygnano z domu? — zapytałam go.

Gomez drżał z podniecenia.

— Któżby się na to odważył?

— Mnich — odpowiedziałam cicho.

— Tylko z racji tej historii, którą pan mój na łożu śmierci mu zawierzył?

— Tak.

Westchnął, potem wyprostował się i przysunął do mnie. Ruchy jego przypominały mi panterę. Szepnął mi coś do ucha. Oczy jego pałały, spojrzenie jaśniało niesamowicie. Nie nastraszyłam się go, przeciwnie, ośmielałam go własnym uśmiechem. Szept jego przypominał syk węża. Odpowiedziałam mu równie cicho. Potwierdził skinieniem głowy. Czyż nie było przeznaczeniem, że w tym obcym kraju natknęłam się

na Gomeza? Tak, dobrym, łaskawym przeznaczeniem. Staliśmy tuż obok siebie w słabo oświetlonym pokoju i jakkolwiek byliśmy całkiem sami w domu, mówiliśmy półgłosem. Gdy oddaliłam się w kierunku drzwi, podążył Gomez za mną. Wróciłam dziesięć minut później w długim, ciemnym płaszczu. Na głowie miałam mały kapelusz z woalką, do ręki wzięłam ciężką laskę i jeszcze inny przedmiot ukryłam w głębokiej kieszeni palta.

— Sama? — zapytał mnie szeptem, gdy skierowałam się ku bramie.

— Sama — odparłam. — Rozniećcie ogień w pokoju, na stole postawcie jedzenie i wino.

— Dla dwu osób? — zapytać z niesamowitym uśmiechem.

— Dla dwu osób.

XXX
PAMIĘTNIK ADREI

Po drodze krążyły me myśli wyłącznie dookoła celu, jaki chciałam osiągnąć. Nie wiem już, jak dotarłam do klasztoru świętego Bernarda, lecz po długiej wędrówce stałam przed wysoką bramą i pociągnęłam za dzwonek... Ochryple i koszmarnie brzmiał jego ton. Dreszcz mną wstrząsnął, gdy doleciało do mnie ponure echo, rozlegające się po pustych korytarzach i krużgankach. Nasłuchiwałam z natężeniem, ale oprócz smutnych melancholijnych jęków wiatru pomiędzy konarami drzew, niczego nie dostrzegłam. Znowu wyciągnęłam rękę, pociągając silniej za dzwonek. Wreszcie posłyszałam szmer kroków, odsunięto ciężki rygiel, przed progiem stanął mnich w ciemnym habicie. Nastraszył się, zobaczywszy kobietę i bliskim był zatrzaśnięcia drzwi.

— Czego chcecie tutaj o tak spóźnionej porze? — zapytał basowym głosem. — Kaplica już zamknięta. Jutro będzie dzień pokuty.

— Przyszłam tutaj, aby się rozmówić z jednym z zakonników, będącym waszym gościem. Nazywa się ojciec Adrjan!

— Czy to takie pilne? — zapytał niedowierzająco. — Ojciec Adrian odprawia modły i nie wolno mu bez ważnego powodu przeszkadzać.

— Sprawa jest ważna.

Dał mi znak, by podążyć za nim, i prowadził mnie wzdłuż korytarza wyłożonego płytkami kamiennymi. Następnie otworzył drzwi i pozwolił mi wejść do małego pokoju.

— Tu jest pokój gościnny. Proszę czekać.

Znikł, wkrótce potem ojciec Adrian stanął przede mną.

— Adreo, Adreo — zawołał ze stłumioną namiętnością. — Jesteś tutaj? Cóż się stało? Stań pod światło, bym mógł w twarzy twej czytać.

Postąpiłam o parę kroków bliżej, podnosząc woalkę.

— Czułam się tak samotna — rzekłam cicho. — Czyż niesłusznie z mej strony, że przyszłam tutaj?

Patrzył na mnie przenikliwym wzrokiem. Odniosłam

wrażenie, że dociera nim do głębi serca, lecz grałam mą rolę z zadziwiającą odwagą. Widziałam, jak drży, jak policzki jego naprzemian to pałają, to bledną. Szarpała nim dzika namiętność.

— Adreo, czy przyszłaś tutaj, by drwić ze mnie? Jeżeli trochę jeszcze litości w tobie, błagam cię, byś mnie oszczędziła. Mów prawdę!

Odpowiedziałam mu łagodnie z oczami skierowanymi ku ziemi.

— Przychodzę, bo dolega mi samotność. Proszę ze mną, do mego mieszkania. Czy przebaczy mi ojciec moje poprzednie słowa? Czy pójdzie ksiądz ze mną, byśmy znów razem czytali, jak pod drzewami na Crucie?

Słowa moje podziałały na niego. Nie wolno mi było się zdradzić. Nagle zbliżył się nieco i zanim mogłam przeszkodzić temu, leżał na kamiennej posadzce u mych nóg.

— Adreo — zawołał namiętnie, czy to prawda? Radość miesza mi zmysły. Wybacz, że śmiem wątpić. Nie wiem nic o kobietach, nie znam twego charakteru, lecz usta twe nie mogą kłamać. Wszak nie drwisz ze

mnie, Adreo kochana, popatrz na mnie i przysięgnij, że to nie sen. Pozwól mi spojrzeć w twarz twoją. Ufam twym słowom, lecz proszę, powtórz raz jeszcze, zapewnij mnie, że nie śnię!

Okłamywałam go wzrokiem i słowami.

— Nie, to nie złuda — odparłam wolno. — Przyszłam do klasztoru, bo tęsknię za tobą, Adrianie.

Wstał, a donośny głos jego drżał nieco.

— Adreo, dziś toczyłem ze sobą straszną walkę. Gdy przypatrzysz mi się badawczo, odnajdziesz ślady tej walki na mym obliczu. Teraz jednak już wszystko minęło, wszelkie udręki i męczarnie. Wystąpię ze stanu duchownego. Jeszcze dziś wieczorem pójdę z tobą, by nigdy nie wrócić.

Pokrywał me ręce pocałunkami. Paliły mnie, jak ogień piekielny, lecz pozwalałam mu na wszystko. Potem wyciągnął ramiona ku mnie, lecz ja wzbraniałam się.

— Nie tutaj — zawołałam. — Słyszę kroki za drzwiami.

— Masz rację — rzekł, opanowując się. — Poczekaj na mnie. Muszę się przygotować.

Opuścił mnie, a ja odetchnęłam swobodniej. Nie było dla mnie powrotu, lecz pojęłam, że zadanie me jest stokroć cięższe, niż sobie wyobrażałam. Nienawidziłam go bezgranicznie, dlatego z trudem tylko znosiłam dotyk jego gorących rąk, jego namiętne spojrzenie i słowa.

Wkrótce wrócił i razem opuściliśmy klasztor. Zmienił swe szaty i ku wielkiemu memu zdziwieniu, miał teraz na sobie ciemne świeckie ubranie i długie palto. W niczym nie przypominał już duchownego. Na skrzyżowaniu dróg spojrzał raz jeszcze za siebie, następnie pogłaskał rekę moją czule i przycisnął do swego serca.

— Jak zimna jest twa dłoń, Adreo! Marzniesz. Jesteś może chora? — zapytał z lękiem.

— Czuję się dobrze, lecz dokucza mi znużenie.

Ujął mnie pod ramię. Nie mogłam przeszkodzić temu, lecz szłam – o ile możności – szybko.

Było już późno. Spożyliśmy razem kolację. Adrian opierał się o swoje krzesło. Mówił z ożywieniem i zachwytem i wyglądał ślicznie. Jego zapadnięte policzki wypełniły się pozornie, oczy jaśniały. Siedziałam na dywanie u jego nóg zapatrzona w płomienie.

— Czy odpowiesz mi na jedno pytanie, Adrianie? Ostatnio tyle dziwnych rzeczy zdarzyło się dookoła nas i, jak każda kobieta, chciałabym wszystko zrozumieć.

— Tak, powiem ci wszystko. Czyż nie jestem twym sługą, twym niewolnikiem? Lecz pytaj szybko. Jest jeszcze tak wiele rzeczy wymagających wyjaśnienia. Co to? — zapytał nagle. — Czy jest jeszcze ktoś w pokoju?

Zaprzeczyłam głową.

— Nie, nie ma nikogo. Powiedz mi, kto jest właściwie pani de Merteuil?

— Moja matka!

— Twoja matka?...

— Tak. A stary hrabia na Crucie moim dziadkiem. Pani de Merteuil jest jego córką, lecz to nie jest jej prawdziwe nazwisko.

Krzesło jego opierało się o wysoki, japoński parawan, nieco zniszczony i uszkodzony. W samym środku widniał mały otwór. Podczas, gdy rozmawialiśmy ze sobą, wsunęła męska dłoń tamtędy świstek papieru, który upadł na dywan. Wstałam, doprowadzając poduszki na krześle Adriana do porządku. Zanim

zdołałam się odwrócić, objął mię, pokrywając twarz moją gorącymi, palącymi pocałunkami. Nie mogłam się bronić i musiałam w tej chwili na wszystko pozwolić. Zaraz potem nakryłam świstek chusteczką i podniosłam świstek.

— Czy udzielisz mi dalszych wyjaśnień?

— Ależ naturalnie!

— Jak się przedstawia kwestia zamku de Vaux?

— Jest moją własnością. Jestem synem Marcina de Vaux, starszym od Pawła. On nie ma prawa do tego. Gdybym był wytrwał w kapłańskim stanie, byłbym tam ufundował wielki klasztor, ale teraz…

— Co poczniesz teraz?

— Wszystko jest twoją własnością.

Przez chwilę panowała głęboka cisza. Wysunęłam skrawek papieru z kieszeni, jak gdybym go tam przypadkowo znalazła. Wypełniało go parę pospiesznie skreślonych słów:

"Nie zrobię tego – boję się. Sztylet położę na dywanie."

Zajrzałam w otwór parawanu i dostrzegłam rękę trzymająca długi błyszczący nóż. Bez szmeru umieszczono go na dywanie, potem ręka znikła. Przeszłam na drugą stronę krzesła i uklękłam.

— A co się stanie z Pawłem de Vaux? — zapytałam.

Uśmiechnął się złośliwie.

— Będzie musiał pogodzić się ze swym losem. Zna już tę całą historię. Opowiedziałem mu ją ubiegłej nocy. Powiedz Adreo, że nie kochałaś go nigdy naprawdę. Powiedz, proszę!

— Czy jesteś zazdrosny? — zapytałam swobodnie.

Moja lewa ręka przesunęła się w okolicę jego piersi. Tu jest serce, czuję je. Prawą ostrożnie położyłam na dywanie, aż końcami palców pochwyciłam sztylet. Teraz trzymałam mocno za rękojeść – musiało tak być – dla dobra Pawła. Lewa ręka spoczywała na jego sercu. Wybadałam dokładnie.

— Adreo, czy jesteś chora — zapytał. — Jesteś tak blada, wyglądasz tak dziwnie… Ach…

Po wszystkim. Nie wahałam się ani przez sekundę.

Leżał złamany na krześle, w sercu jego tkwił długi genueński sztylet. I ja to zrobiłam!

Gomez wyłonił się zza parawanu, spojrzał najpierw na mnie, potem na niego. Oczy jego zdawały się wypływać z orbit. Próbował mówić, lecz tylko zęby jego szczękały głośno.

— Już załatwione — rzekłam spokojnie. — Teraz możesz być spokojny Pawle. Bądźcież mężczyzną, Gomezie. Musimy go zawlec do lasu. Podnieście go ostrożnie. Ślady krwi nie mogą pozostać!

Trzeba było nakładu całej naszej siły, by ruszyć go z miejsca. Wyciągnęliśmy trupa Adriana na ścieżkę ogrodową przez szosę, między małe krzaki.

Strasznie mi było na duszy. Nie umiem opisać mego zdenerwowania. Zanim wróciliśmy, rzuciłam kwiaty na zwłoki. To była jedyna chwila, w której ogarnęła mnie skrucha.

XXXI
PRZYJAZD NA CRUTĘ

Smukły angielski jacht dobijał do portu Cruty. Paweł stał koło kapitana na moście i z podziwem patrzał na piękny krajobraz oświetlony ostatnimi promieniami zachodzącego słońca.

— Efekty świetlne na wodach mórz południowych są przecież niezwykłe — zauważył Paweł.

Adrea stała obok i uśmiechała się do niego.

— Tak — odparła cicho — jest tu cudownie. Przeżyliśmy dużo pięknych wrażeń w tej podróży. Nie byłam jeszcze nigdy tak szczęśliwa. Nie gniewasz się chyba, że ci towarzyszyłam?

Popatrzył na jej piękne oblicze, następnie na horyzont, gdzie morze stykało się z niebem.

— Nie, tak jest dobrze, jak się złożyło — odpowiedział.

Adrea wyglądała cudownie. Świeże, morskie powietrze i południowe słońce jeszcze ciemniej zabarwiły jej cerę. Silny powiew igrał czarnymi lokami,

ciemne oczy jaśniały nowym światłem, a cicha radość zdobiła jej rysy. Ostatnie, krótkie tygodnie były dla niej jak gdyby podarkiem nieba. Po raz pierwszy była sama z człowiekiem, którego kochała. Pędziła z nim przez słoneczne morza, cieszyła się jego bliskością.

Żyła teraźniejszością. Wykreśliła z pamięci swej wszystkie wspomnienia owej strasznej nocy. Nie miała czasu na skargi i skruchę. Zapomniała o wszystkim wobec spełnienia się jej marzeń. Zbrodnia, jaką popełniła, była w jej oczach usprawiedliwiona.

Paweł stwierdził także zmianę w jej usposobieniu. Zauważył, że stała się bardziej kobieca, subtelna, delikatna. W tej formie była dla niego prawdziwym objawieniem. Nieliczne dni na jachcie mijały jak słodki sen. Gdy ruszał w podróż, był prawie złamany pod brzemieniem strasznego odkrycia. W obecności Adrei zmienił się w ciągu paru godzin. Rozproszył się wielki smutek i troski. Teraz nie walczył już sam. Adrea wiedziała o wszystkim i razem zdążali na południe.

Właśnie wyłaniał się przed ich oczyma wysoko na skałach położony ponury zamek, stary i zmurszały jak one. Wreszcie przebyli srebrzystą, zdradliwą zatokę u

stóp wzgórza i zawinęli do bezpiecznego i spokojnego portu, gdzie podziwiali przepych kolorów miniaturowej floty rybackiej.

— Tu czeka nas nasze przeznaczenie, Adreo — zauważył Paweł. — Wysiądę na krótko.

Wskazał na chmury gromadzące się na zachodzie i popatrzył w stronę zamku. Burza, która nadciągała, wydawała się symbolem poprzedzającym najbliższe wydarzenia. Myśli jego cofnęły się do smutnych przeżyć, które tu miały miejsce. Posępny wygląd krajobrazu wpłynął na jego nastrój. Czekało go ciężkie zadanie.

Kierowanie okrętem wymagało teraz wiele wysiłków. Wnet jednak zarzucono kotwicę i spuszczono łódź, która skierowała się ku wybrzeżu. Wiele pomocnych rąk ofiarowało się wyciągnąć ją na ląd. Paweł stanął na piaszczystym brzegu, rozglądając się dookoła, czy znajdzie kogoś, z kim by mógł się porozumieć. Wreszcie ręką wskazał na zamek i zapytał po włosku o drogę. Zrozumieli go i wytłumaczyli gestem. Podążając wzrokiem za ich ręką, odnalazł początek drogi wijącej się między skałami. Nikt

jednakowoż nie chciał go prowadzić. Przeciwnie, gdy zapytał się ich o to, nastraszyli i zaczęli żywo między sobą dyskutować.

— To jest syn angielskiego lorda — zawołał przerażony rybak, Antonio. — Rzuca się sam w paszczę lwa. Nie wolno pokazać nam się z nim razem. Stary hrabia z góry wszystko widzi.

— Nie wiem, czy ten człowiek zdaje sobie sprawę z tego, jakie niebezpieczeństwo mu grozi — odparł przyjaciel jego, Giuseppe. — Jest młody i wygląda dzielnie. Trzeba go ostrzec.

— Nie odważę się — zawołał Antonio.

Nikt nie chciał zadawać się z Pawiem. Giuseppe popatrzył na nich z pogardą, wystąpił bliżej i położył rękę na ramieniu Pawła.

— Proszę nie iść na zamek — zaczął. — Jest to pałac hrabiego Cruty, gdzie czyha na pana niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo i śmierć. Jesteśmy poddanymi jego i nie wolno nam się sprzeciwiać. Jest dziki, okrutny i na zamku wydarzyły się już przeróżne dziwy. Bądź pan rozsądny! Proszę wrócić na okręt i odbić od brzegu. Burzliwe morze jest

niebezpieczne, lecz zamek dla pana stokroć niebezpieczniejszy. Proszę zważać na słowa starego Giuseppego i odejść z powrotem.

Ale Paweł zaprzeczył głową. Zrozumiał, co Giuseppe powiedział i był przekonany o jego dobrych intencjach.

— Jesteście dobrym człowiekiem — odparł i dziękuję wam za wasze ostrzeżenie. Muszę jednak w ważnej sprawie porozumieć się z hrabią; przybyłem z Anglii, by mówić z nim. Weźcie to. — Rzucił pełną garść pieniędzy między grupę rybaków. — Więc tą ścieżką dostanę się do zamku? Do widzenia!!

Szedł sam drogą wzdłuż brzegu. Rybacy chciwie spoglądali na monety, lecz nie dotknęli ich nawet.

— Matko święta — wołał podniecony Antonio. — Tyle pieniędzy! Gdybym tylko wiedział, że hrabia nie dostrzeże! Mógłbym przez cały tydzień próżnować, a ponadto kupić sobie nowe sieci.

— Nie ruszaj srebra — radził Giuseppe. — Hrabia wszystko widzi.

— Wiem, co zrobimy — zawołał z radością Antonio. — Pójdziemy do klasztoru i poprosimy ojca

Bernarda, by pobłogosławił pieniądze. Zażąda wprawdzie połowy dla siebie, ale druga pozostanie dla nas.

— Brawo! Antonio ma rację! Antonio to mądry chłop! — wołali wszyscy razem. Piaszczystym brzegiem zwrócili się w stronę klasztoru. Tylko Giuseppe pozostał na plaży.

Czekał, aż zniknęli w oddali, potem nachylił się, zebrał monety i włożył je do kieszeni.

— Głupia banda — rzekł półgłosem do siebie. — Hrabia nie może widzieć dalej niż inni ludzie. Nie zobaczy przecież, że ja schowałem pieniądze. — Wyprostował się i spojrzał na drogę, którą oddalił się Paweł. Co mam począć? Ojcu jego zawdzięczam tę łódź. Signor de Vaux obdarzył mnie po książęcemu. Dał mi wiele pieniędzy. Czyż mogę biernie przypatrywać się nieszczęściu jego syna. Nie, nie dopuszczę do tego. Hrabia jest okrutny, ale przy mej pomocy de Vaux mógłby łatwo ujść niebezpieczeństwu. W każdym razie podążę za nim.

I ruszył szybkim krokiem wzdłuż brzegu i począł wspinać się w stronę zamku. Wkrótce potem wrócili

inni. Nieśli latarnię, a w środku pomiędzy nimi znajdował się duchowny.

— Co się stało z pieniędzmi — krzyknął Antonio ochrypłym głosem. — Zapewne hrabia był tutaj.

Oburzony mnich odwrócił się, rybacy podążyli za nim, mrucząc przekleństwa. Z powodu zmroku nikt nie zauważył nieobecności Giuseppego.

XXXII
OSTATNIE WYJAŚNIENIE

Paweł stanął przed wielką bramą zamku... Wypoczywał przez chwilę, by zaczerpnąć oddechu. Dwieście metrów poniżej kołysał się jacht. Z dala wyglądał jak dziecinna zabawka. Małą miejscowość oświetlały lampy, których jasność przez okna dostawała się na wybrzeże. Ponury fronton zamku odcinał się groźnie na tle nieba. Tutaj znikąd nie wyzierało światełko, a ciężkie, żelazne podwoje bramy, przez którą można by się dostać na dziedziniec, były szczelnie zamknięte. Nie dolatywał do niego żaden odgłos. Wydawało się, że śmierć tutaj czyha.

Sznur od dzwonu umieszczony był na zewnątrz bramy, a ponieważ w żaden inny sposób nie mógł Paweł dać znaku o swej obecności, pociągnął zań gwałtownie. Odgłos dzwonu wywołał w olbrzymim gmachu niesamowite echo. Zaraz potem zjawili się rozmaici, dziko wyglądający mężczyźni, z pochodniami w rękach. Nadeszli z tylnego podwórza, odsunęli rygle i

otworzyli bramę.

— Przybyłem tu, by pomówić z hrabią — zaczął Paweł. — Proszę mnie do niego zaprowadzić.

Jeden z zebranych odpowiedział mu coś, lecz Paweł nie pojął słów dialektu. Skierowali go jednak przez dziedziniec do głównego wejścia zamkowego. Nie weszli przez pierwszą bramę lecz przez niskie, wieloma obiciami pokryte boczne drzwi prowadzące na wieżę. Gdy znaleźli się w środku, natychmiast furtkę zatrzaśnięto.

Paweł rozglądnął się z zaciekawieniem dookoła, lecz w półmroku nie mógł się zorientować. Był w korytarzu o bielonych ścianach. Minęli wiele przejść, schodów i pokoi. Nigdzie nie dostrzegł żadnego mebla. Cały gmach przypominał stare więzienie.

Nagle człowiek prowadzący go przystanął i podniósł rękę. Paweł począł nasłuchiwać i ku wielkiemu zdziwieniu swemu rozpoznał w pobliżu męskie głosy, śpiewające pieśń kościelną. Brzmiała ponuro i smutnie jak melodia pogrzebowa. Co to miało znaczyć?

— Czy tu ktoś umiera? — zapytał Paweł. — Mężczyzna potrząsnął głową, nie zrozumiał bowiem

ani słowa. Dał Pawłowi znak, by ściszył swe kroki i podążył dalej! Śpiew stawał się coraz wyraźniejszy. Wreszcie na końcu korytarza zatrzymali się przed wysokimi drzwiami. Przewodnik zapukał lekko. Natychmiast otworzono i Paweł znalazł się w wielkim, lecz słabo oświetlonym pokoju.. Rozglądnął się z zaciekawieniem. Jakkolwiek wnętrze było nieco zaniedbane, zachowały się ślady poprzedniej piękności. Okazałe, starodawne meble stały przy ścianach, łoże było bogato rzeźbione, w górze ozdobione licznymi godłami. Paweł nie miał jednak wiele czasu na obserwację, gdyż ledwie wszedł, a już zbliżył się do niego mnich w czarnym habicie stojący dotychczas u krawędzi łóżka.

— Oczekiwaliśmy pana — rzekł po włosku. — Obawiam się, że przybywa pan za późno, ta biedna kobieta jest już poza sferą naszej władzy.

Paweł spojrzał na niego zdumiony.

— Nie rozumiem księdza. Chciałem pomówić z hrabią Cruty.

Zakonnik przeląkł się i podniósł lampę, stojącą na stole

tuż przy łóżku.

— A więc pan nie jest niemieckim lekarzem z Palermo? — zapytał, przypatrując się badawczo Pawłowi. Nieufność i podejrzliwość tkwiły w jego wzroku.

Paweł zaprzeczył głową.

— Nie, nie jestem lekarzem, lecz Anglikiem. Nazywam się Paweł de Vaux.

— Ach!

Ten słaby okrzyk doleciał ze strony łóżka. Paweł odwrócił się szybko.

Kobieta leżąca dotychczas spokojnie i bez ruchu na łóżku nagle podniosła się nieco. Jej wielkie oczy pałały gorączkowo. Paweł zauważył od razu, że jest bliska śmierci. Była to ta sama osoba, która z Adreą mieszkała w domu majora Harcourta. Wystąpił bliżej, a ona wyciągnęła w jego kierunku ręce, jak gdyby się go bała.

— Paweł de Vaux!... Matko Boska Najświętsza! Co sprowadza pana tutaj? Wszak jest pan tu u swego śmiertelnego wroga. Proszę bliżej, ale szybko!

Mnich groźnie podniósł swe ramię.

— Nie, siostro — zawołał surowo — zawarłaś już pokój z Bogiem. Pożegnałaś się już ze światem i jego próżnością. Zamknij oczy, módl się i myśli swe zwróć w stronę nieba!

Nie zwracała na niego uwagi, nie popatrzyła nań nawet. Spojrzenie jej spoczywało na twarzy Pawła, a on ją rozumiał.

— Ta kobieta chce ze mną mówić — odezwał się energicznie. — Proszę się usunąć na bok. Musi przecież ksiądz spełnić ostatnie życzenie umierającej,

Ton Pawła był groźny, rozkazujący, lecz zakonnik nadal wskazywał na drzwi.

— Nie wolno panu mówić z chorą. Nic chcę używać przemocy, lecz jeżeli pan zamiaru swego nie zaniecha, zawołam hrabiego. Twe nazwisko jest w tym domu równoznaczne z wyrokiem śmierci. Oddal się pan możliwie szybko i pokój niech będzie z wami. Jeżeli jednak pozostanie pan, nie będę pana mógł uratować.

Paweł rozglądnął się po pokoju. Dwaj mnisi z palącymi się świecami stali u łoża i odmawiali łacińskie modły. Człowiek, który go przyprowadził, znikł. Oprócz duchownego i obu mnichów nikt nie był obecny

w komnacie.

— To jest nieludzkie — rzekł Paweł krótko. — Przejmuje mnie bardziej prośba umierającej, niż wasza groźba. Proszę ustąpić!

Paweł położył dłoń na ramieniu księdza. Był zdecydowany w razie potrzeby użyć nawet przemocy. Mnich cofnął się, oswobodził z dotyku Pawła i przywołał do siebie jednego z zakonników.

Paweł ukląkł u łoża kobiety.

— Pani de Merteuil, czy chce mi pani coś zaufać? — zapytał szeptem. — O co chodzi?

Głos jej brzmiał słabo i cicho, lecz Paweł rozumiał ją wyraźnie.

— Nie jestem panią de Merteuil, lecz córka hrabiego Cruty!

Ręce Pawła chwyciły kurczowo kołdrę. Więc ona była córką hrabiego Cruty? Ta słaba kobieta z zapadniętymi rysami była niegdyś młodą dziewczyną, uwiedzioną przez jego ojca. Wzruszyło go to nagłe odkrycie. O, gdyby był to wiedział przed paru tygodniami, nie byłby pozwolił oddalić się jej z sąsiedztwa zamku Vaux. Teraz jednak było za późno.

Próbowała przemówić do niego.

— Czy wie pan o tym, co było między mną a Marcinem de Vaux?

— Tak, wiem wszystko — uspokoił ją. — Niedawno wyjawiono mi przeszłość.

— Kto to uczynił?

— Duchowny, który równocześnie z panią był w Anglii. Pani syn.

Ojciec Adrian musiał być jej synem!

— A pan przybył tutaj, by stwierdzić słuszność tych opowiadań.

— Tak.

— Snadź święci przyprowadzili pana w tej godzinie tutaj. Ta historia jest – fałszywa.

Pod wpływem tych słów popadł Paweł w gorączkowe podniecenie. Czy sprzysiężono się przeciw niemu? A jeśli ta kobieta teraz umrze, nie zdoławszy mu wszystkiego wytłumaczyć?

— Pan zna moją historię — rozpoczęła wolno. — Zaczynam od chwili, gdy opuściłam ojca pańskiego w Paryżu. Po odwiedzinach mego ojca, poczęłam ucieczki mej żałować. Słowa jego prześladowały mnie.

Wieczorami szłam potajemnie do kościoła. Razu pewnego stał na ambonie poważny ksiądz o pięknym obliczu. Kazanie jego wywarło na mnie wielkie wrażenie. Wtajemniczyłam go w mój grzech. Poczucie winy stało się nie do zniesienia. Nazajutrz bez uprzedzenia i pożegnania opuściłam Marcina. Hrabia Hirschfeld dopomógł mi w ucieczce i tak wróciłam na Crutę. Liczyłam na przebaczenie, lecz ojciec mój nie mógł zapomnieć przeszłości. Żyje tu w zupełnym odosobnieniu i ludzie obawiają się go. Myśli tylko o hańbie, jaką go okryłam. Zatrzymał mnie u siebie na zamku, lecz przeklął mnie.

Sześć miesięcy po mym powrocie zachorowałam ciężko. Leżałam, walcząc o życie. Wtedy napisałam list do Marcina. Pismo leżało na stole, obok mego łóżka, lecz nie wolno mi go było wysłać bez pozwolenia ojca. Prosiłam, by przyszedł do mnie i powiedziałam mu wszystko.

Ku wielkiemu memu zdziwieniu zgodził się. Zdobył się nawet na coś więcej. Mówił o tym z hrabią Hirschfeldem, który własnoręcznie list zawiózł do Anglii. Ta gotowość zatrwożyła mnie i wzbudziła

nieufność. Wszak wiedziałam, jak nienawidził on Marcina de Vaux. Kazałam przywołać lekarza do łoża mego i wypytałam się o mój stan. Oświadczył mi, że nie wróży nic dobrego. Wobec tego osłabło me podejrzenie. Przypuszczałam, że za cenę rehabilitacji nazwiska rodowego zgodził się ojciec gościć Marcina pod swym dachem. Sama czułam, że koniec mój się zbliża, przez cały czas walczyłam przeciw śmiertelnemu wyczerpaniu i obawiałam się, że Marcin na czas nie zdąży.

Dopiero w wigilię jego przyjazdu dowiedziałam się o istotnym przebiegu sprawy. Miałam zamknięte oczy, z czego oni wnioskowali, że śpię. Lekarz i ojciec rozmawiali ze sobą szeptem i słyszałam, jak doktor tłumaczył, że kryzys już minął. W najbliższych dniach oczekuje lekarz mego rozwiązania i spodziewa się, że - o ile wszystko normalny obrót weźmie - wkrótce wyzdrowieję. Zebrałam wszystkie me siły, przywołałam ojca i wyznałam przed nim, żem wszystko słyszała. Zapewniałam go, że nie poślubię za żadną cenę Marcina, jeśli nawet przyjedzie. Wściekłość jego nie znała granic. Hrabia Hirschfeld i on wiedzieli od

początku, że z pewnością wyzdrowieję. Trwałam przy mym postanowieniu. Pisałam list w przekonaniu, że mam umrzeć. Wobec tak zmienionych warunków nie chciałam osobiście zetknąć się z Marcinem w razie jego przyjazdu, a gdyby mnie do tego zmuszono, wyznać mu całą prawdę.

Ojciec opuścił mnie. Był zanadto oburzony, by móc mówić ze mną. Przez cały następny tydzień trzymano sypialnię moją pod kluczem, dopuszczono do mnie tylko lekarza i pielęgniarkę. Potem dowiedziałam się o wszystkim co zaszło. Garderobiana moja Maria od lat cierpiała na gruźlicę, dogorywała. Przeniesiono ją do jednego z reprezentacyjnych pokoi, a gdy Marcin przyjechał, musiała ona wziąć mą rolę na siebie. Zakonnik, który był jej spowiednikiem i udzielił jej absolucji, potrafił nakłonić ją do tego kroku.

Marcin przyjechał i spełnił - jak mu się zdawało - ostatnią mą prośbę. Zaraz po ukończeniu ceremoniału zmuszono go do opuszczenia zamku.

W parę dni później umarła Maria. Z łóżka mego przypatrywałam się małemu pochodowi pogrzebowemu. Ojciec mój i hrabia Hirschfeld udawali

dotkniętych tym ciosem. Marcin szedł w pewnym oddaleniu za nimi, a ja byłam wtedy szczęśliwa, żem do tego oszustwa dłoni swej nie przyłożyła. Widziałam, jak płakał nad grobem, który uważał za mój grób.

Przez jakiś czas mieszkał w klasztorze opodal, co mi się znowu wydawało podejrzane. Hrabia Hirschfeld, mój ojciec i przeor klasztoru byli stale razem. Odniosłam wrażenie ze chcą go zmusić do jakiegoś kroku. Stopniowo wybadałam wszystko. Adrian, jako mój prawowity syn, miał się wybrać do Anglii i tam ubiegać się o posiadłości de Vaux, które następnie zapisałby kościołowi. Początkowo wzbraniał się Adrian, lecz powoli nakłonili go do tego planu. Wysłano, ostrzeżenie na ręce Marcina de Vaux, który szybko zjawił się tutaj – po śmierć. Traktowano mnie jak niewolnicę, a jednak dowiedziałam się o wszystkim. Adrian jeszcze długo potem był niezdecydowany, czy udać się do Anglii i ubiegać się o spadek. Wreszcie bez mej wiedzy ruszył na północ. Udało mi się uciec stąd, podążyłam za nim, dokładałam wszelkich starań, by wpłynąć na niego. Niestety, bez skutku. Wtedy złamana wróciłam tutaj.

— A co jest z Adreą?

— Adrea o niczym nie wie. I skądże by?

— Czy wie pani, kim jest Adrea?

— Córką hrabiego Hirschfelda. Nie opowiadał mi nigdy o jej matce. Był wtedy w Konstantynopolu i obawiam się...

Pochylił głowę.

— Rozumiem — rzekł Paweł.

— Chciałam zawsze być dobra dla niej — wykrztusiła złamanym głosem — ale ona uciekła stąd. Była tak nieszczęśliwą. Dopomogłam jej w ucieczce - miałam zresztą osobisty powód ku temu.

Nastąpiło krótkie milczenie. Kobieta spojrzała na Pawła poważnie.

— Jest pan tak podobny do ojca swego — rzekła z trudem. — Czy chciałby mnie pan pocałować?

Pochylił się nad nią, ucałował jej blade, drżące wargi, trzymając jej ręce w swoich. Oddychała już z trudem, mówiła z największym wysiłkiem.

— Dziękuję Bogu, że w miejsce niemieckiego lekarza, sprowadził pana do mego łoża. Mogę umrzeć w spokoju! Lecz pan jest w niebezpieczeństwie! Proszę

uciec. Nie należy tracić ani chwili czasu! Hrabia jest okrutny, przeraźliwie okrutny. Nie chce przyjść do mnie, jakkolwiek umieram. Nie chce przebaczyć mi, chociaż tyle wycierpiałam, a on jest ojcem moim. Ojciec Andrzej poszedł do niego. Obawiał się, że powiem panu prawdę i Kościół straci swe pretensje do zamku Vaux. Szybko! Pocałuj mnie raz jeszcze Pawle i uciekaj. Mnisi są gorsi od wilków, lecz są tchórzliwi. Jeśliby zaszli panu drogę, usuń ich bez skrupułów. Bądź zdrów...

Zdawało się, że duch jej ulata. Swą młodzieńczą miłość widziała ucieleśnioną w człowieku, który stał przed nią i trzymał ją silnymi rękami. Paweł nie mógł oderwać się od umierającej. Nadziemski uśmiech opromieniał jej blade wargi, dziwnym był wyraz jej oczu przeszywających dal.

— Marcinie, ponuro i ciemno było przede mną – teraz widzę cię. Pójdziemy razem. Kocham cię jak dawniej. Tak strasznie było dookoła mnie, gdy ciebie nie było — trzymaj mnie silniej. Marcinie – nie czuję twej dłoni… W końcu przecież jesteśmy złączeni! Jestem szczęśliwa...

XXXIII
OCALENIE

Irena de Vaux umarła cicho. Nie słyszała już, że w korytarzach rozległ się krzyk. Paweł nie myślał nawet o niebezpieczeństwie, w jakim się znalazł. Obejmował ramionami umierającą, złożył ostatni pocałunek na jej bladym obliczu i oparł jej głowę łagodnie o poduszki.

Niesamowite cienie zaległy ściany. Tuzin mnichów z ojcem Andrzejem i wyniosłym mężczyzną o śnieżnosiwej brodzie, włosach i ponurych rysach, na czele, stało dookoła Pawła.

— Ten więc człowiek jest synem tego przeklętego Anglika — ryknął starzec głębokim głosem, który dziwne echo wywołał w tym pokoju o wypukłych sklepieniach. — To pięknie, że się pan do nas zgłosił!

Paweł wyprostował się w całej swej okazałości i położył białą dłoń, którą jeszcze trzymał, na kołdrze.

— Ona nie żyje — oświadczył spokojnie i uroczyście. — Dowiedziałem się od niej wszystkiego, na czym mi zależało. Proszę mi pozwolić odejść!!

Postąpił naprzód, lecz stary mężczyzna nie ruszył się nawet. Mnisi w czarnych habitach zgromadzili się dookoła niego i patrzyli spode łba na Pawła. Nie mógł już dłużej znieść tego nienaturalnego milczenia.

— Czy jestem więźniem? — zawołał. — Czego żądasz ode mnie, hrabio Cruty?

Urągliwy śmiech przerwał ciszę. Pawłowi wydawało się, że jest w domu obłąkanych, ilekroć spojrzał na tę twarz.

— Pawle de Vaux, usłyszał pan wyznanie umierającej i ucieszył się pan nim. Sądziłeś, że wrócisz do swej ojczyzny i drwić będziesz z praw Kościoła? Chcesz życie swe przepędzić w bogactwie i zaszczytach, ty nędzny synu ojca czci pozbawionego? Popatrz się na mnie. Kto złamał me życie? Me szczęście, mą cześć? Kto skalał imię moje? Już wtedy, gdy ojciec pański uwiódł mą córkę, zadecydował o losie swej rodziny. Igrałem z nim, jak tygrys z nędznym Hindusem. Czekałem, aż kielich jego szczęścia był pełny, wtedy wymierzyłem mój cios. Przybył tu, błagał o litość, lecz wyśmiałem go. Potem ogarnęła mnie litość, sztyletem przekłułem jego serce. Sztylet przechowuję w

wielkiej zbrojowni, wisi między bronią mych przodków, którzy jako rycerze krzyżowi walczyli o święty grób. Pan jest jego synem! I najbliższym człowiekiem, który zginie. Żywy nie opuści pan zamku! Mnisi znają pana. Mnisi wiedzą, że jesteś spadkobiercą majątku de Vaux, który według prawa powinien przypaść Kościołowi. Domyślają się, że gdy wrócisz do kraju, będziesz zwalczał ich pretensje. Dobro Kościoła wymaga zatem, by ci odebrać możność powrotu, a ja, hrabia Cruty, pragnę także twej śmierci. Chcę, byś zginął w tym samym miejscu, gdzie ojciec twój odniósł śmiertelną ranę. Chcę, by kości twe na moich skałach zbielały... Uderzcie! — zawołał na zakonnika.

Ciemne postacie rzuciły się na niego, jak głodna sfora. Długie, wychudłe palce chwyciły go za krtań, ujrzał błysk noża. Z nadludzką siłą wyrwał się z ich objęć, cofając się ciągle w tył do łóżka, na którym leżała jeszcze zmarła o niezamkniętych oczach. Rozdzielał ciosy pięściami na prawo i lewo, lecz przemoc była wielka. Słabł coraz bardziej.

Nagle usłyszał przejmujący krzyk. Mnisi uciekali w dzikim popłochu. Płomienie obejmowały pokój. Na

progu stał Giuseppe i skinął ręką na Pawła.

— Uciekaj pan — wołał — uciekaj! Zamek się pali!

Paweł podbiegł ku drzwiom. W ostatniej chwili zastąpił mu drogę hrabia. Głos jego drgał z wściekłości.

— Wy podli tchórze — ryknął. — Mimo to nie uda mu się zbiec stąd. Chwycił Pawła, lecz ten odepchnął go od siebie i wyszedł za Giuseppem.

— Tędy na prawo, proszę tylko trzymać się mnie.

Stary hrabia podniósł się z zamiarem ponownego ataku. Nagle zmienił swój zamiar i z ochrypłym krzykiem pobiegł wzdłuż korytarza. Giuseppe i Paweł pospieszyli w przeciwnym kierunku.

— Nie wolno nam marnować czasu — zawołał Giuseppe. — Podążył do piwnic. Zły jest jak diabeł. Zapewne wysadzi cały zamek w powietrze. Proszę zasłonić chustką usta i nos.

Biegli wzdłuż długich opuszczonych korytarzy po licznych stopniach. Wreszcie znaleźli się na szerokich krętych schodach wykutych w skałach. Bez zatrzymania zbiegali pędem. Paweł doznawał zawrotu głowy, lecz powietrze było tu chłodniejsze i mógł

swobodniej oddychać. Za najbliższym skrętem przystanął Giuseppe. Przez znajdujący się tu otwór spoglądali na morze aż o dwadzieścia metrów niżej położone. Mała łódka z jednym tylko wioślarzem czekała na nich w dole.

— Musi pan natychmiast skoczyć! — zawołał Giuseppe. — Nie możemy czekać na liny.

Prawie bez namysłu usłuchał Paweł tej rady. Zdawało mu się, że leci bez końca, zanim znalazł się na powierzchni. Gdy się wynurzył z wody, był już przy łódce. Giuseppe wdrapywał się właśnie na nią i podał mu rękę. W wodzie odbijały się płomienie palącego się zamku. Giuseppe chwycił za wiosła.

— Wiosłować! — krzyknął nagle na właściciela łódki. — Chodzi o śmierć lub życie!

— Ależ dlaczego?

— Nie pytajcie, zobaczycie wkrótce!

Z największym wysiłkiem wiosłowali w kierunku jachtu. W połowie drogi usłyszeli głuche, przytłumione, do grzmotów podobne odgłosy. Wysokie słupy ognia ze wszelkich stron ogarnęły zamek, a wkrótce potem runął cały gmach.

XXXIV
PAMIĘTNIK ADREI

Nie przypuszczałam nigdy, że raz jeszcze zaglądnę do tego zeszytu. Ach, musiałam zebrać wszystkie swe siły, by opanować się. Teraz tylko jeszcze parę godzin do końca! Nie chcę myśleć o tym widmie, lecz tylko o szczęśliwych, słonecznych dniach naszego współżycia. Przeszłość z jej ponurymi cieniami dręczyła mnie bardzo – ciągle przed oczyma mymi przesuwała się złamana postać w fotelu. Dzisiaj rano wszedł Paweł do mego pokoju. Był blady jak trup i podał mi starą zmiętą gazetę.

— Przeczytaj to, Adreo — rzekł. — Stało się coś strasznego!

Gazeta wypadła mi z rąk, opanowała mnie trwoga.

— Wiem o tym — zawołałam — wiem!

— Wiedziałaś o tym i nie powiedziałaś mi nic?

— Nie.

Wzrok mój zamglił się i poczułam dziwny szum w uszach. Poczęłam się słaniać, straciłam przytomność.

Popadanie w omdlenie było rozkoszne. Gdy mnie ocucono, wystąpiła silna gorączka. Paweł nie poruszył tematu, który wyprowadził mnie z równowagi. Nazajutrz był uważny i dobry jak zawsze, lecz opanował go dziwny niepokój. Do tej pory nie powziął jeszcze żadnego podejrzenia, teraz pragnął już tylko powrotu do domu. Myślał o Anglii, a to było dla mnie straszne.

Wreszcie zbliżył się koniec. Mieszkaliśmy w wynajętej na miesiąc willi w pobliżu Florencji. Pewnego dnia wybraliśmy się razem do miasta na sprawunki. Paweł poszedł na pocztę, a ja przechadzałam się po placu, gdzie mieliśmy się spotkać. Nagle odczułam, że ktoś dotknął mego ramienia, usłyszałam ochrypły głos i odwróciłam się przerażona. Sterany, blady człowiek stał przede mną. Był to Gomez!

— Wysłuchaj mnie pani — powiedział — nie powinien nas nikt razem zobaczyć. Jest pani w niebezpieczeństwie. Policja jest na tropie.

Wszystko zaczęło wirować dookoła mnie i tylko z największym wysiłkiem udało mi się zachować równowagę.

— Gomezie, mówcie szybko, co mam uczynić?

— Natychmiast uciekać. Jeśli zostanie pani dłużej we Florencji, zaaresztują panią. Jechałem dniem i nocą, by znaleźć panią, oby Matka Boska była dla nas łaskawą, oby tylko nie było za późno. Proszę przybrać inne nazwisko, a jeśli Paweł de Vaux jest z panią, niechaj i on swoje zmieni. Dwaj detektywi z Londynu zatrzymali się już we Florencji, a trzeci z nakazem zatrzymania pani może się w każdej chwili zjawić. Proszę się ukryć w obcym kraju, uciec do Południowej Ameryki. Wszystko wyszło na jaw. Uciekać, uciekać...

Opuścił mnie szybko. Jakkolwiek wiedziałam, że wyrok na mnie już zapadł, przecięłam pewnym krokiem skwer, by spotkać Pawła i powiedzieć mu wszystko. On miał być moim sędzią. Moja miłość miała go prosić o przebaczenie. Byłam przekonana, że uczucie odniesie triumf. Nie myślałam nawet o niebezpieczeństwie, w jakim się znajduję. Na schodach poczty zetknęłam się z Pawłem. Trzymał stos gazet w ręku. Otworzył pierwszą, a gdy podniósł głowę, wiedziałam, że to, czego się obawiałam, nastąpiło. Wydawało się, że ten niespodziewany cios całkiem go złamał.

— Chodźmy do domu — rzekł z trudem. — Musimy ze sobą pomówić.

Wsiedliśmy do auta, czekającego na nas i odjechaliśmy. Potem przekroczyliśmy próg tego pokoju – od tej chwili nie upłynęły jeszcze dwie godziny. Nie czekałam na żadne pytania, wyznałam mu natychmiast całą prawdę! Sądziłam, że miłość wszystko przezwycięża. Faktem jest, że popełniłam wielką zbrodnię, lecz spodziewałam się, że mnie nie potępi. Byłam przejęta tym wydarzeniem, ale nie obawiałam się przyszłości. Gdy jednak spojrzałam w jego twarz, chwycił mnie nagle lodowaty lęk. Co znaczy ten próżny, pełen strachu wzrok? A gdy zbliżyłam się do niego, by dłoń jego pogłaskać, cofnął się przede mną. W paru słowach zakończyłam moją spowiedź.

— Pawle — rzekłam potem — dlaczego odwracasz się ode mnie? Pocałuj mnie! Straszne było, com przeżywała, zabijając go, ale musiałam to uczynić, by ciebie uratować!

Nie odpowiedział, ani ramion swoich ku mnie nie wyciągnął, jak się spodziewałam. Piekący ból przeszył mnie i ukryłam się w kącie pokoju.

— Ile czasu minęło od chwili, gdy spotkałaś Gomeza? — zapytał. — Głos jego był zmieniony i obcy.

— Godzina... Może więcej. Nie wiem dokładnie!

— Muszę natychmiast udać się do miasta, by go odszukać. Wybacz, Adreo, lecz nie mogę teraz mówić. Wrócę!

Tak, odszedł ode mnie. Czy zobaczę go jeszcze? Serce me jest złamane, nie zniosę tego wszystkiego. Jeżeli Paweł za pół godziny się nie zjawi, skończy się wszystko.

Stało się, zażyłam truciznę. Za pół godziny umrę. O Pawle, wróć do mnie! Gdybym przynajmniej umierać mogła w twoich ramionach, gdybym mogła raz jeszcze odczuć twój pocałunek na mych ustach. Tak strasznie konać w samotności! Czuję, że słabnę. O, gdyby w ostatniej chwili przyszedł jeszcze. Jeśli jest Bóg na niebie, proszę go nie o przebaczenie lecz o obecność kochanka w mej ostatniej chwili. Nie pragnę nieba, lecz ramion twych Pawle, przyjdź do mnie!

XXXV
OSTATNI ROZDZIAŁ

Na schodach rozległy się kroki i Adrea z trudem dowlokła się do drzwi. Paweł wszedł szybko i stanął przed nią.

— Weź mnie w swe ramiona — prosiła — ostatni raz!

— Adreo — rzekł spokojnie — musisz się szybko przebrać i pójść ze mną. Wynająłem statek, który zawiezie nas do Genui. Stamtąd jutro ruszymy do Nowego Yorku. Gomez ma rację – jesteś w niebezpieczeństwie. Bądź dzielna, wszystko dobrze pójdzie!

Ręce jej zamknęły się dookoła jego szyi.

— A co ty poczniesz?

— Pójdę z tobą. Zaczniemy nowe życie w dalekim kraju. Chodź, nie wolno nam teraz tracić czasu.

Zaprzeczyła wolno głową.

— To daleka droga, kochany. Wybieram się sama. Nie możesz pójść ze mną, Pawle. Nie obawiam się

jednak, bo teraz jesteś ze mną!

— O czym mówisz, Adreo. Nie opuszczę cię, miej odwagę. Wkrótce unikniemy niebezpieczeństwa!

— Pawle, nie rozumiesz mnie. Umieram...

Umiera! Przerażony popatrzył na jej trupioblade oblicze, potem na próżną flaszeczkę na stole. Zachwiał się i mało nie upadł.

— Tak będzie lepiej — rzekła cicho. — Byłoby to okropne, gdybyś nie wrócił, teraz jednak jestem całkiem spokojna!!....

— Lekarza — zawołał ochryple. — Adreo, pozwól, pójdę po lekarza!

— Proszę, zostań ze mną. Zanim on przyjdzie, wszystko minie. Pak lepiej. Czy sądzisz, że zdołałabym ciebie na całe życie przywiązać do mnie – ja, biedna, zniszczona kobieta, zmuszona zawsze ukrywać się w obcych krajach? Nosiłam stale przy sobie truciznę na wypadek, gdyby się coś stało. Pawle, zanieś mnie na kanapę. Nie czuję bólu – tylko jestem słaba, tak ciemno w pokoju…

Uczynił, jak żądała, upadł przed nią na kolana i trzymał ją mocno w ramionach. Nie wydawała mu się

nigdy tak piękna jak teraz, w ostatniej chwili swego życia.

Załkał z rozpaczą. Adrea usłyszała to i pogłaskała go czule po twarzy. Ujął jej rękę, pokrywając ją pocałunkami.

— Pawle, byliśmy bardzo szczęśliwi — przeżyłam największe szczęście z tobą, a jednak nie wiem, czy mogło to trwać wiecznie. Przeczuwałam to. Ja wiem…

Przerwała, walcząc o oddech. Nie odpowiadał, lecz przycisnął ją do siebie, powtarzając wśród pieszczot jej imię. Po chwili znowu otworzyła oczy.

— Pawle, wszystko jest teraz takie jasne – widzę twą przyszłość – będziesz szczęśliwy. Widzę ciebie jako pana wielkiego, starego zamku, który tak kochasz. Piękna jest dla mnie myśl, że wrócisz do ojczyzny. Chciałabym, byś te dni zapomniał. Pamiętaj, że to ja przyszłam do ciebie. Chciałam cię posiąść, nawet jeśli droga do mego szczęścia była tak ciężka i prowadziła przez zbrodnię. Ściągnęłam cię do nizin, lecz teraz zaczniesz swe dawne życie, ożenisz się z kobietą odpowiadającą ci usposobieniem i rodem. Takie jest me ostatnie życzenie! – Bądź szczęśliwy, Pawle! –

Zbliża się koniec! – Pocałuj mnie!

— Ach, Adreo!

— Na dworze – czy słyszysz kroki na schodach? Możesz ich wpuścić... Przychodzą za późno. Weź tę książkę ze stołu, opowie ci wszystko, czego jeszcze o życiu mym nie wiesz. Bądź zdrów!... Czy siostra Elza? Znowu jestem w ogrodzie klasztornym – jak upajające i łagodne jest powietrze tutaj. I ty obok mnie jesteś, Pawle – oblicze twe niewyraźne – a jednak tyle szczęścia przynosi twój widok, najdroższy mój! Byliśmy tak szczęśliwi…

KONIEC